

ARNO STROBEL

Psychotriller

TRAKT



Prószyński i S-ka

Arno Strobel

Trakt

Dla Heike

Sibylle zamarła, widząc, że ktoś wciąga jej syna na przednie siedzenie obcego samochodu. Przez chwilę miała wrażenie, że jej serce przestało bić. Usłyszała jeszcze zdławiony krzyk Lukasa, a potem z wnętrza pojazdu wynurzyło się wytatuowane ramię, z trzaskiem zamykając drzwi. Błękitny tatuaż rozciągał się od obojczyka po grzbiet dłoni. Pisk opon sprawił, że odzyskała panowanie nad swoim ciałem i z głośnym krzykiem ruszyła za oddalającym się samochodem.

Paliło ją w piersiach, desperacko łapała powietrze, ale wciąż miała wrażenie, że nie jest w stanie wtłoczyć w płuca odpowiedniej dawki tlenu. Ulica była coraz mniej wyraźna, aż w końcu stała się tylko wielkim, pozbawionym konturów bohomazem. Sibylle otarła oczy przedramieniem, całą uwagę koncentrując na swoim miarowym kroku. Zaledwie kilka sekund wystarczyło, by samochód zniknął za zakrętem, a wraz z nim dziecko.

– Lukas... – szepnęła ostatkiem sił, a potem poczuła już tylko nieprzyjemne rwanie w głowie i klatce piersiowej.

Nagle wszystko wydało jej się nierealne. Jakby jej percepcja, niczym napięta do granic wytrzymałości guma, oderwała się od tej straszliwej sceny i przez chwilę wirowała gdzieś w półświecie między snem a jaźnią.

Otworzyła oczy i potrząsnęła głową, żeby pozbierać myśli. Leżała w przyciemnionym pomieszczeniu, rozjaśnionym jedynie delikatnym zielonkawym światłem.

Sen. To był tylko sen. Jednak ulga spływała na Sibylle powoli, ponieważ tępe uczucie lęku ścisnęło ją ciągle w brutalnych kleszczach. Poza tym nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Odwróciła głowę w bok i jej wzrok padł na dwa monitory stojące na podporze obok szpitalnego łóżka, na którym leżała. Jasne punkciki na zielonym tle skakały nerwowo z lewej strony na prawą, niczym komety ciągnąc za sobą ogony. Z boku każdego monitora wystawał gruby przewód, który kilka centymetrów dalej rozdzielał się na mnóstwo drobniejszych kabli i kabelków znikających pod kołdrą przy jej tułowiu. Podniosła głowę, znowu czując ten przeszywający ból, który wyrwał ją ze snu. Ostrożnie obmacała skórę i stwierdziła, że przymocowano do niej kilka drutów. Nagle poczuła się tak, jakby jakaś niewidzialna dłoń chwyciła ją za gardło i zaczęła dusić. Nie mogła złapać tchu – pod powierzchnią jej świadomości zawrzała dziwna panika. Zamknęła oczy i koncentrując się na miarowym oddechu, spróbowała wyobrazić sobie, jak powietrze powoli wypełnia jej płuca, jak zapas

tlenu przynosi jej ciału siłę i spokój.

Po chwili ucisk w gardle nieco osłabł. Dlaczego jestem w szpitalu? Urządzenia monitorujące... Dlaczego... Jak ja się tutaj...? Dlaczego... Lukas... Co z Lukaszem? Czy wszystko z nim w porządku? Miała nadzieję, że jest teraz z ojcem w domu, cokolwiek wydarzyło się wcześniej.

Wypadek. Musiała ulec jakiemuś wypadkowi – to było jedyne wytłumaczenie.

Gdy ostrożnie podniosła się na łokciach, jeden z przewodów wymknął się między połamami szpitalnej koszuli spod jej pleców. Sibylle drgnęła pod wpływem niemiłego uczucia i odsunęła kołdrę. Miała gołe nogi i nie zauważyła na nich żadnych skaleczeń. Poruszyła palcami, całymi stopami, podciągnęła kolana i ponownie je wyprostowała. Potem podwinęła koszulę i spojrzała na swoje nagie małe piersi – sterczały z nich cztery kable umocowane do skóry przyssawkami. Również na klatce piersiowej i brzuchu nie znalazła żadnej rany. Kiedy powoli samymi opuszkami palców sprawdziła twarz i na niej też nie stwierdziła nic nadzwyczajnego, opadła na poduszkę i zamknęła oczy.

A więc dobrze, Sibylle, nie panikuj. Cokolwiek się stało, wyszłaś z tego bez większych obrażeń.

Ale co...? Znowu nawiedził ją elektryzujący ciało koszmar. Czyżby miało się w końcu okazać, że to nie był sen? Czyżby zemdląca z wyczerpania po tym, jak pędziła za samochodem, do którego ten wytatuowany typ zaciągnął jej dziecko?

Otworzyła oczy. W kilka sekund jej czoło pokryło się warstewką potu. Panika powracała wielkimi krokami.

Pomyśl, Sibylle, musisz się zastanowić. Czy to jest możliwe?

Musiała wziąć się w garść i przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, ale podsuwane przez pamięć obrazy pozostawały cząstkowe, rozmyte. Było tam coś jeszcze, coś, co chciało utorować sobie drogę na pierwszy plan świadomości.

Ze wzrokiem skierowanym w pokryty zieloną poświatą monitorów sufit Sibylle próbowała przypomnieć sobie, co takiego robiła, zanim znalazła się w tym miejscu. Poczowała, że odtworzenie w pamięci tych ostatnich sekund jest w zasięgu ręki, ale że jednocześnie nie miały one nic wspólnego z Lukaszem.

Ponownie zamknęła oczy, aż w końcu sceny zaczęły przesuwać się jedna za drugą, niewyraźnie i zbyt szybko, by mogła je zatrzymać. Dopiero po chwili zaczęły się z nich krystalizować fragmenty układające się w logiczną całość.

Jest wieczór. Jestem z Elke na kolacji u Greka w Prüfening. Potem wracam piechotą do domu. Zbliżyła się północ, na dworze jest jeszcze ciepło, co najmniej dwadzieścia stopni. Elke proponuje, że mnie podrzuci, ale ja chcę pójść pieszo. Skrót... przez ten mały park... wysoki żywopłot. Trochę światła, rzucanego przez mlecznobiały półksiężyc zza chmur, czyni żywopłot przenikliwie czarną ścianą. Słyszę zgrzyt kroków na żwirowej alejce, za moimi plecami... Oglądam się za siebie...

Oddech Sibylle przyspieszył, kiedy starała się usilnie przypomnieć sobie ciąg dalszy.

Z jękiem otworzyła oczy.

Co takiego wydarzyło się w tym parku? Została napadnięta? A może... Gwałtownym ruchem zanurzyła rękę pod kołdrę, przesuując dłońią po płaskim brzuchu w dół...

Wyglądało na to, że jednak nic takiego się nie stało.

Cofnęła rękę, ale poczuła przy tym dotkliwy ból, tam gdzie kołdra dotykała grzbietu dłoni. Podniosła dłoń i zobaczyła okrągły krwiatek z małym, ciemnym punktem w środku,

prawdopodobnie pozostałość po niezbyt dokładnie zrobionej infuzji.

Leżała więc – najwyraźniej bez jakichkolwiek obrażeń – w szpitalu, podłączona do kroplówki. Nie było przy niej nikogo, kogo można by zapytać, co się stało. Nie było też Johanna. Swoją drogą, jeśli napadnięto na nią lub miała wypadek – dlaczego Hannes nie siedział teraz zatroskany przy łóżku, czekając, aż się obudzi... Lukas, przebiło się do świadomości Sibylle. Muszę opiekować się Lukasem.

Ale gdzie się podziali lekarze i pielęgniarki? Przecież powinni się nią opiekować. I która właściwie jest godzina?

Dzwonek. Przy każdym łóżku szpitalnym zawsze był dzwonek do wzywania personelu. Pomacała nad sobą, pod sobą, obok siebie – ale nie znalazła nic, co przypominałoby urządzenie alarmowe. Znów opadła na poduszkę.

Co to za dziwny szpital? Bez okien, bez opieki, nawet bez możliwości zwrócenia na siebie uwagi...

Jak w krypcie, pomyślała Sibylle i mimowolnie wydała z siebie przeciągły jęk. Wymaginowana dłoń ciągle uciskała jej szyję, a z czasem stawało się to coraz bardziej nieznośne. Powietrze łapane w krótkich, łapczywych haustach nie docierało już do płuc. W kolejnym odruchu paniki chciała się gwałtownie podnieść i zerwać z siebie wszystko, pozbyć się całego balastu w nadziei złapania choć jednego głębokiego oddechu. Muszę...

Odgłos otwieranych drzwi spowodował, że przestraszona, odwróciła się gwałtownie. Po prawej stronie, na jaskrawym tle odznaczył się ciemny zarys jakiejś postaci. Wyglądała upiornie, jak karykaturalna wycinanka, ale Sibylle przynajmniej nie była już sama. Ucisk w gardle zmniejszył się, uczucie dławienia stopniowo mijało.

– Obudziła się pani. To dobrze – dał się słyszeć niski, męski głos, a sylwetka przesunęła się w jej stronę.

Dwie sekundy później, z bijącym sercem, pod bujną, czarną czupryną Sibylle ujrzała twarz około pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Uśmiechał się do niej. Dostyc drobnią sylwetkę, zupełnie niepasującą do tonu głosu, spowijał biały lekarski kitel, co najmniej o dwa numery za duży. Szwy ramion opadały nisko, a rękawy były podwinięte kilka razy. Z bocznej kieszeni kitla zwisała membrana stetoskopu. Identyfikator na piersiach informował, że mężczyzna to doktor E. Muhlhaus.

Zatrzymał się i utkwiał w Sibylle nieruchome spojrzenie, jakby czekał na jakąś reakcję z jej strony.

– Gdzie... gdzie ja jestem? Co się stało? – Własny głos wydał się jej cienki i ochrypliwy. Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– W szpitalu. Akurat przebudziła się pani z głębokiej śpiączki. Zaraz wszystko wyjaśnię, ale teraz najważniejsze, by odpowiedziała mi pani na kilka pytań.

Sibylle potrząsnęła głową na tyle, na ile pozwalały jej ograniczające ruchy kable.

– Nie, proszę, niech mi pan powie, co mi się przydarzyło. Co się stało? Drobne palce spoczęły na jej dłoni – tej z krwiakiem.

– Za chwilę. Najpierw musi pani odpowiedzieć na moje pytania. Sibylle opadła bezsilnie na poduszkę i wlepiła wzrok w sufit.

– Dobrze. Niech pan pyta.

– Może mi pani powiedzieć, jak się pani nazywa?

– Sibylle Aurich.

– Gdzie pani mieszka?

– W Prüfening.

Muhlhaus skinął głową, ciągle się uśmiechając.

– Proszę na mnie popatrzeć. Zna mnie pani? Niedbale omiotła go wzrokiem.

– Nie, nie przypominam sobie pana. Co ma znaczyć to pytanie? Powinam pana znać? Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, proszę pani, to bardzo mało prawdopodobne, żeby mnie pani знаła. Jestem dyrektorem tego szpitala, a moimi pytaniami próbuję tylko sprawdzić, czy wszystko z panią w porządku. Wygląda na to, że nie ma powodów do niepokoju.

– Nic nie jest w porządku. – Sibylle poderwała się gwałtownie. – Obudziłam się w tym pomieszczeniu bez okien i ciągle nie wiem, co tu robię. Jestem... jestem podłączona do kabli jak jakaś maszyna, a tutaj nawet nie ma dzwonka i... Mój Boże, niech mi pan w końcu powie, co się ze mną stało! – Nie była już w stanie powstrzymać łez, które płynęły już teraz strużkami po jej policzkach.

Doktor Muhlhaus skinął ze zrozumieniem głową, podnosząc dłoń.

– Pani Aurich, jakie wydarzenie pamięta pani, zanim się tu obudziła?

Szlochając, Sibylle opowiedziała mu o wieczorze u Greka i samotnym powrocie przez park. Kiedy skończyła, na twarzy mężczyzny widać było zadowolenie. Przysunął sobie krzesło bliżej łóżka i usiadł.

– W parku została pani uderzona jakimś tępym przedmiotem i obrabowana – wyjaśnił. Kiedy zobaczył, że drgnęła, dodał szybko: – Nie zgwałcono pani. Ale uderzenie było tak mocne, że na długo straciła pani przytomność. Była pani...

– Na jak długo? – przerwała mu.

Przyjrzał się swoim wypielęgnowanym paznokciom, zanim ponownie podniósł na nią wzrok.

– Bardzo długo. Niecałe dwa miesiące.

Gdy wypowiadał te słowa, jego wzrok wyraźnie się zmienił. Patrzył teraz krytycznie, taksująco, jak naukowiec czekający na reakcję doświadczalnego zwierzęcia, któremu zaaplikowano zastrzyk.

Sibylle wydawało się, że cały pokój wiruje. Położyła dłoń na ustach, szepcząc przez palce:

– Dwa miesiące? O Boże... – Doktor Muhlhaus siedział w milczeniu prawie bez ruchu, podczas gdy Sibylle próbowała jakoś to wszystko sobie poukładać. Była nieprzytomna przez osiem tygodni? Co mogło się wydarzyć w tym czasie? Co się działo z... – Gdzie jest mój syn? Jest z moim mężem? Wszystko z nim w porządku? A Johannes? Co z nim? – Wyraz twarzy lekarza zmienił się gwałtownie, a Sibylle poczuła się tak, jakby dostała cios pięścią prosto w żołądek. – Co się z panem dzieje? Dlaczego pan tak dziwnie na mnie patrzy? Co z Lukaszem?

Doktor Muhlhaus wbił ręce w kieszenie fartucha i przechylił lekko głowę.

– Proszę mi coś opowiedzieć o chłopcu – zażądał tonem, który wcale jej się nie podobał. Tonem, jakim ojciec rozmawia z małym dzieckiem, kiedy chce je pocieszyć. Albo psychiatra ze swoją pacjentką...

Poderwała się, siadając na łóżku. Zerwała przy tym kilka kabli przylepionych do jej głowy jakąś substancją, której okruszki rozsypały się po pościeli. Wyrwała też kilka włosów, ale zignorowała krótkotrwały ból, podobnie jak zdziwiony wzrok lekarza.

– Dlaczego nie odpowiada pan na moje pytania? Co się stało z moim synem?

Muhlhaus wydawał się rozważać, ile może jej powiedzieć, podczas gdy serce Sibylle biło w szaleńczym tempie. W końcu odezwał się tonem psychiatry:

– Musi się pani uzbroić w cierpliwość. Uderzenie w głowę i długi okres komy...

Całkiem możliwe, że nieraz jeszcze będzie pani rozkojarzona. Ale z czasem...

– Co mi pan tu opowiada, do jasnej cholery?! I dlaczego nie odpowiedział pan na żadne z moich pytań? – przerwała mu, jednocześnie obawiając się, że jeśli nie opanuje złości, lekarz nic więcej jej nie powie. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, składając dłonie jak do modlitwy. Potem dodała cicho: – Proszę. Proszę, niech mi pan powie, czy mojemu synowi nic się nie stało.

Muhlhaus pochylił się, znów kładąc rękę na jej dłoni.

– Nie mogę pani powiedzieć, dlaczego... to znaczy, skąd wzięty się u pani takie myśli. Być może to od ciosu w głowę, ale... Pani Aurich, pani jest w błędzie, pani nie ma żadnego syna.

Wpatrywała się w niego, a jej rozum, broniąc się z całych sił przed akceptacją tej informacji, próbował pojąć to, co przed chwilą usłyszała. Nie wiedziała, jak długo siedzieli w milczeniu, zanim jej umysł znalazł odpowiednie rozwiązanie tej niepojętej sytuacji.

– Panie doktorze – powiedziała w końcu – nie wiem, skąd ma pan takie informacje, ale najwidoczniej są one niekompletne. Mój syn ma na imię Lukas i ma sześć lat. To znaczy... jeśli rzeczywiście leżałam w śpiączce tak długo, jak pan twierdzi, dziś ma już siedem. Urodził się dziewiętnastego sierpnia dwa tysiące pierwszego roku w... – Urwała na chwilę. To wszystko wydawało się takie dziwne. – ...W Monachium, w klinice po prawej stronie Izary. Mój ginekolog nazywał się doktor Blesius. Mieszkaliśmy wtedy w wynajętym mieszkaniu w Bogenhausen. – Kiedy wspomniała o byłym mieszkaniu, naszło ją dziwne uczucie. Jak gdyby powiedziała coś, czego wcale nie chciała powiedzieć. Potrząsnęła głową, chcąc pozbyć się tej niepokojącej myśli. Popatrzyła na lekarza, który ciągle siedział obok jej łóżka. Co takiego...? GDZIE mieszkaliśmy? Nie mogła sobie przypomnieć. Uderzenie w głowę... Ale teraz to już bez znaczenia. – Wystarczy to panu, doktorze Muhlhaus, czy chciałby pan usłyszeć ode mnie jeszcze więcej szczegółów? A może myśli pan, że wszystko to wyssałam sobie z palca?

Muhlhaus pokiwał głową na boki, ukazując w nieudanym uśmiechu rząd białych zębów.

– Nie, nie, proszę pani, jestem pewien, że uważa pani za realne to wszystko, o czym pani mówiła. Ale nie zmienia to faktu, że jest to rezultatem uderzenia, przez które ucierpiał pani mózg. Widzi pani – odchrząknął – ludzki mózg jest zdolny do niewyobrażalnych dokonań. Ale tak samo niewyobrażalna jest jego moc płatania nam figli, jeśli mu się coś popłącze. Im wcześniej to pani zaakceptuje, tym większe będą szanse na całkowity powrót do zdrowia. Nie powinna pani w żadnym wypadku...

Sibylle bez słowa odsunęła kołdrę i podwinęła koszulę. Nie obchodziło jej, że wystawiła na widok piersi. Szybkim ruchem zerwała pozostałe kable. Po przyssawkach pozostały na jej skórze czerwone plamki. Doktor Muhlhaus nie zareagował, ale jasne punkciki na ekranach skwitowały jej zryw dzikim tańcem przy akompaniamencie przenikliwego, piskliwego sygnału. Kiedy spuściła nogi, Muhlhaus wstał, obszedł spokojnie łóżko i wprawnym ruchem wyłączył aparaturę. Zielona poświata zniknęła, a pokój rozjaśniało teraz światło sączące się z korytarza oraz z małej lampki ściennej, wiszącej za łóżkiem.

– Teraz się ubiorę i opuszczę ten dziwny szpital – oznajmiła Sibylle, starając się, by jej głos był pewny i zdecydowany. – Powiadomił pan już mojego męża, że się obudziłam? Czy

może chce mi pan wmówić, że męża też nie mam? A co z policją? To chyba normalne, że w takich wypadkach przychodzi policja i zadaje poszkodowanemu parę pytań?

– My... oczywiście, poinformujemy pani męża, że odzyskała pani świadomość. I policję też – jak tylko uznam, że jest pani zdolna do przesłuchania.

– Czuję się dobrze i chcę widzieć mojego syna.

Cały spokój, który wykazywał dotąd Muhlhaus, a który Sibylle wydawał się wręcz prowokujący, zdawał się powoli go opuszczać.

– Przede wszystkim potrzebuje pani teraz jednego, a mianowicie absolutnego spokoju – wyjaśnił wyraźnie ostrzejszym tonem i zanim Sibylle zdołała odpowiedzieć, odwrócił się i opuścił pokój.

Jej oczy potrzebowały chwili, żeby przystosować się do światła małej jarzącej się lampy. Wciąż niewiele była w stanie rozpoznać, ale na ścianie obok wejścia powinien znajdować się wyłącznik. Zdecydowanym krokiem ruszyła ku drzwiom, jednak szybko zatrzymała się. Osiem tygodni w sypialni... Jak to możliwe, że mogła wstać bez najmniejszego problemu, że mogła normalnie chodzić, jak gdyby położyła się zaledwie przed paroma godzinami? Muszę się stąd wydostać, pomyślała, czując, jak panika znów przybiera na sile. Prawdopodobnie nie zadzwonią nawet do Johanna i wcale się nie dowie, że nic mi nie dolega. O ile w ogóle wie, gdzie jestem...

Dwa duże kroki i była przy drzwiach. Zaczęła obmacywać ściany po prawej i lewej stronie wyjścia, szukając wyłącznika, ale nie mogła go znaleźć. Poszukała więc po omacku klamki, ale tam, gdzie powinna się znajdować, palce Sibylle przemknęły po wąskim, podłużnym wgłębieniu zamka bębnowego. Zrezygnowana, oparła czoło o chłodną, gładką powierzchnię drzwi.

Zamknięta. Od momentu gdy obudziła się w tym pomieszczeniu, nic nie wydawało jej się normalne. Ten lekarz, rzekoma kilkutygodniowa sypialnia, przyciemniona izolatka, w której ją zamknęto...

Może została uprowadzona i nafaszerowana narkotykami, żeby nie stawiała oporu? To mogło być wyjaśnieniem krwaka na dłoni. Ale co znaczyłyby ekrany, do których ją podłączono? I jaki sens miał mieć ten makabryczny żart z Lukaszem?

Sibylle odchyliła głowę, wpatrując się w ciemny prostokąt drzwi. Lukas! Musi go zobaczyć. Nagle cała rezygnacja zmieniła się w niewyobrażalną siłę. Zaciśnęła pięści i zaczęła walić w drzwi, ale grube drewno niemal kompletnie pochłaniało uderzenia. Poza głuchym hukiem nic nie było słychać. Ale ona nie przestawała, w dodatku zaczęła krzyczeć ile tchu w piersiach. Sama nie wiedziała, jak długo walczy, zanim w końcu opuściła ramiona i odwróciwszy się plecami do ściany, powoli osunęła się w dół.

– Lukas... – szepnęła ze łzami w oczach, kuląc się na podłodze.

Nie miała pojęcia, jak długo tak siedziała, kiedy nagle poczuła pod plecami szarpnięcie otwieranych drzwi. Jednym ruchem wstała i odskoczyła od ściany. Doktor Muhlhaus najpierw wsunął do pokoju głowę, a potem przestąpił próg i zamknął za sobą drzwi.

Klucz, pomyślała Sibylle. Musi mieć przy sobie klucz.

Chyba dostrzegł rozdrażnienie na jej twarzy, bo podniósł rękę i łagodnym tonem powiedział:

– Pani Aurich, niech się pani uspokoi. Proszę mi wierzyć, ja naprawdę chcę pani pomóc.

– Pomóc? Zamknął mnie pan w tym pokoju i kłamie w żywe oczy. To ma być pomoc? Niech mi pan odda moje rzeczy i w tej chwili mnie stąd wypuści. To jedyna pomoc, której mogę od pana oczekiwać.

Mężczyzna potrząsnął głową z poważną miną.

– Niestety, pani stan na to nie pozwala – powiedział, a widząc napięcie na jej twarzy, dodał szybko: – Jeśli będzie pani rozsądna i zgodzi się na współpracę, szybko pani stąd wyjdzie. Obiecuję.

– Gdzie jest mój syn? I gdzie jest mój mąż? – zapytała z naciskiem, na co Muhlhaus tylko pokręcił głową i szepnął teatralnie:

– Nie ma pani żadnego syna. I jak długo nie pogodzi się pani z tym faktem, tak długo nie będę mógł wyrazić zgody na opuszczenie przez panią szpitala. Stanowiłaby pani niebezpieczeństwo dla siebie i pani bliskich. Proszę odpocząć.

Po tych słowach zaczął powoli odwracać się w stronę wyjścia.

Jeśli teraz stąd wyjdzie, wszystko skończone, pomyślała z przerażeniem.

Mężczyznę w kitlu dzieliły od drzwi tylko trzy kroki. Sibylle gorączkowo rozejrzała się w ciemności, nie wiedząc nawet, czego szuka.

Dwa kroki. Lukas...!

Jeszcze tylko jeden krok. Z odwagą bliską desperacji rzuciła się przed siebie, uderzając całym ciężarem ciała w plecy lekarza. Jego drobna sylwetka odbiła się od drzwi i upadła na podłogę. Sibylle chciała wykorzystać jego zaskoczenie i obezwładnić go, ale spostrzegła, że mężczyzna się nie rusza. Chyba stracił przytomność.

Stała nad nim w rozkroku, oddychając szybko. Położyła dwa drżące palce na jego tętnicy szyjnej. Puls był wyraźnie wyczuwalny. Z ulgą odeszła o krok i wycierając oczy z łez,

obserwowała nieruchomo leżące ciało. Klucz! Musi się pospieszyć, druga taka okazja z pewnością się nie nadarzy.

Nie musiała długo szukać. W tej samej kieszeni, w której znajdował się stetoskop, znalazła cztery klucze na kółku. Przez chwilę, kiedy trzymała je w dłoni, przeszył ją dreszcz triumfu.

Między leżącym Muhlhaussem a drzwiami było akurat tyle miejsca, żeby je uchylić i precyzyjnie się na zewnątrz. W żadnym wypadku nie chciała jeszcze raz dotykać tego człowieka.

Nerwowo próbowała kluczy – już drugi pasował. Kiedy drzwi odskoczyły do wewnątrz, o mało nie wydała z siebie okrzyku radości. Powściągliwie zrobiła krok do przodu, wychylając głowę na zewnątrz. Chłodny blask jaskrawego światła, pochodzącego z rzędu świetlówek umocowanych na niskim suficie, zmusił ją do zmrużenia oczu. Kiedy je ponownie otworzyła, ujrzała pusty, długi mniej więcej na pięć metrów korytarz. Pokój, w którym jeszcze przed chwilą się znajdowała, mieścił się w jego przedniej części. Po przeciwnej stronie widać było drugie drzwi. Znajdujące się po obu stronach szare gołe ściany pozbawione były zarówno innych drzwi, jak i okien.

Nie wygląda to na typowy korytarz szpitalny, pomyślała, stawiając kolejny krok. Dopiero gdy zatrzęsała się z zimna, uświadomiła sobie, że jest ubrana tylko w cienką szpitalną koszulę. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wrócić do pokoju i poszukać swoich rzeczy, ale szybko odrzuciła tę myśl. Jeśli ten typ się ocknie, podczas gdy ona będzie szukała ubrań, to wszystko przepadnie. Kolejny raz nie da się zaskoczyć. Musi jak najszybciej stąd zniknąć, wszystko inne stało się teraz drugorzędne.

Najciszej, jak było to możliwe, zamknęła za sobą drzwi, by utrudnić Muhlhausowi pogoń za nią, w razie gdyby odzyskał przytomność. Odgłos bosych stóp na zimnej betonowej podłodze wydał jej się tak nienaturalnie głośny, że ostatnie metry przeszła na palcach. Drzwi po przeciwnej stronie też nie miały klamki. Tym razem pasował do nich dopiero ostatni z kluczy. Sibylle modliła się, żeby nie natknąć się na któregoś z kolegów Muhlhausa. Z bijącym szybko sercem przekręciła klucz i otworzyła drzwi.

Pomieszczenie było długie na jakieś dziesięć metrów i mniej więcej tak samo szerokie – przypominało nieco halę piwniczną. Nagie świetlówki, z których sączyło się nieprzyjemne światło, żadnych okien. Na podłodze stały porozmieszczane bez jakiegokolwiek porządku różnej wielkości skrzynie. Oprócz nich nie było tu nic więcej.

Odetchnęła głęboko i szybkim krokiem przemierzyła pokój. Przekroczyła przejście po przeciwnej stronie i znalazła się nagle w ciemnej, wąskiej klatce schodowej z nieotynkowanymi ścianami.

Słyszając dudnienie własnego serca, postawiła nagą stopę na pierwszym stopniu. Po pokonaniu czterech segmentów schodów, po dziesięć stopni każdy, stanęła w końcu przed stalowymi, szarymi drzwiami. Dwadzieścia sekund i dwa klucze później oślepiło ją słońce. Ciepło otulające jej ciało wyzwoliło uczucie błogości i Sibylle musiała się opanować, żeby z radości nie krzyknąć. Przed nią rozpościerał się zapuszczony ogród, porośnięty po bokach drzewami i krzewami. W zaroślach odkryła szeroką na metr wyrwę, dokąd prowadziła dróżka z wyłożonych, podniszczonych już i częściowo popękanych betonowych płyt, między którymi rozrastały się bujnie chwasty. Sibylle odwróciła się. Tylną ścianę trzypiętrowego budynku urozmaicały rzędy okien i rzeczywiście przypominał on szpital. Szpital, w którego piwnicy ją więziono... Zaczęła biec po nierównych płytach. Dwa razy drgnęła, kiedy nastąpiła bosą

stopą na kamyk. W końcu jednak udało jej się opuścić ogród. Ulica za posesją nie wydała się jej znajoma, ale odetchnęła z wielką ulgą, kiedy zauważyła, że zaparkowane w pobliżu samochody miały ratyzbońskie numery rejestracyjne. Chodnikiem zbliżała się w jej kierunku starsza para. Dwoma susami Sibylle znalazła się z powrotem w ogrodzie, chowając się za zaroślami. Kiedy czekała, aż tamci przejdą, zastanawiała się, co ma robić dalej. Lukas... Johannes... Muszę jak najszybciej dostać się do domu. Najpierw upewni się, że jej synowi nic nie grozi; później pójdzie z mężem na policję.

Zamarła. Kiedy myślała o Lukasiu i Johannesie, znowu ogarnęło ją to dziwne uczucie, coś jakby wyrzuty sumienia, ale tak intensywne, że aż rozboleł ją brzuch. Co, do diabła... Przynajmniej w tym punkcie Muhlhaus miał rację: Coś było z nią nie w porządku. Ale dlaczego próbował jej wmówić, że nie ma syna? Chciał przez to chronić Lukasa przed jego nienormalną matką? Czyżby rzeczywiście w swoim obecnym stanie stanowiła niebezpieczeństwo i zamknęto ją z racjonalnych powodów?

Bzdura... To przecież niemożliwe.

Z zadumy wyrwała ją niewyraźna rozmowa pary, która właśnie przechodziła po drugiej stronie gęstych krzewów. Sibylle odczekała minutę, zanim ponownie odważyła się wyjść na ulicę. Szybko rozejrzała się wokół, a gdy stwierdziła, że nikt więcej się nie zbliża, ruszyła przed siebie.

Nie miała pojęcia, gdzie dokładnie się znajduje, ale musiała jakoś dostać się do domu, nie wzbudzając przy tym zainteresowania swoim nietypowym strojem. Być może uda jej się kogoś poprosić o pomoc albo chociaż o komórkę, żeby zadzwonić? Uważając, by nie nastąpić na ostre kamyki lub odłamki szkła, raz po raz zerknęła na pobliskie domy z imponującymi ogrodami. Większość fasad miała piękne ornamenty wokół okien, drzwi i pod dachami.

Po dwóch minutach dotarła na skrzyżowanie i stwierdziła z ulgą, że zna tę szeroką, uczęszczaną przecnicę. Była to ulica Adolfa Schmetzera. Idąc w lewo, można było dojść do Ostentoru.

Teraz wiedziała już z całą pewnością, że trzymano ją w podziemiach szpitala. Do tej pory tylko raz albo dwa przejeżdżała tędy i nigdy nie była w środku, ale wiedziała, że to był szpital. Chyba nawet jakaś prywatna klinika.

Do domu miała mniej więcej cztery kilometry.

W pewnym momencie zauważyła trzech młodych chłopaków, którzy zatrzymali się po drugiej stronie skrzyżowania i wytykając ją palcami, wykrzykiwali w jej stronę wulgarne epitety. Tym samym zwrócili na Sibylle uwagę innych przechodniów. Niektórzy rzucali tylko zdziwione spojrzenia i szli dalej, inni zaś zatrzymywali się i gapili bez żadnego skrępowania. Nigdy dotąd nie czuła się tak bezbronna. Cofnęła się parę kroków, aż poczuła za plecami mur. Przycisnęła ciało do ściany, zaciskając uda i starając się naciągnąć koszulę przynajmniej na tyle, żeby zasłonić bieliznę. Dla grupki wyrostków był to jednak tylko kolejny powód do wydania z siebie dzikiego ryku.

Narastała w niej panika. Nigdy nie uda jej się dotrzeć do domu. Nie uda jej się pokonać nawet pięciuset metrów, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi gapiów. Drgnęła, kiedy tuż przed nią, trąbiąc głośno, zatrzymał się samochód. Odruchowo chciała rzucić się do ucieczki, lecz uświadomiła sobie, że to nie ma sensu. Kiedy szyba po stronie pasażera opuściła się, Sibylle z wahaniem, małymi krokami podeszła do auta i zajrzała do środka.

Za kierownicą siedziała korpulentna kobieta około sześćdziesiątki, z krótko przystrzyżonymi włosami w niespotykanej czerwonym odcieniu. Uroku dodawały jej okulary

w krzykliwej, zielonej oprawce w stylu lat sześćdziesiątych.

– Mój Boże, dziecinko, jak ty chodzisz po ulicy? – odezwała się ze szczerą troską w głosie. – Przysporzysz sobie kłopotów.

Sibylle wystarczyła chwila, by dostrzec szansę szybkiego dostania się do domu bez wywoływania sensacji.

– Tak, wiem – odparła, próbując ułożyć rozpedzone myśli w jakiś sensowny scenariusz wydarzeń. – Ja... pokłóciłam się z mężem i wybiegłam na ulicę w tym, co miałam. Biegłam i biegłam, a teraz...

– A teraz najwidoczniej stałaś się niezłą atrakcją dla co niektórych – przerwała jej kobieta, patrząc z pogardą na grupę nieletnich. – No już, wsiadaj! – Pochyliła się nad siedzeniem pasażera i otworzyła drzwi od wewnątrz, przy czym dźwignia zmiany biegów wbiła się w jej obfity biust.

Sibylle wahała się tylko przez moment, a potem wskoczyła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Sekundę później starsza pani ruszyła dynamicznie, nie zważając na to, że kierowca nadjeżdżającego za nią auta, zmuszony do ostrego hamowania, wyraził swoje niezadowolenie, waląc dziko pięścią w klakson.

Sibylle otarła pot z czoła i zamknęła oczy. Pod jej powiekami od razu skryzalizował się obraz chłopca o blond włosach. Uśmiechał się do niej, ukazując najśłodsza przerwę w rzędzie białych ząbków, jaką można sobie było wyobrazić.

Przez chwilę jego wzrok podążał za autem, do którego właśnie wsiadła. Kiedy samochód zniknął z jego pola widzenia, wyciągnął z kieszeni telefon i nacisnął przycisk ponownego wybierania numeru.

Osoba po drugiej stronie zgłosiła się po pierwszym sygnale.

– To ja – oznajmił zwięźle i w paru słowach zdał relację.

– Dobrze, Hans – usłyszał w słuchawce. – Jedź teraz do domu.

Hans wsunął telefon z powrotem do kieszeni i ruszył przed siebie pewnym krokiem. Jego samochód stał na parkingu przed kliniką. Po drodze o mało nie poślizgnął się na skórcie od banana, którą ktoś bezmyślny rzucił na chodnik. Ominął ją w ostatnim momencie. Pomyślał, co by się stało, gdyby poślizgnął się i coś sobie złamał. Zdarzenie brzemienne w skutkach. Dla Doktora. Dla niej...

Często się nad tym zastanawiał. Całe życie składało się z przypadków. Z ludzi, zwierząt i innych elementów, które stykały się ze sobą w każdej sekundzie. Każde takie spotkanie było zdarzeniem i nad każdym z nich warto było się zastanowić, ponieważ każde wychylenie elementu z toru mogło zmienić losy świata.

Jeśli na przykład pies, który powinien natknąć się na chodniku na skrawek papieru, zwiędnięty klonowy liść, drobinki kurzu czy parę grudek błota, nagle kopniakiem zostanie posłany na jezdnię, być może dojdzie do zdarzenia między psem i samochodem, w którym na miejscu pasażera mógłby siedzieć chłopiec. Czterdzieści lat później ten chłopiec mógłby zostać kanclerzem. Ale nim nie zostanie, ponieważ kierowca samochodu podczas próby ominięcia psa zderzy się czołowo z innym pojazdem.

Czterdzieści lat później być może kanclerzem zostanie ktoś inny – może ktoś, u kogo pod powłoką geniuszu czai się obłąd i tylko czeka, by wychynąć na zewnątrz i wyrządzić szkodę całemu światu. A to wszystko jedynie dlatego, że ktoś nie pozwolił psu spokojnie obwąchać chodnika.

Hans zastanawiał się nad takimi sprawami, ponieważ zdarzało się często, że on sam zmieniał zdarzenia, wpływając na jeden albo więcej małych elementów. Nie żeby wykopywał psy na jezdnię – nawet by mu się nie śniło tak zrobić, bo za bardzo kochał zwierzęta. Raczej były to elementy ludzkie, które usuwał z całkiem prawdopodobnych ciągów zdarzeń.

Gdy siedział już za kierownicą swojego samochodu, zadał sobie pytanie, kiedy będzie

musiał wyrzucić decydujący wpływ na nią. Ona była elementem, który Doktor nazywał Jane Doe.

– Jane – wymamrotał i pomyślał o Trakcie.

– Powiedz mi, dziecinko, gdzie mieszkasz? Zawiozę cię do domu. Na pewno jakoś się dogadasz z tym twoim królewiczem. – Sibylle otworzyła oczy i spojrzała na siedzącą obok kobietę. Mimo niecodziennego koloru włosów i krzykliwych okularów wydała się sympatyczna. Podyktowała jej adres, a kobieta skinęła głową. – Znam tę okolicę. A tak w ogóle to jestem Rosemarie Wengler – rzekła z uśmiechem, wpatrując się w swoją pasażerkę tak długo, że o mało nie najechała na znajdujący się przed nią pojazd. Zahamowała dopiero, gdy Sibylle krzyknęła. Zatrzymały się zaledwie parę centymetrów od bagażnika niebieskiego golfa, ale Rosemarie kontynuowała rozmowę, jak gdyby nic się nie stało. – Wszystkim moim kochankom pozwalam mówić do siebie Rosie – wypaliła, a gdy pasażerka utkwiała w niej zdziwiony wzrok, dodała: – Tobie oczywiście też.

Pomimo że Sibylle czuła się naprawdę podle, a troska o syna zajmowała wszystkie jej zmysły, musiała się uśmiechnąć.

– Mam na imię Sibylle – odparła. – Jestem pani bardzo wdzięczna za okazaną pomoc.

Rosie machnęła tylko ręką i zażartowała, że młode dziewczyny muszą sobie pomagać. Przez resztę drogi właściwie nie przestawała gadać i chociaż Sibylle, pogrążona we własnych myślach, słuchała jej tylko jednym uchem, poznała szczegóły dotyczące kochanków Rosie, uderzeń gorąca po menopauzie i butiku na ratyzbońskiej starówce, gdzie są „niezłe ciuchy dla mocnych dziewczyn”. Kobieta nie zadawała żadnych pytań, co Sibylle przyjęła z wielką ulgą. W końcu zatrzymali się przed eleganckim białym domkiem, który Sibylle z mężem kupili dwa lata temu od pary niemogącej już spłacać rat po tym, jak mężczyzna stracił pracę. Sibylle, wciąż siedząc w samochodzie, wpatrywała się w fasadę budynku. Czuła, jak przyspiesza jej tętno. Johannes... Lukas... Miała nadzieję, że obaj są w domu. Z zamyślenia wyrwał ją odgłos dartego papieru.

– Masz! – Rosie podała jej skrawek kartki, wyrwanej najprawdopodobniej z leżącego na jej kolanach notesu. – Mój numer. Jeśli znowu będziesz miała z nim kłopoty – kiwnęła głową w stronę domu – i będziesz chciała półnaga pospacerować po mieście, to zadzwoń. Ja też się rozbiorę i wspólnie poimprezujemy.

Sibylle wzięła kartkę.

– Dziękuję, pani...

– Rosie.

– Dziękuję, Rosie.

Otworzyła drzwi i już chciała wysiąść, ale kobieta przytrzymała ją za rąbek koszuli.

– Czekaj! – Z mozołem, sapiąc ciężko, sięgnęła za siebie i wydobyła z tylnego siedzenia ciemny płaszcz w jodełkę. – Wożę go zawsze ze sobą, tak na wszelki wypadek. Nie pasuje może do pory roku, ale i tak jest lepszy niż ta twoja kreacja. – Kiedy Sibylle wzięła od niej płaszcz, Rosie zapytała jeszcze: – Jaki masz rozmiar buta?

– Trzydzieści osiem. Dlaczego pytasz?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko pochyliła się pod kierownicę, a po chwili podała Sibylle swoje buty. Płaskie, turkusowe mokasyny.

– Masz. Co prawda to czterdziestka, ale jakoś sobie poradzisz. Lepiej za duże niż za małe. – Sibylle zawahała się, ale Rosie stanowczym gestem położyła buty na płaszczu. – No weź. Ja też mogę pobiegać trochę na bosaka. A teraz wracaj do męża.

Sibylle chwyciła jej dłoń i przez chwilę trzymała ją w uścisku. Potem wysiadła i założyła buty na bose stopy. Mimo dość wysokiej, letniej temperatury zapięła płaszcz na guzik. Był co najmniej trzy numery za duży i zwisał ciężko z jej ramion.

Odgłos odjeżdżającego samochodu zarejestrowała tylko mimochodem, ponieważ w tym samym momencie dziwne uczucie znów wyciągnęło w jej kierunku swoje szpony – wrażenie, że coś tu ogólnie nie gra. Nawet dom wydał się teraz obcy, jakby nie należał do niej; jakby nie patrzyła na miejsce, w którym Lukas, Johannes i ona przeżyli razem tyle radosnych chwil, tylko na jakąś kopię. Wprawdzie wyglądała podobnie, ale nie miała nic wspólnego z nią i z jej rodziną.

Co się z tobą dzieje, Sibylle Aurich? Lęk przed tym, że naprawdę traciła, a może nawet już postradała zmysły, był tak realny, że chciało się jej krzyczeć.

W końcu postanowiła, że nie może tak dalej stać, i ruszyła w stronę drzwi wejściowych. W ogrodzie, do którego można było dotrzeć wąską ścieżką wiodącą po lewej stronie budynku, pod jedną z donic leżał zapasowy klucz, ale Sibylle czuła, że będzie lepiej, gdy zadzwoni. Nawet jeśli była pewna, że nie spędziła ostatnich dwóch miesięcy w śpiączce, i tak nie wiedziała, jak długo trwała jej rozłąka z rodziną. Nie chciała śmiertelnie wystraszyć Lukasa czy Johannesesa swoim nagłym pojawieniem się w salonie.

Nieśmiało, jakby bała się, że coś uszkodzi, nacisnęła przycisk gongu. Rozległ się znany dźwięk, a jej serce zaczęło bić tak gwałtownie, że omal słyszała szum przetaczającej się krwi.

Boże, proszę, żeby tylko byli w domu.

Kiedy usłyszała odgłos zbliżających się kroków, jej oczy wypełniły się łzami. Drzwi otworzyły się i w progu stanął Johannes.

– Hannes! – zawołała i nie czekając na jego reakcję, rzuciła mu się na szyję. Chciała go objąć, całować, chłonać jego utęsknioną bliskość... ale on – zamiast się cieszyć, zamiast wziąć ją w ramiona i przytulić – odepchnął ją z taką siłą, że o mało się nie przewróciła.

– Czy pani zwariowała?! – krzyknął. – Kim pani jest i czego ode mnie chce?! – Sibylle stała jak sparaliżowana. Nie była w stanie się ruszyć, nie była w stanie nawet powiedzieć słowa. W jej umyśle powstała próżnia. Zawroty głowy rozhuśtał widok Johannesesa poprawiającego niedbałym gestem pulower. Czerwony, pod szyją wycięty w szpic, który sprezentowała mu na trzydzieste ósme urodziny. Popatrzył na nią jak na istotę pozaziemską, omiatając wzrokiem jej za duży płaszcz i turkusowe buty, aby po chwili ponownie spojrzeć jej w twarz. – Pani jest z jednej z tych sekt czy coś w tym rodzaju? – zapytał już nieco spokojniej.

Sibylle wpatrywała się w niego, ciągle jeszcze niezdolna się poruszyć. – Sorry, ale pani tu...

– Hannes! – krzyknęła, a jej głos wydał jej się obcy. – Ale... Hannes, co... To przecież ja, Sibylle...

Uniósł brwi, a na jego czole pojawiły się zmarszczki.

– Sibylle? Jaka Sibylle? I dlaczego nazywa mnie pani Hannesem?

W jednej chwili opuściły ją paraliż i przerażenie, a na ich miejscu pojawił się eksplodujący z siłą wulkanu gniew.

– Hannes, mam definitywnie dość tego kretynizmu! – krzyknęła. – Czy wszyscy powariowali? Popatrz na mnie, Johannesie Aurich! Stoi przed tobą Sibylle Aurich, nazwisko panięskie Fries, twoja żona od dwudziestego piątego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, która właśnie obudziła się w piwnicy, gdzie ktoś ją więził. A teraz powiedz mi, że wiesz, kim jestem, i tylko głupio zażartowałeś. I pozwól mi w końcu wejść do naszego domu, bo naprawdę nie czuję się najlepiej i mam mnóstwo pytań. Poza tym chciałabym natychmiast zobaczyć Lukasa. Gdzie on jest? Wszystko z nim w porządku?

Mężczyzna wpatrywał się w nią z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Pani... Kim pani jest? – Położył rękę na czole, co chwila kręcąc głową.

Sibylle nie wytrzymała i wybuchła płaczem. Powoli postąpiła krok w jego kierunku.

– Hannes... ja nie wiem... ty... boję się ciebie. Bardzo się boję. Czy możesz już przestać? Proszę... Nie wiem, co dokładnie się ze mną działo. Wiem tylko tyle, że po spotkaniu z Elke szłam wieczorem przez park. I że ktoś na mnie napadł. Następną rzeczą, którą sobie przypominam, jest piwnica w jakimś szpitalu, w której obudziłam się dwie godziny temu. Proszę cię, Hannes... dłużej tego nie wytrzymam. Pozwól mi przynajmniej zobaczyć się z Lukaszem.

Chyba dopiero teraz spostrzegł, że się do niego zbliża. Odskoczył, pochylając się nieco do przodu, i oparł ręce na udach, jakby zmęczył go długodystansowy bieg. Potem powoli podniósł głowę.

– Kim pani jest i co to, do diabła, za chory żart? – powiedział cichym głosem. – Moja żona... Sibylle rzeczywiście została napadnięta. Nikt nie wie... ona zaginęła. – Jego głos niemal przeszedł w szept. – To było prawie dwa miesiące temu.

Pod Sibylle ugięły się kolana. Miała wrażenie, że jej kości wykonane zostały z wosku, który nagle pod wpływem temperatury zaczął się topić. Niezdolna do jakiegokolwiek samokontroli, jak w zwolnionym tempie przykucnęła, a potem siadła na beżowych płytkach, którymi wyłożona była ścieżka.

Dwa miesiące... A więc Muhlhaus jej nie okłamał. Przynajmniej w tej kwestii. Ale jak to było możliwe? I dlaczego Johannes twierdzi, że jej nie zna?

– Hannes, nie wiem, co się ze mną dzieje, ale... być może miałam wypadek i teraz wyglądam inaczej. Cokolwiek jest tego przyczyną, pozwól mi udowodnić, że to naprawdę ja. Możesz mi zadać jakieś pytania. Zapytaj mnie o coś, co tylko... co może wiedzieć tylko twoja żona Sibylle, dobrze? – Ponieważ mężczyzna milczał, powtórzyła cicho: – Proszę cię.

Cały czas patrzył na nią zszokowany, a sekundy wydłużały się w nieskończoność. W końcu na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech.

– To jakiś kiepski żart – powiedział, ale chwilę później jego twarz przybrała kamienny wyraz. – Niech mi pani powie, gdzie Sibylle przechowuje swój album numizmatyczny.

Sibylle uśmiechnęła się z ulgą.

– Album numizmatyczny? Nigdy nie miałam żadnego albumu. W domu jest tylko jeden i należy do ciebie. Trzymasz go w komodzie w sypialni, w szufladzie na samym dole.

– Na której stopie mam znamię?

– Na lewej, na pięcie. Trochę się powiększyło i rok temu myślałeś już o tym, żeby je usunąć. Ale ciągle znajdowałeś jakieś wymówki, żeby tylko nie pójść do dermatologa. – Jego mina zdradzała zaskoczenie. – Dalej, Hannes – nalegała, ciągle myśląc o Lukasiu. Musiała wejść do domu.

– W dniu, w którym zaginęła Sibylle, rankiem przeczytałem na głos artykuł z gazety. Czego dotyczył?

– To nie był żaden artykuł, tylko mój horoskop – odparła bez wahania. – Śmiałeś się, bo pisali, że spotkam w tym dniu miłość mojego życia. – Zauważyła jeszcze większe osłupienie na jego twarzy, odczekała więc chwilę, zanim zapytała: – Czy teraz mi wierzysz?

Było widać, że walczy ze sobą. Nie przestawał się w nią wpatrywać, aż w końcu powiedział:

– Niech pani wejdzie.

Och, Lukas! W końcu! Lukas!

Weszła do środka, zdjęła w przedpokoju płaszcz Rosie i powiesiła go na wieszaku. Zauważyła, że ciągle ściska w dłoni kartkę z jej numerem telefonu. Nie zastanawiając się długo, wsunęła ją za gumkę majtek.

Kiedy się odwróciła, Johannes stał nieruchomo, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w jej szpitalną koszulę.

– Później ci to wyjaśnię – rzuciła i weszła do salonu. – Lukas? – Cisza. – Hannes, gdzie jest Lukas?

Zawahał się.

– Lukas?

Wielkie nieba, Hannes, co się z tobą dzieje?!

– Tak, Lukas. Nasz syn.

– A tak, więc... Lukasa nie ma w domu – odparł niezdecydowanie. – Jest u kolegi.

– Wszystko z nim dobrze? U jakiego kolegi? Możesz tam zadzwonić? Chciałabym z nim porozmawiać.

– Jest... u chłopaka, którego poznał parę dni temu. Bardzo miłe dziecko. Dobra rodzina, bardzo dobra...

Sibylle nie mogła stłumić cichego jęku. Dziwne zachowanie Hannesa, podejrzany ton jego głosu – wszystko wytrącało ją z równowagi. Miała wrażenie, że wędruje przez obce światy, gdzie nic – nawet najdrobniejszy szczegół – nie było takie, jak powinno. Starła się jednak nadać swojemu głosowi zrównoważone brzmienie.

– Mam dla ciebie propozycję. Pójdę na chwilę na górę, ubiorę się w coś normalnego, a ty w tym czasie zadzwonisz do domu tego chłopca i powiesz Lukasowi, że mama wróciła. Potem dasz mi słuchawkę.

– No... Dobrze – odparł niepewnie i Sibylle wyszła z pokoju.

W połowie schodów musiała się zatrzymać i oprzeć o ścianę, bo znów zakręciło się jej w głowie. Spojrzała na kilka stopni dzielących ją od piętra i nagle poczuła przemożną chęć wejścia do pokoju jej syna. Tak bardzo chciała wziąć do ręki coś, co należało do niego, co pachniało nim...

Zdecydowanym krokiem pokonała resztę schodów, ale kiedy stanęła w małym korytarzu na pierwszym piętrze, zawahała się. Co ja to chciałam – gdzie... Nagle poczuła się tak, jakby wypijała za dużo alkoholu, tak dużo, że rzeczy, które w jednej chwili wydają się strasznie ważne, za moment stają się drugorzędne, a po chwili zupełnie się o nich zapomina. Odwróciła się i poszła do sypialni.

W lustrzanych drzwiach szafy zobaczyła siebie po raz pierwszy od czasu powrotu do życia. Jednak kobieta, na którą patrzyła, wydała jej się obca. Owszem, jej twarz była znajoma, ale raczej jak twarz przyjaciółki albo siostry, a nie jej własna. Blond włosy do ramion, lekko zakręcone, należały bez wątpienia do niej, tak samo jak piegi wokół nosa. Postać w lustrze miała więcej wzrostu niż jej metr siedemdziesiąt, ale to chyba było efektem kąta pochylenia drzwi. Jak na swoje trzydzieści cztery lata wyglądała jeszcze całkiem, całkiem, jednak... jakoś dziwnie. Tak dziwnie, jak wszystko w tej chwili.

Otworzyła szafę i wyciągnęła z niej parę dżinsów i biały T-shirt. Gdy naciągnęła na siebie spodnie, stwierdziła, że w ostatnich dwóch miesiącach straciła parę kilogramów – były co najmniej o numer za duże i zwisały jej na biodrach. Ale były też krótsze. Prawdopodobnie Johannes wyprał je podczas jej nieobecności, nastawiając pralkę na zły program. Sibylle nie

przejęła się tym jednak. Najważniejsze, że nie muszę już ganiać po mieście półnaga jak uciekiniarka z psychiatryka, pomyślała. Na koszulkę włożyła jeszcze cienką bawełnianą bluzę, a stopy wsunęła ponownie w mokasyny Rosie, które okazały się bardzo wygodne.

Już chciała wyjść z sypialni, gdy jej wzrok zatrzymał się na fotografii stojącej na stoliku nocnym po stronie Hannesa. Znała to zdjęcie. Nasza podróż poślubna na Kretę. Pamiętała, że Hannes dał aparat jednemu z tych przystojnych Greków i poprosił, by ten zrobił im zdjęcie.

Z czułym uśmiechem na ustach podeszła bliżej, wzięła drewnianą ramkę i przyjrzała się fotografii. Ale gdy tylko spojrzała na zdjęcie, ramka wypadła z jej odrętwiałych nagle palców i wylądowała na wykładzinie.

Sibylle, oniemiała, patrzyła na fotografię i próbowała skupić myśli. Powoli przysiadła na piętach, nie odrywając wzroku od kolorowego obrazka w ramce. Okolica była ta sama, Hannes wyglądał tak samo jak teraz, oczywiście na zdjęciu był trochę młodszy. Ale kobieta, którą trzymał w objęciach... To nie była ona. Ta kobieta wprawdzie także była blondynką, ale był to zupełnie ktoś inny. Sibylle miała wyraźne wrażenie, że gdzieś już ją widziała, nie umiała sobie jednak przypomnieć ani jej imienia i nazwiska, ani okoliczności, w których ją poznała. Skąd wzięła się kobieta na fotografii z ich podróży poślubnej?

Podniosła się nieco i usiadła na krawędzi łóżka.

A więc dobrze, podsumujmy: Brakuje ostatnich dwóch miesięcy mojego życia. Byłam zamknięta w piwnicy jakiegoś szpitala, obezwładniłam lekarza i uciekłam. Półnaga biegałam po ulicach Ratyzbony, a miła, choć zwariowana starsza kobietka podwiozła mnie do domu tylko po to, żebym się dowiedziała od mojego męża, że nie jest moim mężem, a ja nie jestem mną. Udało mi się nakłonić go do tego, żeby mnie wysłuchał, po czym w sypialni znalazłam fotografię z naszej podróży poślubnej, na której u boku mojego męża, w miejscu, w którym na pewno stałam, stoi inna kobieta.

Ściany sypialni zamazały się, gdy oczy Sibylle zaszyły łzami. Podniosła się i po omacku, jak lunatyk, opuściła pokój. Nie usłyszała nawet suchego trzasku, kiedy nastąpiła na leżącą na podłodze ramkę z fotografią.

Kiedy weszła do salonu, Johannes siedział w fotelu, w którym zwykła oglądać telewizję. Drgnął, gdy zobaczył ją w za szerokich i zbyt krótkich spodniach.

– Zadzwoiłeś? – zapytała od razu.

– Tak – odparł, nieco zbyt szybko. – Rodzice tego chłopaka zaraz przywiozą Lukasa.

Za chwilę tu będzie. – Jego uśmiech wydał jej się dziwny, niepasujący do całości.

Usiadła na kanapie. Postanowiła nie pytać o tamto zdjęcie. Jeszcze nie teraz.

– Dobrze. Tak... to dobrze. – Fotografia, dziwne zachowanie Hannesa... Nieodparte wrażenie, że coś udaje, stopniowo zamieniało się w poczucie pewności. Chyba lepiej będzie, jeśli skorzysta z pierwszej lepszej okazji i ucieknie od niego razem z Lukaszem. O wszystko inne zatroszczy się, kiedy już znajdą się w jakimś bezpiecznym miejscu. Ale dokąd mam się udać? I jak? Przecież w ogóle nie mam... Stara puszka po cukrze w kuchennej szafce! Od przeszło dwóch lat odkładała co miesiąc pewną kwotę, żeby na czterdzieste urodziny Johannesowi zafundować mu licencję pilota ultralekkich samolotów. Marzył o tym. Ale chyba będzie musiał z tego zrezygnować. – Idę do kuchni po coś do picia – oznajmiła, nadając swemu głosowi beztroski ton. – Przynieść ci coś?

– Nie... – Znów jakby się zawahał. – Nie, dziękuję.

W kuchni najpierw spojrzała na ścienny zegar: dwunasta czterdzieści. Jeszcze do niedawna nie wiedziała, czy jest przed południem, czy po południu. Podeszła do szafki obok

zlewu i otworzyła ją. Z bijącym sercem przesunęła parę konserw w nadziei, że Johannes do tej pory nie odkrył tej kryjówki. Metalowa puszka pomalowana w kolorowe kwiaty stała na swoim miejscu, daleko w tyle regału. Sibylle wydostała ją, drżącymi palcami uniosła wieczko i westchnęła z ulgą, gdy jej wzrok spoczął na banknotach. Wyjęła je i zaczęła upychać w kieszenie spodni. Następnie zamknęła pojemnik i schowała go z powrotem do szafki. Nie wiedziała, ile dokładnie zaoszczędziła, ale musiało tego być jakieś tysiąc euro. Na początek wystarczy.

Kiedy otwierała lodówkę, usłyszała kroki i niewyraźne głosy dobiegające z przedpokoju.

Serce zabiło jej szybciej. Lukas, mój Boże, wreszcie! Zaśmiała się z ulgą i już chciała wybiec z kuchni, lecz przed drzwiami gwałtownie się zatrzymała. W przedpokoju stało dwóch mężczyzn, którzy przyglądali się jej z poważnymi minami. Ten bliżej niej miał krótkie blond włosy, a wydatne kości policzkowe nadawały jego wąskiej, opalonej twarzy bardzo męski wyraz. Mógł mieć jakieś trzydzieści lat. Drugiego oceniła na mniej więcej czterdzieści pięć – dosyć zaawansowaną już łysinę okalał cienki wianuszek czarnych włosów, tu i ówdzie poprzetykanych srebrnymi pasemkami.

– To ona – powiedział Johannes histerycznym głosem, wskazując ją palcem. – To ta kobieta.

– Hannes! – krzyknęła. – Gdzie jest Lukas? I kim są ci...

– Dzień dobry – przerwał jej młodszy z mężczyzn. – Martin Wittschorek, oficer śledczy. Mój partner to nadkomisarz Oliver Grohe. Czy mogłaby nam pani powiedzieć, jak się nazywa?

– Nazywam się Sibylle Aurich i mieszkam tutaj – odparła, siląc się na spokój. – Ale co panowie tutaj robią? Czy coś się stało z moim synem?

– Nic nie wiemy o pani synu – powiedział Grohe. – Jesteśmy tutaj, bo zadzwonił do nas pan Aurich.

Johannes? Dlaczego ich wezwał? Ależ oczywiście! Nie było mnie dwa miesiące, musiał więc poinformować policję. Teraz pewnie chcą ze mną porozmawiać.

– Powiem panom wszystko, co wiem, ale lada chwila przyjedzie mój syn. Chciałabym najpierw upewnić się, że wszystko z nim w porządku.

Grohe zmarszczył czoło.

– Wszystko, co pani wie o czym?

– No... o moim uprowadzeniu.

Policjanci popatrzyli po sobie, a potem utkwili nieco zdezorientowane spojrzenia w Johannesie.

– Mówiłem już, że zwariowała – oznajmił. – Zna najdrobniejsze szczegóły z naszego życia. Musi mieć z tym jakiś związek. O mało nie zacząłem już wierzyć, że... że moja żona wróciła i z jakichś powodów wygląda inaczej. Używa nawet tych samych zwrotów, jakich używała Sibylle. Musieli ją przez cały czas porządnie maglować, żeby z niej to wszystko wyciągnąć. Ale – wyraz jego twarzy nagle uległ zmianie – moja żona zastawiła na nią pułapkę.

– Nie tylko policjanci, ale i Sibylle popatrzyła na niego absolutnie zdumiona. Mijały sekundy, a Hannes jakby delectował się tą chwilą, patrząc jej prosto w oczy. – Sibylle udało się przekonać tę panią, że mamy syna Lukasa. A ta dała się nabrać.

Po tych słowach świat Sibylle spowiła czarna mgła. Jeszcze zanim otworzyła oczy,

usłyszała czyjś głos:

– Odzyskuje przytomność. – Brzmiało to tak, jakby ktoś mówił przez kłębek waty. Leżała w salonie na kanapie. Młodszy z policjantów, którego nazwiska nie pamiętała, siedział obok niej. Odchyliła nieco głowę i ujrzała Johannesę, stał z drugim oficerem przed kominkiem. Rozmawiali półgłosem. – Jak się pani miewa? – chciał wiedzieć mężczyzna obok niej.

– Źle – odparła, siadając ostrożnie. Policjant podniósł się, ale zaraz ponownie usiadł, kiedy ściągnęła nogi z kanapy. Przesunęła palcami po włosach i popatrzyła na niego. Wydał się jej nawet sympatyczny. – Czy może mi pan powiedzieć, co się stało? Proszę... Mój mąż jest taki... Wie pan, gdzie jest mój syn?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Właściwie mieliśmy nadzieję, że to pani nam wyjaśni, co miało oznaczać to całe przedstawienie. Będzie nam pani musiała udzielić odpowiedzi na parę pytań. Żebym mógł powiedzieć cokolwiek na temat pani dziecka, musiałbym najpierw wiedzieć, kim pani jest.

Sibylle przetarła ręką twarz i westchnęła ciężko.

– Znowu się zaczyna... Już panu mówiłam: nazywam się Sibylle Aurich i mieszkam tutaj, nawet jeśli mój mąż uparcie temu zaprzecza. Ale chcę w końcu wiedzieć, gdzie jest Lukas. Słyszysz pan? Chcę natychmiast widzieć się z moim dzieckiem! – Jej głos przybrał na sile.

Oficer śledczy porozumiał się wzrokiem z kolegą. Tamten skinął głową i powiedział spokojnym głosem:

– Nie jest pani Sibylle Aurich. Pracujemy nad tą sprawą od czasu jej zniknięcia dwa miesiące temu i widzieliśmy już parę jej fotografii. Nie tylko tutaj, ale też u przyjaciół i krewnych. Wszystkie te zdjęcia przedstawiały tę samą kobietę i ta kobieta definitywnie nie była panią. Z całą pewnością wiemy też jeszcze jedno: Sibylle Aurich nie ma dziecka. Będzie pani musiała pójść z nami.

Pójść z nami... Nie zareagowała na te słowa. Sibylle Aurich nie ma dziecka... Jej umysł szukał gorączkowo jakiegoś wyjścia z sytuacji, jakiegokolwiek wyjaśnienia innego niż to, że jest niespełna rozumu. Ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Doktor miał rację – Jane zawieziono pod dom.

Hans w ogóle nie znał jej prawdziwego nazwiska. Szkoda. Doktor nazwał ją Jane Doe, tak jak w Ameryce nazywa się nieznajome kobiety bądź niezidentyfikowane kobiece zwłoki. Decyzje Doktora do tej pory nigdy nie budziły zastrzeżeń Hansa, ale to imię i nazwisko wzbudzało w nim dziwną niechęć. Nie mógł jednak nic zrobić.

Już pół godziny siedział w swoim samochodzie, który zaparkował kawałek dalej, na skraju szosy, i obserwował. Wprawdzie przyjechał za późno, żeby zobaczyć, jak Jane wchodzi do domu, ale nawet przez sekundę nie wątpił, że znajduje się w środku. A potem jeszcze ta para policjantów.

Przewidywania Doktora sprawdziły się co do joty. Hans nie oczekiwał niczego innego; wszystko, co Doktor czynił, funkcjonowało tak, jak ten sobie zażyczył.

Ale może jeszcze upłynąć trochę czasu, zanim przed domem coś zacznie się dziać. Hans usadowił się wygodniej w fotelu. Nic, nawet najmniejszy ruch w bezpośrednim otoczeniu domu, nie mogło umknąć jego uwagi.

Hans po raz pierwszy spotkał Doktora w maju 2002 roku, kilka tygodni po dobrowolnym odejściu z ponad dwudziestoletniej służby w Legii Cudzoziemskiej. W 1991 brał udział w kampanii przeciwko Husajnowi, był w Somalii, a potem w Kosowie, w Bośni i Macedonii. I nagle nie był już zdolny do służby wojskowej.

Podczas walk ulicznych w Grbavicy, dzielnicy Sarajewa, został zasypany w jednej z piwnic. Trzy dni i trzy noce leżał w gruzach, w najczarniejszych ciemnościach, jakie można sobie wyobrazić, ze złamanym w kilku miejscach przedramieniem i miednicą, z ciężką betonową płytą na zranionym biodrze. Na początku jeszcze krzyczał. Nie z bólu, tego oduczono ich podczas szkolenia – ale z chęci zwrócenia na siebie uwagi swoich kompanów. Pragnął, by przyszli i uwolnili go, żeby mógł dalej walczyć.

Jednak po jakimś czasie z jego ust nie wydobywał się już żaden dźwięk. Już tylko czekał. A potem, po nieskończonej długim czasie, w jego małej jaskini z gruzu, gdzie powietrze było tak ciężkie, że podczas wdychania wpełzało do tchawicy niczym stary olej i zaklejało płuca, coś poczuł – coś, czego w tej wszechobecnej czerni nie można było ujrzyć. Być może w tych ekstremalnych warunkach wyostrzyła mu się wyobraźnia, bo w jednej chwili doznał objawienia. Jego otoczenie, jego życie ukazało mu się jako ewenement: jako zbiór zdarzeń, na

które składa się wiele elementów zdolnych w każdej sekundzie zetknąć się ze sobą. To poznanie zupełnie nim zawładnęło. Po raz pierwszy w życiu zaczął zastanawiać się nad naprawdę ważnymi sprawami.

Kilka chwil później poraził go jasny błysk światła. Znaleźli go koledzy.

Przez pewien czas, nawet gdy kości w miarę się już zrosły, leżał w szpitalu. Ciągłe rozmawiał z lekarzami i był zmuszony odpowiadać na te same dziwne pytania.

Po jakimś czasie mógł wrócić do swojego życia.

Ale wszystko się zmieniło. Jego Capitaine obwieścił mu, że dla niego wojny się skończyły. Nowe zadania czekają na niego w biurze. Koledzy nie chcieli go już słuchać. Każdorazowa próba podzielenia się z nimi nową wiedzą skutkowała tym, że odwracali się i odchodzili, zostawiając go jak trędowatego. Rany na przedramieniu mógł leczyć – z ranami duszy nie mógł zrobić nic.

Po latach upokorzeń opuścił Nîmes i swoich kompanów z 2eme Régiment Étranger d'Infanterie, bez jakiegokolwiek planu na dalsze życie. W myśl kodeksu Légion étrangère będzie dożgonnie przynależać do wielkiej rodziny, a Legia zapewni mu niewielką rentę, ponieważ odsłużył więcej niż osiemnaście lat. Ale co mu to da? Będąc z powrotem w Niemczech, stwierdził, że życie jest ciężkie, kiedy nie ma się kogoś, na kogo rozkazach można by polegać. Większość ludzi nie wykazywała ani krzty honoru czy respektu.

Doktora poznał, kiedy wpadł w ręce niemieckiego wymiaru sprawiedliwości – po bójce z dwoma wątlymi typami w jakiejś knajpie. Na krótko przed procesem o uszkodzenie ciała Doktor stanął przed drzwiami jego surowo urządzonego, dokładnie wysprzątanego mieszkania na obrzeżach Monachium. Powiedział, że może mu załatwić pracę. Doktor emanował autorytetem, Hans zauważył to, kiedy tylko spojrzał w jego oczy. Przepełniło go wtedy niewypowiedziane szczęście. Miał ochotę złapać go w ramiona z okrzykiem Oui, mon Capitaine! na ustach.

Już podczas procesu Doktor wstawił się za nim, oznajmiając sędziom, że ma dla niego ofertę stałej pracy w sektorze ochrony. Jak się okazało, praca ta polegać miała na bezwarunkowym wykonywaniu zleceń, które dostawał wyłącznie od Doktora.

Hans wyprostował się, kiedy drzwi otworzyły się i z domu wyszli policjanci i Jane.

Jeden z mężczyzn prowadził ją pod ramię w kierunku samochodu, którym przyjechali. Jane wyglądała na roztrzęsioną i przestraszoną. Hans potarł twarz, a następnie przesunął dłonią po ostrzyżonych na centymetr włosach. Kiedyś robił tak zawsze po zdjęciu Képi blanc.

Kiedy odjechali, odczekał jeszcze chwilę, po czym podążył za nimi.

Sibylle patrzyła przez szybę, siedząc na tylnym siedzeniu samochodu prowadzonego przez Wittschorka. Wcale się nie broniła, kiedy policjanci oznajmili, że pójdzie z nimi. Miała nawet nadzieję, że zatrzymanie jej rzuci w końcu jakieś światło na całą tę sytuację. Johannes został w domu. Widziała nienawiść w jego oczach, gdy odprowadzał ją wzrokiem do wyjścia, ale w tej chwili było jej to obojętne.

Zza szyby witały ją betonowe przedmieścia. Z przodu co chwila dobiegały dźwięki z głośnika przerywane elektronicznym trzaskiem i szumem. Niewyraźne, jak gdyby z oddali, jakby wypowiedane w blaszane wiadro, zupełnie nieprzeznaczone dla ludzkich uszu. Fasady domów rozmywały się przed jej oczami. Zaczynała odseparowywać się od świata, który nie był już jej światem. Jej myśli krążyły teraz tylko wokół Lukasa.

Widziała go, leżącego na miękkim kocyku na podłodze w salonie. Wtedy jeszcze mieszkali w mieszkaniu czynszowym na pierwszym piętrze. Słyszała jego niecierpliwe wołanie, kiedy co chwila próbował się podnieść, ale za każdym razem opadał ponownie na swój mały tyłeczek. Tak bardzo chciałby już chodzić. Zawsze był niecierpliwy. Kiedy podczas karmienia kleikiem ociągała się chwilę z napełnieniem kolejnej łyżeczki, wyciągał ku niej małe słodkie paluszki, wyrażając głośno swoje niezadowolenie. Kiedy uczył się jeździć na rowerze, chciał opanować tę umiejętność niemal od razu. Sibylle musiała biec obok niego i trzymać bagażnik jego rowerka bez chwili przerwy. Było już ciemno, kiedy w końcu mógł samodzielnie objechać całe podwórko.

Lukas. Mój Lukas... Po chwili przed oczami Sibylle zamajaczył inny obraz. Rodzinna wycieczka statkiem. Lukas ma trzy latka, siedzi na ramionach Johannaesa i z otwartymi ustami obserwuje świat wkoło. Przez środek pokładu u góry rozciągnięto długą linkę z kolorowymi, tańczącymi na wietrze chorągiewkami. Mój syn...

Wyraźnie widziała twarz synka, w której odbijał się niczym niezmacony podziw wobec świata – podziw, do jakiego zdolne są tylko dzieci. Potem skupiła uwagę na twarzy mężczyzny trzymającego na barkach Lukasa i zamarła. Tam, gdzie powinny znajdować się oczy, nos i usta Hannesa, był tylko bezkształtny owal. Próbowwała dostrzec jakieś szczegóły, ale obraz stawał się coraz mniej wyraźny. Aż w pewnym momencie znikł zupełnie. Pozostało po nim jedynie śnieżenie, jak w starym telewizorze.

Śnieżenie...

– Co pani jest? Dobrze się pani czuje?

Sibylle otworzyła oczy. Grohe odwrócił się w jej stronę, podczas gdy wzrok Wittschorka co sekundę przeskakiwał z ulicy przed nimi na lusterko wsteczne.

Chyba musiała głośno stęknąć.

– Nie... Tak. – Grohe nie spuszczał z niej oczu, jednak w jego wzroku na próżno można by szukać jakiegokolwiek przychylności. – Proszę – powiedziała błagalnie – czy moglibyśmy pojechać do szpitala w pobliżu Ostentoru? Pokażę panom piwnicę, w której mnie przetrzymywano. I tego dziwnego doktora Muhlhaus... Mój Boże, przecież jeśli ktoś zwariował i wydaje mu się, że jest kimś innym, to nie może znać wszystkich szczegółów z życia tego kogoś. A mój syn... Lukas... jego narodziny, chrzest... Proszę mnie zrozumieć, ja pamiętam każdy moment jego życia. Przecież nie wymyślam sobie tego, do jasnej cholery! Nie wiem, co się ze mną stało, ale mój syn nie jest temu winien! Proszę, pomóżcie mi...

– Jest pani podejrzana o związek ze zniknięciem pani Aurich – oznajmił Grohe obojętnym tonem. – Pojedziemy na komendę i tam złożę pani zeznanie. Potem zobaczymy.

– Naturalnie, że mam związek z tym zniknięciem! – wybuchła Sibylle. – Ponieważ to ja jestem Sibylle Aurich, tą samą, która zaginęła. Boże, przecież to jakaś paranoja...

Grohe odwrócił się do przodu, wzdychając głośno. Po chwili Wittschorek spojrzał na niego.

– Właściwie co stoi na przeszkodzie, żebyśmy wstąpili do tego szpitala? Przynajmniej tę kwestię wyjaśnimy. Zaoszczędzi nam to mnóstwo czasu.

Grohe nie odpowiedział od razu. Ale po kilku chwilach ponownie odwrócił się do Sibylle.

– Niech będzie – rzucił sucho. – Po drodze opowie nam pani ze szczegółami o tym, co rzekomo stało się w tym szpitalu.

Sibylle gorliwie skinęła głową i zaczęła opowiadać. Skończyła na tym, jak stanęła pod drzwiami własnego domu – w tym samym momencie Wittschorek przekręcił kluczyk w stacyjce i wyłączył silnik. Sibylle opowiedziała im wszystko w najdrobniejszych szczegółach, z jakiegoś powodu przemilczała tylko nazwisko Rosie.

– A więc dobrze, popatrzmy, co takiego dzieje się w tutejszych piwnicach. – Wittschorek mrugnął do niej zachęcająco, co przyjęła z ulgą i wdzięcznością.

Chciała wysiąść, ale nie potrafiła otworzyć drzwi. Dopiero Grohe otworzył je z zewnątrz.

– Sam jestem ciekaw tego okropnego lochu, w którym panią więziono.

W informacji przy wejściu zza lady w kształcie litery U uśmiechała się do nich młoda pyzata kobieta. Miała ścięte na pazia włosy, a wzdłuż policzka aż po usta zwisał jej cienki mikrofon zestawu słuchawkowego.

– Dzień dobry. Czym mogę państwu służyć?

Grohe wy dobył legitymację z tylnej kieszeni spodni.

– Nadinspektor Oliver Grohe, policja kryminalna. Chcielibyśmy porozmawiać z doktorem Muhlhausem.

Niezobowiązujący uśmiech zniknął z twarzy kobiety. – Muszę sprawdzić, czy jest w budynku – powiedziała usłużnie i zaczęła wybierać numer na dużym cyferblacie, ale podniosła jeszcze wzrok. – Panowie w jakiej sprawie?

– Nie powinno to pani interesować – wypalił Grohe, na co kobieta utkwiała wzrok w klawiaturze i dokończyła wybieranie numeru.

– Pan doktor Muhlhaus zaraz tu będzie – powiedziała po krótkiej rozmowie. – Mogą panowie poczekać tam.

Wyciągnęła dłoń, by wskazać kierunek, ale Grohe odwrócił się bez słowa i ruszył w stronę pomarańczowych plastikowych foteli stojących pośrodku holu. Wittschorek uśmiechnął się i podziękował recepcjonistce, czym chyba ją nieco ugłaskał, bo odwzajemniła uśmiech.

Sibylle z każdą chwilą stawała się bardziej nerwowa. Była ciekawa, jak zareaguje Muhlhaus, kiedy nagle przed nim stanie wraz z funkcjonariuszami. Po jej ataku na pewno miał porządnego guza.

Kiedy nerwowo rozglądała się wokół, nagle zauważyła człowieka z ciemnymi opadającymi za ucho włosami, który opierał się o ścianę obok małego kiosku szpitalnego i nie spuszczał z niej wzroku. Miał jakieś trzydzieści pięć lat, był wysportowany, ubrany w jasne bawełniane spodnie i biały T-shirt. Nie cofnął wzroku, nawet kiedy spojrzała mu prosto w oczy. Miała wrażenie, że jest w nim coś w rodzaju współczucia czy litości. Dla mnie? Zastanowiła się. Czy ja go znam? Czy powinnam go znać? Czują, jak przyspiesza jej puls. Popatrzyła na Wittschorka, siedzącego dwa krzesła dalej, i już chciała zwrócić jego uwagę na tego człowieka, ale w tym samym momencie wskazał głową w stronę recepcji, gdzie jakiś wysoki, dość korpulentny mężczyzna w białym kitlu rozmawiał z pracownicą, która ich przyjmowała. Po chwili mężczyzna podszedł do nich i zwrócił się do nadkomisarza:

– Muhlhaus. Czym mogę panom służyć?

Sibylle wytrzeszczyła oczy, gwałtownie podnosząc się z krzesła.

– Pan... Pan nie jest tym doktorem Muhlhausem, którego mam na myśli. Gdzie jest ten drugi doktor Muhlhaus? Ten, który był tu dziś rano? Dyrektor szpitala?

Mężczyzna w kitlu spojrzał na policjantów pytającym wzrokiem. Grohe podniósł się.

– Nadkomisarz Grohe, a to mój partner, oficer Wittschorek. Nie zajmujemy panu dużo czasu, doktorze Muhlhaus. Czy zna pan tę kobietę?

Lekarz zmierzył Sibylle wzrokiem i potrząsnął głową.

– Nie, nie znam jej. – Potem zwrócił się bezpośrednio do niej: – O jakim drugim doktorze Muhlhausie pani mówi? Poza mną nie ma tutaj nikogo o tym nazwisku. A dyrektorem szpitala jest profesor Kleinschmitt.

– Zadowolony? – Grohe spojrzał na kolegę z triumfem w oczach. – Możemy już jechać?

– Nie! – krzyknęła przerażona Sibylle. – Bardzo panów proszę. W takim razie to ktoś inny musiał podać się za doktora Muhlhaus. To był szczupły mężczyzna, niewysoki brunet około pięćdziesiątki. Piwnica! Musimy zejść do piwnicy, wtedy zobaczycie, że mam rację.

Wittschorek spojrzał na mężczyznę w kitlu.

– Czy moglibyśmy obejrzeć piwnice szpitala?

– To niepoważne – wtrącił Grohe, zanim Muhlhaus zdążył odpowiedzieć. Wittschorek zignorował go jednak, patrząc wyczekująco na doktora.

– No tak, oczywiście – odparł w końcu doktor, wyraźnie zakłopotany. – Co chcieliby panowie zobaczyć? Patologię albo może prosektorium? Albo oddział balneologii? Piwnice mają dwie kondygnacje. A może mógłbym się dowiedzieć, czego panowie szukają? Tak byłoby szybciej.

– Musimy wejść od tyłu – powiedziała szybko Sibylle – Od strony ogrodu. Do pomieszczenia, które mam na myśli, dotrzemy tylko przez klatkę schodową od strony ogrodu, na tyłach budynku.

– Dosyć tego! – krzyknął Grohe, a jego twarz stała się purpurowa.

– Skoro już tu jesteśmy – odparł spokojnie Wittschorek – to nie widzę przeciwwskazań, żeby obejrzeć tę piwnicę.

– O ile panowie nie mają nic przeciwko temu, zawołam dozorcę – zaproponował Muhlhaus. – Jeśli ktoś zna szpitalne podziemia, to właśnie on.

Sibylle spojrzała z nadzieją na Wittschorka. Kiedy po chwili przytaknął, Grohe przewrócił oczami, ale ustąpił.

Doktor Muhlhaus odszedł w kierunku informacji, łopocząc fartuchem. Zajmując ponownie plastikowe krzeselko, Sibylle przypomniawszy sobie o mężczyźnie przy kiosku. Miejsce, w którym jeszcze parę minut temu stał, teraz było puste. Przeszukała wzrokiem hol, ale nigdzie nie mogła go dostrzec. Prawdopodobnie chciał tylko trochę poplirtować, a ona źle odczytała jego intencje. Westchnęła i pochyliła głowę, wlepiając wzrok w posadzkę.

Dozorca pojawił się za niecałe dwie minuty. Miał jakieś czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat, był podobnego wzrostu jak rzekomy doktor Muhlhaus, ale wyraźnie szczuplejszy. Nosił szary fartuch zarzucony na dzinsy, a czerwona koszula w kratę zwisała z jego kościstych ramion niezgrabnie niczym płachta na drucianym wieszaku.

Przedstawił się jako Heiko Feith. Kiedy Wittschorek wyjaśnił mu, czego szukają, doktor Muhlhaus pożegnał się z policjantami, tłumacząc, że w przychodni ambulatoryjnej czekają na niego pacjenci.

W końcu Wittschorek, Grohe i Sibylle podążyli za dozorcą, który najpierw poprowadził ich jedno piętro w dół klatki schodowej, a następnie przez szereg podobnie wyglądających pomieszczeń i korytarzy. Sibylle straciła orientację już po paru chwilach. Wrażenie, że nie zdołałyby wyjść stąd samodzielnie, wzmagało się wraz z liczbą pomieszczeń, przez które przechodzili. W końcu Feith stanął przed masywnymi stalowymi drzwiami. Musiał kilkakrotnie pociągnąć za klamkę z całych sił, zanim drzwi poddały się ze skrzypieniem. Przeszli przez próg i stanęli w ciemnej, znanej już Sibylle klatce schodowej, na platformie mieszczącej się pomiędzy dwoma krótkimi odcinkami schodów. Sibylle nie zauważyła tych drzwi podczas swojej ucieczki.

– Tutaj! – zawołała podniecona, przeciskając się obok Feitha. – Musimy zejść na dół! – Nie oglądając się za siebie, zbiegła schodami w dół. Za sobą słyszała kroki pozostałych. Kiedy dotarła do najniższej kondygnacji, zatrzymała się w przejściu do obszernego pomieszczenia. Zajrzała do środka. Wszystko było takie samo jak kilka godzin wcześniej. Z ulgą pokazała zamknięte drzwi naprzeciwko. – Za tymi drzwiami jest wąski korytarz – powiedziała, zwracając się do Grohego. – Prowadzi on do pokoju, w którym mnie... W każdym razie zaraz przekona się pan, że nie kłamałam. – Szybkim krokiem przemknęła między skrzyniami, a za nią Feith i dwójka policjantów. Kiedy otworzyła drzwi, jej oczom ukazała się ciemna przestrzeń. Zawahała się i spojrzała na dozorcę, a ten skinął głową, przeszedł obok niej i za chwilę krótki korytarz wypełnił siny blask świetlówek. Sibylle pomyślała, że drzwi znajdujące się po przeciwnej stronie są dziwnie szerokie, budziły grozę niczym oko cyklopa. – To tu – powiedziała cicho, zatrzymując się w miejscu.

Minęło kilka sekund, ale nikt się nie ruszył.

– Będziemy gapić się na drzwi czy może sprawdzimy, gdzie ta pani rzekomo była więziona? – zapytał w końcu Grohe ponurym tonem. Heiko Feith podszedł do drzwi, przekręcił mosiężną gałkę i pchnął ją lekko. Drzwi uchyliły się. Serce Sibylle zaczęło walić jak oszalałe, a po jej głowie galopowały myśli. Możliwe, że nieprawdziwy doktor Muhlhaus

przebywa jeszcze w tym pokoju... Może jest nieprzytomny... A może nawet... – No jasne, dokładnie tak jak myślałem – Grohe przerwał jej rozważania. Kiedy ujrzała parę skrzyń rozłożonych w pustym pokoju, poczuła, że opuszczają ją resztki sił. To jest niemożliwe... Grohe stał tuż przy niej, patrząc jej prosto w oczy. – Jeśli nie wymyśli pani jakiegoś wiarygodnego usprawiedliwienia całej tej sytuacji, to widzę tylko dwa warianty pani najbliższej przyszłości: cela w więzieniu albo cela w psychiatryku.

Sibylle bez słowa opadła plecami na zimną ścianę. Wittschorek powoli przeszedł między pakami; co jakiś czas przykuczał i przyglądał się podłodze, jakby szukał śladów dokonanego przestępstwa.

– Kiedy był pan tutaj ostatnio, panie Feith? – zapytał. Dozorca zastanowił się.

– Hm... Jakies dwa albo trzy miesiące temu. Nieczęsto ktoś tu zagląda.

– Kto jeszcze ma dostęp do tego pomieszczenia?

– No... każdy. Drzwi nigdy nie są zamykane na klucz. Tylko jak ktoś jest w środku bez kluczy, to powinien uważać, żeby się nie zatrzasnąć. – Uśmiechnął się. – Jak chcemy tu zostać dłużej, to lepiej podstawmy pod drzwi skrzynię, bo klucz wisi na górze, w moim biurze w szafce.

Sibylle otrząsnęła się z letargu i niewiele myśląc, odbiła się od ściany. Nie kłamałam. Do cholery, nie kłamałam! Rzuciła Wittschorkowi krótkie spojrzenie i ujrzała w jego twarzy, że w tym samym momencie zorientował się, co zamierza zrobić. Jednak albo sądził, że znajduje się zbyt daleko drzwi, aby mogło jej się udać, albo specjalnie nie chciał jej przeszkodzić, ale nie zareagował, kiedy odwróciła się i robiąc dwa wielkie susy, stanęła na korytarzu. Grohe zdążył wydać z siebie okrzyk zaskoczenia, który jednak szybko stłumił głośny huk zatraskujących się drzwi.

Ciężko dysząc, Sibylle po raz drugi tego dnia rzuciła się do ucieczki z tego samego szpitala. Jednak po przebiegnięciu kilku korytarzy i rozwidleń, którymi jak sądziła, przyszli tutaj, musiała stwierdzić, że zabłądziła. Poprzednio nie zauważyła grubych rur i splotów kabli ciągnących się ponad jej głową. I nagle przypomniała sobie, co mówił ten lekarz w holu o patologii albo prosektorium.

Tylko nie panikuj, prosektorium jest na pewno zamknięte. I na pewno będzie napis na drzwiach. Myśl o czymś przyjemnym! Lukas... Nie tylko z rur nad jej głową dobiegały dziwne odgłosy, wszędzie wkoło coś trzeszczało i strzelało, a kiedy zaczęła myśleć o prosektorium, odgłosy te jakby przybrały na sile. Muszę się stąd wydostać, cholera... Lukas... Dopiero gdy przywołała w myślach twarz synka, wszelkie koszarne wyobrażenia i odgłosy straciły znaczenie.

Musiała wydostać się z tego labiryntu, żeby znaleźć syna, który być może znajdował się w niebezpieczeństwie. Przyspieszyła kroku i zaledwie kilka chwil później stała w jasnej, przyjaznej klatce schodowej, a następnie w szpitalnym holu.

Już wolniejszym, bardziej opieszalym krokiem przemierzyła hol, żywiąc nadzieję, że jej twarz przybrała obojętny wyraz. Kiedy w końcu stanęła na zewnątrz, odetchnęła głęboko i rozejrzała się. Musi jak najszybciej oddalić się od tego fatalnego szpitala. Postanowiła pójść na lewo, do ulicy Adolfa Schmetzera, na której wcześniej spotkała Rosie.

Rosie! Przypomniało jej się, że kartka z jej telefonem ciągle jest wsunięta za gumkę majtek. Nie miała pojęcia, co robić, ale u tej lekko zwariowanej kobiety przynajmniej mogłaby być bezpieczna. Musi znaleźć jakąś budkę telefoniczną... Nie, najpierw jakiś sklep, gdzie będzie mogła rozmienić pieniądze.

Około stu metrów dalej natknęła się na sklepik – rzadko już spotykany nieduży punkt handlowy z artykułami pierwszej potrzeby. Za małą ladą stał człowiek z uprzejmym uśmiechem na twarzy. Miał niespełna trzydzieści lat i był prawdopodobnie jednym z niewielu synów gotowych i chętnych, by przejąć interes rodziców.

Obok nowoczesnej kasy fiskalnej pod kloszem z pleksi piętrzyły się kanapki. Kiedy je zobaczyła, uprzytomniła sobie, że od momentu przebudzenia nic jeszcze nie jadła. Uczucie ssania w żołądku było wypierane bądź tłumione naciskiem psychicznym, który nieustannie obciążał jej układ nerwowy.

Zdecydowała się na bułkę z serem i zapłaciła banknotem, zyskując tym samym drobne. Kiedy wkładała je do kieszeni, sprzedawca zaczął żegnać ją tak wylewnie, jakby wykupiła połowę towaru.

– Proszę nas jeszcze kiedyś zaszczyścić swoją obecnością! – zawołał, kiedy była już za drzwiami.

Dotarłszy do skrzyżowania, skręciła na prawo, gdzie nie musiała przechodzić przez jezdnię. Raz po raz w gryzała się w kanapkę, z każdym kęsem dziwiąc się, jak smakowita może być zwykła bułka z plasterkiem sera. Kilometr dalej przeszła między rzędem domków jednorodzinnych, które z rzadka poprzetykane były siedzibami małych firm, aż w końcu znalazła to, czego szukała.

Od lat nie korzystała z publicznych telefonów i zdziwiła się, kiedy spostrzegła, że nie wiszą jak kiedyś w ciasnych budkach, tylko przymocowane są do różowych słupków stojących na skraju chodnika. Rozejrzała się, po czym rozpięła dzinsy i usiłowała wyciągnąć spod bielizny kartkę z telefonem Rosie. Na szczęście kartka nie przesunęła się i Sibylle mogła ją szybko wydobyć. Cyfry trochę się rozmazały, bo papier nasiąkł jej potem, ale numer bez problemu dało się odczytać.

Usłyszała dwa sygnały, a potem znajomy głos:

– Rosemarie Wengler, dzień dobry. Sibylle odetchnęła z ulgą.

– Halo, Rosie... – powiedziała z wahaniem. – To ja, Sibylle Aurich. Czy pani wie... czy wiesz, kim jestem?

Rosie zaniósł się serdecznym śmiechem.

– Pewnie, że wiem, kim jesteś! Czyżby nadszedł czas? Chcesz znów urządzić sobie małą wycieczkę? Powiedz mi, gdzie mamy się spotkać. Tylko szybko zrzuć z siebie ciuchy i przyjadę po ciebie. Będzie niezły ubaw!

Sibylle, mimo absurdalnej sytuacji, w jakiej się znalazła, nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Nie, nie urządzam sobie wycieczki i jestem ubrana normalnie. Tylko że... Zawiesiła głos, ale Rosie dokończyła za nią:

– ...znowu pokłóciłaś się z twoim najśłodszym? Tak? Mam przyjechać i osłonić cię przed nim własną pierśią? Oczywiście, w przenośnym sensie. – Znowu zaniósł się śmiechem.

– Nie, nie. – Sibylle znów się zawahała. – Jest... jest o wiele gorzej. Nie mogę ci tego teraz wyjaśnić, ale jestem w ogromnych tarapatkach i nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Mogłabyś... to znaczy... byłabym ci ogromnie wdzięczna, gdybyśmy mogły się spotkać.

– Masz kłopoty? Powiedz Rosie, gdzie jesteś, a za parę minut Rosie tam będzie.

– Jestem w pobliżu miejsca, z którego mnie dziś zgarnęłaś.

– Hm... – mruknęła Rosie, ale za chwilę dodała: – Daj mi dwadzieścia minut! – Po czym

odłożyła słuchawkę.

Sibylle odetchnęła. W końcu znalazła choć jedną osobę, która jej wierzy. Teraz potrzebna była jej książka telefoniczna, ale czegoś takiego raczej nie znajdzie na tych nowoczesnych słupkach. Za to nad aparatem dostrzegła dużą naklejkę z numerem informacji. Wrzuciła monetę i kazała połączyć się ze szpitalem. Okazało się jednak, że nie jest to takie proste. Nie знаła ani nazwy, ani adresu kliniki, zapytała więc o szpital w pobliżu Ostentoru. Kobieta po drugiej stronie linii powiedziała, że musi znać co najmniej ulicę albo nazwę placówki. Dopiero kiedy Sibylle oznajmiła jej, że chodzi o nagły przypadek, tamta powiedziała, że zobaczy, co da się zrobić. Po ciągnącej się w nieskończoność chwili zgłosiła się ponownie, z informacją, że prawdopodobnie chodzi o prywatną klinikę Monserta. Następnie podała numer. Sibylle wybrała go i parę sekund później w słuchawce rozległ się kobiecy głos. Rozpoznała recepcjonistkę.

– Halo, tu Sibylle Aurich. W piwnicy waszego szpitala, tam, gdzie jest dojście od strony ogrodu, zamknięci są dozorca i dwóch policjantów. Proszę spytać doktora Muhlhausa, będzie o wszystkim wiedział. Klucz wisi w gablotce w biurze dozorca.

– To akurat wiem – odparła beczelnie kobieta. – Kim pani jest? Czy to pani... – Nie dokończyła, ponieważ Sibylle odwiesiła słuchawkę. Telefony komórkowe, to logiczne. Przecież policjanci musieli mieć przy sobie komórki. Najwidoczniej nawet w piwnicy był zasięg.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku skrzyżowania, gdzie miała po nią przyjechać Rosie. Po drodze uświadomiła sobie, że tylko wyjątkowemu szczęściu zawdzięcza, że nie została złapana już w szpitalu. Ciągle jeszcze widziała przed sobą twarz Wittschorka. Czyżby przeczuwał, że ma zamiar uciec z piwnicy? A jeśli tak, to dlaczego nie próbował jej zatrzymać, tylko patrzył bez słowa, jak zamyka jego i jego antypatycznego kolegę oraz dozorcę. Czy chciał dać jej możliwość udowodnienia, że mówiła prawdę? Ale jak ma to zrobić, skoro nawet jej własny mąż twierdzi, że kłamie? Dlaczego, Hannes, dlaczego?

Im więcej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że Hannes wie, gdzie znajduje się Lukas. Tylko dlaczego trzeba było ją uprowadzić i utrzymywać przez dwa miesiące w jakiejś dziwacznej sztucznej śpiączce? I kim był człowiek podający się za doktora Muhlhausa? Czy w ogóle był lekarzem? W jaki sposób zdołał sprzątnąć w tak krótkim czasie całe medyczne wyposażenie znajdujące się w piwnicy?

Dotarła do skrzyżowania i tak samo jak parę godzin wcześniej oparła się plecami o ścianę tego samego budynku. Tyle pytań i jak dotąd żadnej odpowiedzi. Dlaczego to wszystko? Dlaczego ja, Sibylle Aurich, pracownica agencji ubezpieczeniowej, niezbyt zamożna, niemająca dostępu do tajemnic służbowych, do tej pory nie...

Klakson samochodu wystraszył ją tak samo, jak za pierwszym razem. Instynktownie rozejrzała się dokoła, po czym odepchnąwszy się od ściany, w kilku susach doskoczyła do auta Rosie.

– Cieszę się, że znów cię widzę, Sibylle. – Rosie uśmiechała się serdecznie. – Miło mi, że zadzwoniłaś. – Zerknęła na jej za duże spodnie i dodała: – W twoim rozmiarze zabrakło?

Sibylle uśmiechnęła się nieśmiało.

– Chyba zbiegły się na długość. Poza tym mam wrażenie, że schudłam parę kilo przez ostatnie tygodnie. Dziękuję, że przyjechałaś.

Rosie machnęła tylko ręką i ruszyła. W ostatniej chwili Sibylle spostrzegła opartego o znak drogowy mężczyznę. Patrzył w ich stronę. Chociaż zaledwie mignął przed jej oczami,

od razu go rozpoznała. Był to człowiek ze szpitalnego holu.

Zaniepokojona, już chciała poprosić Rosie, żeby zatrzymała samochód, ale zaraz porzuciła tę myśl. Jeśli sprawy potoczą się tak jak do tej pory, zapewne okaże się, że mężczyzna czeka na autobus, nigdy w życiu nie był w szpitalu i nigdy w życiu nie widział Sibylle Aurich.

Kiedy Jane opuściła szpital, zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do Doktora i poinformować go o zmianach, ale w końcu nie zdecydował się na to. Wiadomo było, że będzie ją śledzić, ale teraz nie mógł przewidzieć, jaki będzie jej następny krok.

Szedł za nią w wystarczająco dużej odległości. Odczekał za załomem muru, aż wyjdzie ze sklepiku. Raz, może dwa odwróciła się, ale był na tyle daleko, że wydawał się nie wzbudzać jej zainteresowania. Kiedy zatrzymała się przy telefonie, zadzwonił do Doktora. Jego głos pozostawał spokojny nawet wtedy, kiedy opowiadał mu o wszystkim.

– Możesz do niej podejść na tyle blisko, żeby usłyszeć, co mówi? – dopytywał Doktor. Hans szybko ocenił sytuację.

– Nie. Mogłaby mnie zauważyć.

– Gdzie zaparkowałaś?

– Przed szpitalem.

– Trzymaj się blisko niej. Poślę samochodem Joachima. Gdybyś zmienił swoje położenie, powiadom go.

Hans wetknął telefon do kieszeni spodni i zwiększył dystans wobec Jane, żeby przypadkiem niczego nie zaczęła podejrzewać. Kiedy odwiesiła słuchawkę i ruszyła w jego stronę, przystanął, by z przesadną obojętnością przyjrzeć się otoczeniu. Spojrzał na nią dopiero kilka sekund przed tym, zanim go minęła.

Wystarczyło wyciągnąć rękę, a mógł ją dotknąć. Ta myśl spowodowała, że przeszył go dreszcz. Ona jednak zdawała się w ogóle go nie spostrzegać. Sądząc po wyrazie twarzy, była mocno zamyślona. Wcale go to nie dziwiło.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, wciąż trzymając się w rozsądnej odległości za nią, aż dotarła do skrzyżowania. Omiótł wzrokiem pobliski teren. Dostrzegł mężczyznę w białym T-shircie, który niedbale opierał się o znak zakazu parkowania. Jane stała oparta o ścianę budynku; wyglądała tak, jakby na coś czekała. Hans wybrał numer Joachima, wyjaśniając mu, gdzie się znajduje. Tamten był tylko parę minut drogi od niego.

Kiedy czerwone auto, trąbiąc głośno, zatrzymało się przy krawężniku przed Jane, Hans pośpiesznie przeszedł z powrotem na drugą stronę ulicy, przepuszczając samochód, w którym się znajdowała. Parę sekund później nadjechało czarne bmw Joachima, do którego wsiadł bez słowa.

Od momentu kiedy go minęła, kiedy był tak blisko niej, zaczął się zastanawiać, kiedy Doktor da mu rozkaz zakończenia jej eskapady.

Rosie mieszkała w małym, otynkowanym i pomalowanym na żółto domku w Burgweinting, oddalonym jakieś pięć kilometrów od miejsca, gdzie Sibylle wsiadła do samochodu. Podczas jazdy nie rozmawiały dużo, co było jej na rękę. Empatia Rosie była godna podziwu i Sibylle musiała przyznać, że nie doceniała tej niezwyklej kobiety.

Rosie zaparkowała na wybrukowanym podjeździe, po czym poprowadziła swego gościa do domu. Znalazły się w przedpokoju ze ścianami w odcieniu głębokiego oranżu. Rosie rzuciła klucze na komodę upstrzoną kolorowymi serwetkami.

– A więc, dziecinko – powiedziała z promiennym uśmiechem na twarzy – siądźmy sobie wygodnie w salonie, a jeśli będziesz miała ochotę, opowiesz mi wszystko, co ci leży na sercu.

Sibylle uśmiechnęła się nieśmiało.

– Jeśli ci to nie robi różnicy, byłabym ci wdzięczna, gdybyś nazywała mnie Sibylle.

Jeden z moich nauczycieli mówił do mnie dziecinko, a ja niezbyt go lubiłam.

Rosie skinęła głową, popychając ją lekko w kierunku salonu. – Sibylle, dziecinko, przyniosę nam dobrego białego winka i będę cię słuchać tak długo, jak tylko zechcesz. – Kiedy Rosie wyszła, Sibylle usiadła na dużej poduszce obok ławy ze szkła i rozejrzała się po pokoju. Ściany były utrzymane w delikatnym brzoskwiniowym odcieniu, który idealnie harmonizował z jasnym bukiem – kolorem szafek i dużego regału na książki. Zdziwiło ją, że nigdzie nie ma fotografii. Żadnej młodej Rosie spoglądającej z regału, żadnego ślubnego zdjęcia na honorowym miejscu, żadnego śmiejącego się dziecka – nic. – Zaraz poczujesz się lepiej – rozległ się głos Rosie i po chwili kobieta wniosła do salonu okrągłą tacę, na której stały dwa kieliszki i butelka. Postawiła ją na ławie, napełniła kieliszki i usiadła naprzeciw na kanapie, podnosząc jeden z nich. – Za nas, dziewczyny.

– Za nas. – Sibylle uniosła do ust kieliszek i o mało nie jęknęła z rozkoszy. Tak dobrze było poczuć w ustach chłodnawy, orzeźwiający smak wina.

Rosie oparła się wygodnie i utkwiała w niej wyczekujące spojrzenie.

– A teraz powiedz mi, co cię trapi, dzie... Sibylle.

– Dobrze – odparła nieco nieśmiało Sibylle i opowiedziała Rosie o wszystkim, co wydarzyło się w ostatnich godzinach.

Od czasu do czasu gospodyni unosiła brwi, a kiedy Sibylle opowiadała o spotkaniu

z Johannesem, położyła rękę na ustach, ale ani razu jej nie przerwała. Dopiero kiedy Sibylle wzięła kolejny duży łyk wina i na chwilę zamilkła, patrząc przed siebie, kobieta westchnęła ciężko.

– To zdecydowanie najbardziej zwariowana historia, jaką kiedykolwiek słyszałam.

– Ale wierzysz mi, prawda? – Sibylle nie mogła już powstrzymać łez, które napłynęły jej do oczu.

Długo patrzyły na siebie w milczeniu. Sibylle odniosła wrażenie, że po raz pierwszy, odkąd się poznały, Rosie poważnie się nad czymś zastanawia. Kiedy rozważnie kiwała głową, jedna z fałd jej podwójnego podbródka rozpływała się na boki.

– Myślę, że ta historia jest tak zwariowana, że po prostu musi być prawdziwa. Nie możesz być aż tak porąbana, żebyś wymyśliła coś takiego.

Sibylle poczuła wielką ulgę. Świat, który od rana postrzegała jako zupełnie nierealny i obcy, nagle stał się odrobinę bardziej oswojony. Nie była już w nim całkiem sama.

– Dziękuję ci. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wiele... Wiesz, ja... Przez ostatnie godziny sama sobie zadawałam pytanie, czy z moją głową jest wszystko w porządku. Ale w jaki sposób mogę pamiętać każdy szczegół z ostatnich lat mojego życia? Każdą wspólną chwilę z Johannesem, każdą rozmowę? Każdy drobiazg w naszym domu? Moje dziecko...

Rosie machnęła ręką.

– Podziękujesz mi, kiedy odnajdziemy twojego syna. A jeśli chodzi o bycie wariatem, to pozwól, że młoda kobieta z sześćdziesięcioletnim doświadczeniem życiowym coś ci powie: żaden wariat nie zastanawia się nad tym, czy aby nie jest wariatem.

Sibylle wpatrywała się w swój środkowy palec, którym gładziła krawędź kieliszka.

– Kiedy będę już wiedziała, co z Lukaszem, wszystko inne też się wyjaśni.

Rosie plasnęła dłońmi o swoje solidne uda i spróbowała się podnieść. Za drugim razem udało jej się w końcu stanąć na nogi.

– Przyniosę papier i coś do pisania. Najpierw zanotujemy najważniejsze fakty i kwestie do wyjaśnienia. A potem dobierzemy się tym typom do skóry. – Sibylle patrzyła, jak wyciąga z szuflady w komodzie notes i długopis, a następnie, uzbrojona w te przybory, ponownie siada na swoim miejscu. – Zaczniemy od ostatniej rzeczy, którą pamiętasz, zanim zaczął się ten obłąd.

Sibylle skinęła głową.

– Wieczór u Greka z Elke. Trzynastego lipca. Szłam do domu przez park. Usłyszałam za plecami jakiś odgłos i odwróciłam się. Potem nic już nie pamiętam. Musiało się to stać na krótko przed północą.

– Ta Elke... Jak dobrze ją znasz?

– Bardzo dobrze. Była... jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Próbowełaś się z nią skontaktować?

Oczy Sibylle rozszerzyły się gwałtownie.

– Nie. W ogóle o tym nie pomyślałam.

Rosie narysowała w lewym górnym rogu duży plus, zakreśliła wokół okrąg, a pod spodem napisała „ELKE!”.

– Do kogo jeszcze, oprócz tej Elke, masz zaufanie? Sibylle zastanowiła się przez chwilę.

– Oczywiście do ciebie. No i może do teściowej. Zawsze się z nią dobrze rozumiałam. Nawet jak pokłóciłam się z Hanessem, często stawała po mojej stronie. Ale w ostatnim czasie dziwnie się zachowywała.

– Często się sprzeczaście? Twój mąż i ty? Sibylle pokręciła głową.

– Nie częściej niż inne pary.

Pod ostatnią notatką Rosie napisała „TEŚCIOWA”.

– Co z twoimi rodzicami?

– Ojciec miał raka, umarł dziewięć lat temu. Mama niecałe dwa lata później. Nie chciała bez niego żyć.

Rosie skinęła głową.

– Przykro mi – powiedziała, a po chwili milczenia spytała: – Ktoś jeszcze? Jakies rodzeństwo?

Sibylle znów pokręciła głową.

– Nie. Jestem jedynaczką. Właściwie powinnam wymienić męża jako pierwszego, ale...

– Zrobiła pauzę, żeby stłumić szloch. – Dlaczego zachowuje się tak, jakby mnie nie znał? I dlaczego wyretuszował zdjęcie z naszej podróży poślubnej? Kim jest ta kobieta na zdjęciu? Nic z tego nie rozumiem... Zawsze sądziłam, że jesteśmy zgodnym małżeństwem. Nie rozumiem też tego, co mówiła policja. Ten oficer, ten miłszy, powiedział, że widzieli zdjęcia u przyjaciół i krewnych i na wszystkich tych fotografiach Sibylle Aurich wyglądała inaczej niż ja. To by znaczyło, że mają coś wspólnego z tą sprawą, no ale chyba nie może tak być, prawda?

Rosie zostawiła trochę miejsca pod notką „TEŚCIOWA” i mniej więcej w połowie strony narysowała otoczony kółkiem minus. Pod nim napisała „JOHANNES”. Następnie odsunęła nieco notes, położyła dłonie na ławie i zaczęła kręcić długopisem, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym.

– Kto wie, ile fotografii rzeczywiście widzieli. Pierwsze pytanie, jakie mi się nasuwa, brzmi: Co się stało podczas tych dwóch miesięcy, których ci brakuje? Czy na pewno przez ten cały czas spałaś? I cała ta sprawa z twoją ucieczką. Jakikolwiek mieli wobec ciebie zamiary – dlaczego po dwóch miesiącach pozwolili ci tak łatwo uciec?

– No cóż – wtrąciła Sibylle – dla mnie nie było to takie łatwe. Rosie rytmicznie kołysała głową w przód i w tył.

– Ale sama musisz przyznać, że to co najmniej dziwne, żeby nikt nie pilnował ofiary ukartowanego spisku. Poza tym to, że twój mąż, jako jeden z możliwych wtajemniczonych, zadzwonił po policję, zamiast od razu cię przegonić, też uważam za kuriozalne.

Sibylle położyła dłoń na czole, czując na sobie pytający wzrok Rosie.

– Mój Boże... Masz rację. A może to nie byli prawdziwi policjanci? Nie pokazali mi legitymacji. Ten wstrętny typ pokazał coś tylko kobiecie w szpitalu, ale jeśli ktoś potrafi podrabiać fotografie z podróży poślubnych, potrafi też podrabiać dokumenty, prawda? To wyjaśniałoby też sprawę pozostałych fotografii. Wymyślili to po to, żebym poczuła się niepewnie. Tak naprawdę nie ma żadnych więcej zdjęć, na których jest inna kobieta.

Rosie sięgnęła po notes i narysowała znak, który zakreśliła kółkiem. Pod spodem napisała „POLICJANCI – PRAWDZIWI?”, a potem znów spojrzała na Sibylle.

– Wiesz, jak nazywali się ci policjanci?

– Starszy z nich to Grohe. Był chyba nadkomisarzem. Nazwisko drugiego ciągle wylatuje mi z pamięci. Czekał, czekał... może sobie znów przypomnę...

Rosi napisała „NADKOM. GROHE” i powiedziała:

– Już dobrze, Sibylle. Mamy przynajmniej jednego. A co z mężczyzną w szpitalu?

Jesteś pewna, że cię obserwował?

– Całkowicie. Obserwował mnie w szpitalu, a potem także kiedy wsiadałam do twojego samochodu.

„OBCY MEŹCZYŻNA” – na kartce pojawiły się kolejne słowa.

– Dobrze. Coś już mamy. Powinnaś teraz zadzwonić do Elke. Ciekawa jestem, jaka będzie jej reakcja. Właściwie to jak dobrze ona zna twojego męża?

– Dosyć dobrze. Znają się tak długo, jak ja i Hannes. Rosie pokiwała głową.

– A więc jest niepewna.

– Co takiego?

– No, jest niepewna jako osoba, której mogłabyś ewentualnie zaufać. Musisz się liczyć z tym, że ona też...

– Nie, w to nie uwierzę! – Sibylle weszła jej w słowo. Tylko nie Elke, nie... – Znamy się jeszcze ze szkoły. Nigdy by mi tego nie zrobiła.

Rosie sięgnęła ręką za kanapę, gdzie na małym stoliku leżał telefon.

– W takim razie... – powiedziała, podając słuchawkę ponad ławą. – Nie chcę tylko, żebyś się znów rozczarowała.

Sibylle trzęsącymi się palcami wystukała numer. Po trzykrotnym sygnale włączyła się sekretarka i głos Elke oznajmił, że nikogo nie ma w domu, ale można zostawić wiadomość, a ona na pewno oddzwoni. W pierwszym odruchu Sibylle chciała się nagrać, ale po namyśle zrezygnowała. Nie umiała sobie co prawda wyobrazić, że Elke mogłaby mieć cokolwiek wspólnego z całą tą sprawą, ale lepiej mieć całkowitą pewność. Nie wiadomo, kto odsłuchuje jej sekretarkę... Nacisnęła czerwony przycisk i odłożyła słuchawkę na ławę.

– Nikt się nie zgłasza – powiedziała bezbarwnym tonem.

– Cóż... – Rosie rzuciła wzrokiem na kartkę. – Gdzie mieszka twoja teściowa?

– W domu opieki, dwadzieścia kilometrów stąd.

– Dobrze. Zatem odwiedzmy tę starszą panią. – Nie czekając na odpowiedź, wstała z miejsca i poprawiła sukienkę. – Kiedy po raz ostatni byłaś u niej ze swoim synem?

– Ja... – Sibylle już chciała odpowiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Szukała w pamięci scen, w których Else byłaby z Lukaszem, ale nic takiego nie mogła sobie przypomnieć.

Śnieżenie.

Miała tyle szczegółowych wspomnień, ale w żadnym z nich nie było starszej kobiety i Lukasa. Czy nigdy nie zabrałam go do babci? Dlaczego?

– No, jak dawno temu? – chciała wiedzieć Rosie.

Sibylle jęknęła cicho.

– Nie rozumiem dlaczego, ale nie pamiętam. Ja... po prostu nie mogę sobie przypomnieć.

Poczuła na ramieniu dłoń Rosie.

– Hej, nie panikujmy. Dostałaś w głowę i tak czy owak zniknęłaś na dwa miesiące. Mimo tej okropnej historii zachowałaś niesamowitą jasność umysłu. Jeżeli nawet urwał ci się film z teściową, to nic takiego. Kiedyś wiele bym dała za to, żeby zapomnieć o tej jadowitej jędry.

Sibylle nagle spojrzała na Rosie.

– A jeśli rzeczywiście... jeśli naprawdę coś jest ze mną nie tak? Kobieta wykonała ręką zniecierpliwiony gest.

– Chodź już, jedźmy do tej twojej teściówki. Potem się zobaczy. Sibylle posłusznie wstała z miejsca.

Ale była pewna, że w oczach Rosie dostrzegła zakłopotanie.

– A co zrobię, kiedy Else też stwierdzi, że nic nie wie o Lukaszem? – Sibylle spojrzała na Rosie, która próbowała skoncentrować się na ruchu drogowym.

– Hmm, powiedziałaś, że twoja teściowa jest trochę dziwna. Co dokładnie miałaś na myśli?

– Zapomina czasem imion albo nie od razu rozpoznaje ludzi.

– To znaczy, że w normalnych okolicznościach mogłaby cię nie rozpoznać? Sibylle zawahała się.

– Tak, to się zdarzało. Ale prawie zawsze po krótkiej chwili wiedziała, kto przed nią stoi.

– A więc zakładając, że twój mąż jest wplątany w tę sprawę, są tylko cztery osoby, którym mogłabyś zaufać: twój syn, o którym nie wiemy, gdzie się znajduje, twoja przyjaciółka, do której nie możesz się dodzwonić, ja, która nie znam twojej przeszłości, oraz starsza kobieta, która cierpi na demencję i prawdopodobnie może cię w ogóle nie rozpoznać. Można by zaryzykować stwierdzenie, że twoja sytuacja wygląda naprawdę kiepsko, dziecinko. Nie masz nikogo, kto mógłby potwierdzić twoją tożsamość. Nie jestem w stanie tego uzasadnić, ale i tak uważam, że mówisz prawdę.

Sibylle znów poczuła, jak spływa na nią fala ulgi.

– Dziękuję ci, Rosie. Wiem, że to wszystko brzmi niedorzecznie. Na Boga, sama nie wiem, co mam o tym sądzić. Chyba zwątpiłam już we wszystko.

Rosie zdjęła jedną rękę z kierownicy i poklepała delikatnie kolano Sibylle.

– Nie trzeba rozpaczać. Ten, kto za tym wszystkim stoi, nie uwzględnił jednego – że zjednoczy się z tobą niemłoda już dziewczyna, która potrafi być bardzo zawzięta. Znajdziemy twój syna i do jasnej cholery, dowiemy się, kto cię w to wszystko wpakował!

– I dlaczego – dodała cicho Sibylle.

– I dlaczego – potwierdziła Rosie, robiąc srogą minę. – Nawet w najdoskonalszym planie nie można przecież wymazać egzystencji człowieka poprzez podłożenie paru sfałszowanych fotografii.

– Właśnie tego najbardziej się obawiam, Rosie. Ktokolwiek za tym stoi, musiał zdawać sobie z tego sprawę, a mimo wszystko to zrobił.

Budynek, pod który podjechały, otoczony był obszernym, nieco zaniedbanym parkiem. Na

drewnianym wyblakłym szyldzie widniała nazwa obiektu: „Jesienna Tęcza”. Sibylle zdziwiła się, że nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na tę, w jej odczuciu głupią nazwę. Kiedy powiedziała o tym Rosie, która akurat wjeżdżała na wyłożony żwirem parking, ta przewróciła oczami.

– Jeśli kiedykolwiek dożyję wieku, w którym nie będę mogła sama o siebie zadbać, to prędzej skoczę z mostu, niż dam się zamknąć w domu opieki o podobnej nazwie. – Mrugnęła łobuzersko do Sibylle. – Na szczęście zostało mi do tego czasu co najmniej trzydzieści lat.

W małym holu za staromodnym biurkiem, ustawionym ukośnie po prawej stronie drzwi, siedział młody mężczyzna z zarostem w formie nieregularnego puchu. Spojrzał na przechodzącą obok kobiety z absolutną obojętnością. Sibylle bała się, że zostanie zatrzymana, odetchnęła więc z ulgą, kiedy człowiek za biurkiem oparł się wygodnie i zanurzył w lekturze jakiegoś motoryzacyjnego pisma.

Sibylle zatrzymała się przy ostatnich drzwiach na korytarzu. Zapukała, odczekała chwilę i otworzyła drzwi.

Else Aurich siedziała w wózku przed zamkniętymi szklanymi drzwiami prowadzącymi na niewielki taras. Wpadające do pokoju promienie słońca otulały ją złocistą poświatą. Sibylle przypomniawszy sobie, że często siedziała z teściową na tym tarasie, popijając zieloną herbatę.

Starsza pani opuściła głowę. Kilka pasemek srebrnych włosów zwisało z boku niczym postrzępiona firanka, skrywając jej twarz poprzecinaną głębokimi zmarszczkami. Sibylle pomyślała, że kobieta śpi, ale kiedy stanęła obok, Else podniosła głowę i przywitała ją uśmiechem.

– Dzień dobry, Else – powiedziała Sibylle łagodnym głosem, kładąc rękę na jej ramieniu. – Jak się czujesz?

Kobieta skinęła głową, ciągle się uśmiechając.

– Dobrze. Czuję się dobrze. Ładną dziś mamy pogodę. Muszę wyjść do ogrodu. – W Sibylle zakiełkowała nadzieja. Zerknęła na Rosie, a ta uśmiechnęła się do niej ciepło. – Muszę pójść do ogrodu – powtórzyła Else Aurich.

– Tak, Else, możesz wyjść do ogrodu, na pewno. – Zawahała się przez moment, zanim z ostrożnością zapytała: – Wiesz, kim jestem, Else?

Poorana bruzdami twarz nie zmieniła swego wyrazu, kiedy oczy mierzyły Sibylle z góry na dół.

– Oczywiście, że wiem – powiedziała w końcu, akcentując słowa kilkukrotnym kiwnięciem głowy. Sibylle nie mogła się oprzeć, musiała pochylić się i objąć starszą kobietę. Po jej policzkach znów potoczyły się łzy, ale tym razem była to oznaka niewypowiedzianej ulgi. – Pani jest tą miłą pielęgniarką, która wyprowadza mnie do ogrodu – dodała po chwili Else, a Sibylle zamarła z głową tuż przy ustach kobiety. Po chwili odrzuciło ją do tyłu. Stała, wpatrując się z przerażeniem w starszą panią na wózku. – Muszę wyjść do ogrodu – powiedziała Else, wciąż z tym samym uśmiechem na ustach. – Zaprowadzi mnie tam pani? Taka ładna pogoda dzisiaj.

Sibylle nie była zdolna do jakiegokolwiek reakcji. Z otepienia wyrwało ją dopiero wyraźne chrząknięcie. Odwróciła się w stronę Rosie, a ta wskazała głową w kierunku niskiego, sięgającego kolan stolika, na którym stała oprawiona w ciemną dębową ramkę fotografia. Sibylle знаła to zdjęcie, chociaż z tej odległości nie można było dostrzec wszystkich szczegółów: to było jej zdjęcie ślubne.

Nogi ugięły się pod nią, kiedy pokonała niewielką odległość dzielącą ją od stolika.

Obawiała się tego, co zaraz zobaczy. Ale kiedy była już na tyle blisko, że mogła rozpoznać każdy szczegół, wydała z siebie przenikliwy krzyk. Kobieta w sukni ślubnej – szczęśliwa i wpatrująca się z miłością w Johannesesa, trzymająca w ręku mały, ale horrendalnie drogi bukiet czerwonych róż – była... nią. Żadnej obcej, wyretuszowanej twarzy, tylko ona sama, Sibylle Aurich. Obawa postradania zmysłów, ten niemożliwy do zniesienia ciężar przygniatający ją od godzin porannych, opadł jak ciężka kurtyna. Ja... Sibylle miała wrażenie, że unosi się centymetr nad ziemią – było jej tak lekko, kiedy wzięła w dłoń ramkę i podała ją Rosie.

– Patrz, oto dowód! Mój Boże, w końcu! Rosie, widzisz to?

Nagle do pokoju weszła kobieta, na oko po pięćdziesiątce, niosąc dzbanek herbaty i filiżankę. Kiedy ujrzała Sibylle i Rosie, zahamowała gwałtownie, a dzbanek uderzył o filiżankę, prawie ją przewracając.

– Dzień dobry. – Miała niespotykane ponury głos. – Czy mogę zapytać, kim panie są?

– Dzień dobry – odparła Sibylle. – Jestem Sibylle Aurich, synowa pani Aurich, a ta miła pani obok mnie to Rosemarie Wengler.

Kobieta obrzuciła Rosie krótkim, niepewnym spojrzeniem i położyła tacę na małej drewnianej ławie, stojącej pośrodku pokoju. Potem popatrzyła na Sibylle, unosząc lekko brwi.

– Pani... jest kim?

– Sibylle, synowa Else Aurich. Tu, proszę popatrzeć na to zdjęcie, jestem z synem pani Aurich. – Podała kobiecie fotografię, ciągle się uśmiechając. – To mój mąż, Johannes. A pani? Jest tutaj nowa, prawda? Chyba nigdy wcześniej się nie widziałyśmy.

Kobieta była wyraźnie zbита z tropu, ponieważ kręciła tylko głową, spoglądając na Sibylle jak na przybysza z obcej planety.

– Nie – powiedziała w końcu, a jej głos zabrzmiał jeszcze bardziej ponuro niż przedtem.

– My... nie spotkałyśmy się nigdy wcześniej. Przepraszam bardzo, muszę zabrać pani... tęściową na pobranie krwi. Ale pani może tutaj poczekać. Potrwa to tylko parę minut.

Dwoma krokami doskoczyła do starszej kobiety i przepchnęła wózek obok ławy, uderzając przy tym w krzesło.

Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, Rosie krzyknęła:

– Jazda! Idziemy stąd!

– Ale... dlaczego?

– Bo ta kobieta jest przekonana, że straciłaś rozum!

– Ja...

– Do diabła, Sibylle! – przerwała jej Rosie. – Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale wiem z całą pewnością, że musimy się stąd zmywać, bo ta opiekunka na pewno rozmawia właśnie przez telefon z policją. – Wskazała fotografię, którą Sibylle ciągle jeszcze trzymała w dłoni. – Ponieważ ta osoba, dziecinko, to na pewno nie jesteś ty.

– Ale co ty opowiadasz? – Sibylle była zupełnie zdezorientowana zachowaniem Rosie.

– To na pewno jestem... – Urwała w pół zdania, kiedy podniosła nieco fotografię. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą rozpoznała siebie, była teraz uśmiechnięta kobieta – ta sama, którą Sibylle widziała na zdjęciu w ich sypialni. Nie... Fotografia wypadła jej z rąk i szkło rozprysnęło się na kawałki, kiedy ramka uderzyła o posadzkę. – Ale przecież... przed chwilą... przecież widziałam na tym zdjęciu siebie. Na pewno widziałam siebie! A teraz... Boże, jak to możliwe?

– Chodź. – Rosie chwyciła ją za ramię i pociągnęła do wyjścia.

Kiedy wsiadły do samochodu, spojrzały po sobie. Sibylle miała wrażenie, że dostrzega na twarzy Rosie poważne zmartwienie.

– Czy ja zwariowałam? – zapytała z trwogą, a kiedy Rosie w milczeniu włączyła silnik, dodała: – Byłam absolutnie pewna, że widzę na tym zdjęciu siebie. A teraz nawet nie mogę przypomnieć sobie tego momentu. Ty pierwsza zwróciłaś uwagę na tę fotografię...

Rosie skręciła w główną ulicę.

– Nie zamartwiaj się – powiedziała. – Wszystko się jakoś ułoży. Prawdopodobnie po prostu bardzo chciałaś widzieć siebie na tym zdjęciu.

– A kiedy ty zobaczyłaś to zdjęcie, to już wtedy była na nim...

Rosie zatrzymała samochód na skraju szosy. Zdjęła ręce z kierownicy i marszcząc czoło, spojrzała jej głęboko w oczy.

– Sibylle, jeśli powiesz mi teraz, że uważasz za możliwe, żeby osoba na zdjęciu samoczynnie zmieniła się w ciągu zaledwie kilku sekund, będę zmuszona zawieźć cię do najbliższego psychiatryka. – Sibylle milczała, więc Rosie chwyciła jej dłonie w delikatnym uścisku i zapytała, wyraźnie akcentując słowa: – Powiedz mi więc, dokąd mam cię zawieźć: do mnie czy do domu wariatów?

Łzy znów popłynęły z oczu Sibylle. Przez chwilę zastanawiała się, jak jej organizm nadąża z ich wytwarzaniem.

– Nie, już dobrze. Zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe. To było... takie realne.

Mogłabym przysiąc, że...

– Głupstwa – zachnęła się Rosie. – Twoje oczy zażartowały z ciebie. A teraz przestań już. Nie chcę więcej o tym słyszeć. Pojedziemy do domu, a ty się zdrzemniesz. Potem ułożymy plan bitwy.

Sibylle nic już nie powiedziała. To było takie realne...

Sibylle ujrzała go, jeszcze zanim Rosie skręciła na wąski podjazd. Siedział z podkurczonymi nogami, opierając luźno łokcie na kolanach, na skwerku oddzielonego od domu Rosie wysokim żywopłotem.

Obcy mężczyzna.

Wpatrywała się w niego przez szybę samochodu, gdy nagle położył palec wskazujący na ustach i pokręcił lekko głową. Było w jego wzroku coś, co powstrzymywało ją od podzielenia się swym postrzeżeniem z Rosie. Po raz kolejny tego dnia serce podskoczyło jej do gardła.

Auto zatrzymało się przed domem i mężczyzna znikł z jej pola widzenia. Sibylle spojrzała na Rosie, ale twarz kobiety nie zdradzała, czy również spostrzegła nieznanego.

Jedna myśl goniła drugą. Najwyraźniej ten człowiek czekał na nią. Ale skąd wiedział, gdzie mieszka Rosie...?

Przecież sama poznała ją dopiero parę godzin wcześniej. Muszę z nim porozmawiać.

– Hej, Sibylle. – Głos Rosie wyrwał ją z zamyślenia. – Co się dzieje? Zamierzasz nocować w samochodzie?

Sibylle uśmiechnęła się blado. Polubiła tę kobietę, ale teraz naprawdę nadarzyła się okazja, żeby dowiedzieć się czegokolwiek o tym, co ją spotkało, a może także czegoś o Lukasiu.

Wysiadła i podążyła za Rosie do domu, jednak kiedy weszły do przedpokoju, powiedziała:

– Rosie, myślę, że zanim się położę, powinnam trochę pospacerować. Dobrze mi to zrobi.

– Masz rację. Świeże powietrze jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Chodźmy.

Sibylle potrząsnęła głową.

– Nie gniewaj się, ale muszę chwilę pobyć sama, pomyśleć. Naprawdę jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz, ale...

– Dobrze już. – Rosie beztrąsko machnęła ręką. – Nie ma sprawy. Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Ale uważaj, żebyś się nie zgubiła. – Mrugnęła porozumiewawczo. – I nie pozwól, by podrywali cię jacyś obcy faceci.

Sibylle posłała Rosie nieco wymuszony uśmiech i wyszła z domu. Na chodniku skręciła na lewo, przeszła obok żywopłotu i dalej kawałek po trawie, aż była pewna, że Rosie nie

zobaczy jej, nawet jeśli stanie na progu. Następnie wróciła łukiem w stronę krzewu. Zanim dotarła na miejsce, mężczyzna wyszedł zza krzewu, patrząc na nią poważnym, lecz przyjaznym wzrokiem.

– Dziękuję, że pani przysła – powiedział.

– Kim pan jest? I czego ode mnie chce? – Zauważyła, że głos jej drży.

– Nazywam się Christian Rössler – odpowiedział, a kiedy wpatrywała się w niego w milczeniu, dodał: – Wiem, w jakiej sytuacji się pani znajduje, i mogę...

– Wie pan, w jakiej sytuacji się znajduję? Skąd? Jest pan jednym z tych typów, którzy wyrządzili mi krzywdę? Wie pan coś o moim dziecku?

Podniósł obie ręce w poddańczym geście, powoli, nie chcąc jej wystraszyć.

– Nie, nie mam z tym nic wspólnego – powiedział spokojnym głosem. – Wręcz przeciwnie, chcę pani pomóc.

– Dlaczego? Przecież ja pana nie znam. Z jakiego powodu miałby mi pan pomagać? I jak w ogóle wpadł pan na to, że potrzebuję pomocy?

– Ponieważ sędzę – Rössler ściszył głos – że znajduje się pani w tym samym położeniu, co moja siostra Isabelle. Razem mamy większą szansę wykrycia, co lub kto za tym wszystkim stoi. – Siostra? Położenie? W głowie Sibylle galopowało równocześnie tyle myśli, że nie była w stanie ich od siebie oddzielić. Nie wiedziała, co powiedzieć – stała tylko, pocierając ręce. Rössler zdawał się dobrze rozumieć jej sytuację. – Niech mi pani wierzy, wiem, jak się pani czuje.

– Jak... Skąd...? – Sklecenie zdania przychodziło jej z ogromną trudnością. – Gdzie... gdzie jest pana siostra?

Uśmiechnął się smutno.

– Powiem pani wszystko, co wiem. Ale najpierw muszę wiedzieć, co powiedziała pani tamtej kobiecie, że dokąd się teraz udaje?

Czujność Sibylle wzrosła.

– Po co panu te informacje?

– Co pani jej powiedziała? To ważne. – Jego ton był niemal błagalny.

– Powiedziałam, że idę na krótki spacer. Ale dlaczego...

– Dobrze – przerwał jej. – Musi pani wrócić, zanim zacznie coś podejrzewać. Sibylle instynktownie cofnęła się o krok.

– Podejrzewać? Co to ma znaczyć? Niech pan posłucha, ta kobieta to jedyna osoba, której mogę teraz zaufać.

Mężczyzna westchnął, rzucając spojrzenie w kierunku żywopłotu zasłaniającego dom Rosie.

– Jeśli rzeczywiście ufa jej pani, to dlaczego nie powiedziała jej pani nic o mnie?

– Bo... – No właśnie, dlaczego?

– Proszę mnie posłuchać, nie mogę pani tego wszystkiego teraz wyjaśnić, ale proszę mi wierzyć, ta kobieta na pewno nie ma zamiaru pani pomóc. Ona... Za tym wszystkim musi kryć się wielka organizacja, dla której ważne jest, żeby śledzić każdy krok swoich ofiar. Dlatego muszą mieć kogoś, kto zawsze będzie blisko pani. Kogoś, komu pani ufa.

– Jaka organizacja? O czym pan mówi? Chce mi pan wmówić, że Rosie mogłaby... – Sibylle potrzęsła energicznie głową. – Nie. To zupełnie niemożliwe.

Jego wzrok znów powędrował w stronę przyciętych krzewów.

– Kiedy poznała pani tę kobietę?

– To akurat nie powinno pana obchodzić. Skąd w ogóle wiedział pan, gdzie teraz jestem?

– Pojechałem za panią, kiedy zobaczyłem, jak wsiada pani do jej samochodu. Chcę tylko wyjaśnić, w jakim niebezpieczeństwie się pani znalazła.

Sibylle zawahała się przez chwilę.

– Rosie poznałam dopiero dziś rano. Pomogła mi. Ale jak pan na mnie... Machnął ręką.

– Nie teraz. Teraz musi pani wrócić. Jeżeli zobaczy nas razem, to może się to źle skończyć dla pani, a pewno także dla mojej siostry, proszę mi wierzyć. Proszę też zastanowić się, w jakich okolicznościach trafiła pani na tę kobietę i czy jej zachowanie jest choć trochę normalne. Mojej siostrze też zupełnie niespodziewanie okazała pomoc jakaś kobieta. Rozumie pani?

– A co w tym złego, że są ludzie, którzy pomagają innym? – Sibylle nawet nie próbowała ukryć rozdrażnienia.

Rössler, niewzruszony, spojrzał jej w oczy.

– Trzy dni temu moja siostra zniknęła ponownie. Na krótko przedtem byłem razem z nią u tamtej kobiety, więc miałem nadzieję, że znów ją u niej zastanę. Przychodzę więc do jej mieszkania, a tam w drzwiach staje starszy jegomość. Pytam o kobietę – siostra mówiła, że ma na imię Johanna – a tamten odpowiada, że nikt o takim imieniu tutaj nie mieszka, i dodaje, że jest wdowcem i sam mieszka tu od kilku lat. Rozumie pani? Mieszkanie, w którym złożyłem wizytę tej kobiecie razem z Isabelle, wcale do niej nie należało. – Rössler poszperał w kieszeni spodni i wydobyl z niej pomietą kartkę. – Jestem pod tym numerem. Dzień i noc. Jeżeli chce się pani dowiedzieć, co już odkryłem w związku z tą sprawą, proszę do mnie zadzwonić jutro rano. Jeśli mi pani nie wierzy, to trudno. Więcej nie będę pani niepokoił. Proszę tylko, żeby nie mówiła pani o mnie tej kobiecie – niezależnie od tego, jaką decyzję pani podejmie. Inaczej nie uda mi się już dowiedzieć, gdzie jest teraz moja siostra i co się kryje za całą tą sprawą. – Sibylle nie potrafiła się skoncentrować. Miała ochotę krzyczeć na całe gardło. Rössler ciągle trzymał przed nią skrawek papieru, a kiedy zauważył, że Sibylle nie ma ochoty go wziąć, zapytał: – Czy mogłaby mi pani chociaż powiedzieć, jak się nazywa?

– Sibylle. Mam na imię Sibylle.

– Czy pani też szuka kogoś, kogo nie zna nikt oprócz pani?

Poczuła ukłucie w okolicy żołądka – jakby ktoś wymierzył jej solidnego kuksańca.

– Lukas... – usłyszała swój szept. – Czy... czy pana siostra też...?

– Rozpaczliwie szukała swojego syna.

– O mój Boże... I... znalazła go?

Rössler opuścił głowę. Kiedy znów spojrzał na Sibylle, w jego oczach dostrzegła łzy.

– Moja siostra nigdy nie miała syna.

Sibylle nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w miejsce, gdzie przed chwilą stał ten człowiek. Potem pochyliła się i podniosła kartkę, którą upuścił. Od razu schowała ją do kieszeni.

Nie miała syna... Nigdy... Lukas? Lukas!

– Nie! – zawołała tak głośno, że sama się przestraszyła. Potrząsnęła głową i ruszyła w stronę domu. Nie...

Zeszła z chodnika na podjazd. Zauważyła Rosie dopiero wtedy, kiedy o mało się z nią nie zderzyła. Stała u drzwi wejściowych, najprawdopodobniej czekając na nią.

...W jakich okolicznościach trafiła pani na tę kobietę i czy jej zachowanie jest choć trochę normalne.

Rosie, widząc ją, uśmiechnęła się szeroko.
– I jak dziecinko, dobrze ci zrobił spacer?

Hans stał przy laurowiśni, w ogródku przed domem, dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie tych dwoje rozmawiało ze sobą.

Już z daleka zauważył biały T-shirt. Zaparkował samochód pięćdziesiąt metrów dalej, a potem pieszo, wolnym krokiem cofnął się niczym zwykły spacerowicz. Za laurowiśnią znalazł wygodne miejsce. Upewnił się, że będzie mógł stąd wszystko dokładnie obserwować, a następnie podszedł do drzwi i zadzwonił. Kiedy po powtórnym dzwonku nikt się nie pojawił, wrócił zadowolony do swojej kryjówki.

Joachim śledził kobiety aż pod sam dom. Potem oddał bmw w ręce Hansa i odszedł pieszo. Hans zaczekał. Obserwował kobiety do domu opieki, w międzyczasie zadzwonił do Doktora, który rozkazał mu pozostawać w tle.

Po wizycie u starszej pani Jane wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Było widać, że się boi. Hans miał ochotę wejść do domu starców i rozprawić się z tymi, którzy byli odpowiedzialni za pogorszenie się jej stanu psychicznego.

Ale teraz też była roztrzęsiona – kiedy została sama na trawniku, wystraszona i dezorientowana.

Dobrze zapamiętał wyraz jej twarzy, jej sposób poruszania się i reakcje. Wiedział, że im bardziej jest zagubiona, tym szybciej będzie musiał przystąpić do akcji, ponieważ Trakt...

Na razie jednak odsunął tę myśl na bok.

Sibylle leżała na jednej połowie olbrzymiego łóżka małżeńskiego w sypialni Rosie, zapatrzona w sufit.

Oczy piekły ją żywym ogniem. Nie mogła już płakać, chociaż w środku wszystko w niej łkało.

Nie miałaś więcej łez...

Dlaczego akurat teraz przypomina mi się...

Nie miała pojęcia, dlaczego przyszedł jej do głowy Peter Maffay. Zwariowane? Tak, być może.

Gdy zamykała oczy, czuła ulgę, ale po kilku sekundach otwierała je, mając wrażenie, że ogarnia ją sen. Nie chciała spać. Za bardzo bała się tego, co mogłoby się zdarzyć podczas snu.

Nie wierzę, że ktoś odczuwa mój brak, bo dla tej, której chciałbym brakować, nie znaczę nic.

Roześmiała się cicho. Tak, zwariowane. Nie wiedziała, gdzie i jak spędziła ostatnie dwa miesiące, nie wiedziała, gdzie znajduje się teraz jej dziecko i czy niczego mu nie brakuje. Zaczynała wątpić we wszystko, co kiedyś stanowiło dla niej niezbitą prawdę – nawet w swój własny rozum. Ale tekst piosenki Petera Maffaya przypomniawszy jej się tak po prostu. Znała każdą linijkę. Zresztą nie tylko tej piosenki.

Niczym twierdza twój dom, a ja kołaczę u bram, otwórz mi!

W oknach pustka, życia brak i wiem, już nie mieszkasz tu.

Potrząsnęła głową, żeby przepędzić myśli, i przekręciła się lekko na bok. Parę sekund później przed jej oczami stanął Christian Rössler i jego absurdalna historia z siostrą. Moja siostra nigdy nie miała syna... – powtórzyła za nim w myślach. Jak ten typ w ogóle na mnie wpadł? Ostatni raz w szpitalu... Ze swego miejsca nie był w stanie czegokolwiek usłyszeć z rozmowy z policjantami czy też z lekarzem, to niemożliwe. A więc... musiał widzieć mnie już przedtem! Ale gdzie miałoby to być, rany boskie! Nigdzie – bo kłamie. Kłamie.

Odetchnęła głęboko i postanowiła, że powie o nim Rosie.

Później.

Było bardzo jasno i Sibylle potrzebowała chwili, by mrużąc oczy, rozpoznać otoczenie. Uśmiechała się do niej pogodna twarz Rosie. Pochyliła się nad łóżkiem, gładząc delikatnie jej włosy.

Sibylle podniosła się i rozejrzała wkoło. Wyświetlacz budzika pokazywał godzinę 7:23. Promienie słońca przeciskały się przez szczeliny do połowy zaciągniętych żaluzji, wypełniając pokój atmosferą idyllicznego letniego poranka. Wewnątrz było ciepło, przyjemnie ciepło. Przypomniała sobie, jak budziła się w weekendy w domu i patrzyła na roześmianą twarz leżącego obok syna. Kiedy Lukas budził się wcześniej niż ona, co zdarzało się prawie w każdą sobotę i niedzielę, zakradał się do jej sypialni i ostrożnie, tak żeby jej nie zbudzić, wchodził do niej pod kołdrę. Czekał cierpliwie, aż się obudzi. A potem nie przestrzegali już żadnych zasad. Potem przychodził czas na łaskotki i wszelkiego rodzaju przytulanki. Często kończyło się to dziką wojną na poduszki i wszystko inne, co akurat znajdowało się pod ręką, a było dostatecznie miękkie. Głośny śmiech i pokrzykiwania wypełniały wtedy cały dom, aż oboje bez sił opadali na posłanie.

– No, nie płaczże już, dziecinko – odezwała się łagodnie Rosie. – Chodź, śniadanie gotowe. Jajecznica na boczku pozwoli ci odzyskać siły.

Sibylle podniosła wzrok na Rosie. Dopiero po jej słowach zorientowała się, że płacze. Szybkim ruchem starła z twarzy łzy.

– Już dobrze, Rosie. Już nie płaczę. Ja... już wstaję.

Coś przeszkadzało jej w tej wizji walki na poduszki. Lukas...? Nie, nie Lukas. Coś innego. To było... Ależ oczywiście: Johannes! Wcale z nami nie dokazywał, był... Dlaczego go przy tym nie było? Teraz, kiedy pomyślała o tym bardziej świadomie, widziała dokładnie, jak leżał w łóżku obok niej, z dwudniowym zarostem i potarganymi włosami. Ale właśnie dopiero teraz.

Przesadnie głośnym westchnieniem Rosie przywróciła ją do rzeczywistości. Stała przy drzwiach z rękami założonymi na ogromnym biuście, z przekrzywioną głową, patrząc napominająco w jej kierunku.

– Smacznego – powiedziała gospodyni, gdy kilka minut później zasiadły do stołu.

Kuchnia wydała się Sibylle taka sterylna – nie było tu nawet okruszków, które pozostają zwykle po krojeniu bułek. O tym, że pomieszczenie było używane, świadczył jedynie nakryty

stół, co zresztą, zdaniem Sibylle, nie pasowało do osobowości tej wyluzowanej kobiety.

Przed śniadaniem Rosie dała jej nową, zapakowaną jeszcze szczoteczkę do zębów. Ze śmiechem powiedziała, że musi mieć zawsze co najmniej jedną świeżą szczoteczkę w domu, na wypadek gdyby został u niej na noc jeden z jej licznych kochanków.

Sibylle grzebała w swojej jajecznicy, co jakiś czas podnosząc widelec do ust, chociaż w ogóle nie miała apetytu.

– Rosie... – odezwała się w pewnym momencie, nie odrywając wzroku od talerza.

– Tak?

– Wczoraj nie byłam na spacerze.

– Co takiego?

Sibylle podniosła głowę.

– Wczoraj po południu. Zanim się położyłam, nie poszłam pospacerować.

Na twarzy Rosie malowały się zaskoczenie i dezorientacja.

– A gdzie byłaś, jeśli nie na spacerze?

– Spotkałam się z mężczyzną, który obserwował mnie w szpitalu i później na ulicy Schmetzera, kiedy przyjechałaś po mnie. Mówiłam ci o nim.

Rosie odłożyła widelec na talerz i oparła się ciężko, na co krzesło zareagowało żalonym trzaskiem.

– Ale jak... jak on się tutaj dostał? I czego od ciebie chciał? Sibylle kontynuowała rozdrabnianie jajecznicy.

– Czekał tu. Kiedy przyjechałyśmy, dał mi znak.

– No coś takiego! – Rosie kręciła głową. – Mówi mi coś o spacerze, a po kryjomu urządza sobie schadzki za żywopłotem jak jakaś nastolatka.

Sibylle poczuła ucisk w żołądku. Równocześnie spostrzegła, że Rosie na krótką, niemal niezauważalną chwilę przymknęła powieki.

– Skąd o tym wiesz?

– Hm?

– Nie powiedziałam przecież, gdzie się z nim spotkałam.

Patrzyła Rosie prosto w oczy, mając przeczucie, że wątpła łódź ratunkowa płynąca przez ocean kłamstw przechyla się niebezpiecznie.

– Ach, to... Zgadłam po prostu. Gdzie indziej mógłby na ciebie czekać, jeśli nie tam. – Nie ulegało wątpliwości, że kłamała. Rosie sama zauważyła, że Sibylle jej nie wierzy. Z zatroskaną miną pochyliła się nad stołem, chcąc położyć dłoń na jej dłoni, ale Sibylle odsunęła rękę. – Przykro mi, Sibylle. Widziałam go, kiedy przyjechałyśmy, ale nie zwróciłam na niego uwagi. Kiedy jednak chciałaś pospacerować, a potem skręciłaś w jego kierunku... Zaraz przy domu jest dziura w żywopłocie, przez którą można obserwować trawnik. Ja... obserwowałam was, dziecińko. Wiem, to nie było właściwe zachowanie i powinnam była ci o tym powiedzieć, ale wstydziałam się. Poza tym nie chciałam, żebyś odniosła wrażenie, że cię szpieguję. Zresztą byłam pewna, że sama mi o tym powiesz.

Proszę mi wierzyć, ta kobieta na pewno nie ma zamiaru pani pomóc... Za tym wszystkim musi kryć się wielka organizacja... Muszą mieć kogoś, kto zawsze będzie blisko pani. Kogoś, komu pani ufa.

– Obserwujesz mnie przez dziurę w krzakach i nie chcesz, żebym odniosła wrażenie, że mnie szpiegujesz? A jakie, twoim zdaniem, mam odnieść wrażenie?

– Na Boga, znam cię dopiero dwadzieścia cztery godziny, ale już czuję się za ciebie

odpowiedzialna! – zawołała Rosie z przejęciem. Sibylle patrzyła na nią bez słowa. – Zaufałaś mi. Inaczej nie zadzwoniłabyś do mnie, kiedy nie wiedziałaś, co począć. To przepelnia mnie dumą, ale odnoszę również wrażenie, że muszę na ciebie uważać. Nie obserwowałam cię wczoraj dlatego, że jestem ciekawska, ale dlatego, że chciałam być pewna, że nic ci się nie stanie. A nie wspomniałam o tym trochę dlatego, że chciałam przekonać się, czy sama mi o tym opowiesz. Czy naprawdę mi ufasz. – Głos Rosie brzmiał spokojnie i łagodnie. – Sibylle, wierzę w twoją historię, chociaż parę rzeczy, o których wspomniałaś, delikatnie mówiąc, brzmi dosyć dziwnie. Poza tym uciekłaś policji, która teraz prawdopodobnie wszędzie cię szuka. Chcę ci pomóc odnaleźć twoje dziecko, chociaż prawdopodobnie wejdem tym samym w konflikt z prawem. Ale... no cóż, znamy się od wczoraj. Być może i ty potrafisz mnie zrozumieć.

Sibylle poruszała widelcem grudkę jajecznicy na talerzu tam i z powrotem, patrząc, jak rozpada się na coraz drobniejsze kawałki. W końcu westchnęła ciężko i podniosła wzrok znad talerza.

– Masz rację, Rosie. Myślę, że jestem przewrażliwiona.

W jednej chwili smutna starsza kobieta przemieniła się na powrót w dawną wesołą Rosie.

– Oj tam, bzdurki, i tyle. Nie jesteś przewrażliwiona. To jasne, że jesteś podejrzliwa, kiedy taka starsza dziewczyna jak ja staje za krzakiem i podgląda z ukrycia. Chcesz mi powiedzieć, czego ten człowiek od ciebie chciał?

Sibylle zastanowiła się, ile z wczorajszej rozmowy powinna jej zdradzić.

Zadecydowała się na skróconą wersję – bez wspomnienia o tym, co Rössler mówił o Rosie.

– Siostra tego mężczyzny zniknęła i po tym, jak w jakiś sposób dowiedział się, że też jestem w tarapatkach, pomyślał, że być może jestem w stanie pomóc mu ją odnaleźć.

Dwie cienkie kreski na twarzy Rosie, wymalowane w miejscu, gdzie zwykle znajdują się brwi, uniosły się.

– Skąd ten pomysł, że możesz mu pomóc? Zwłaszcza że sama masz problemy.

– Cóż, on sądzi, że ci, którzy wpędzili mnie w tę sytuację, są również odpowiedzialni za zniknięcie jego siostry.

– Hm... Nie wiem, ale wydaje mi się to mocno naciągane. Skąd niby wie, w jakiej jesteś sytuacji? Skąd wiedział, jak cię znaleźć? I dlaczego wszystko to robi w takiej tajemnicy?

– Powiedział, że jechał za nami, kiedy zabrałaś mnie z ulicy. Chyba nikomu już nie ufa.

Rosie zaniósł się gardłowym śmiechem.

– Poza tobą. A co z policją? Też jej nie ufa? Mnie ten typ wygląda na takiego, który sam ma coś wspólnego z tą sprawą, a teraz stosuje różne triki, żeby być blisko ciebie, żeby mieć cię na oku.

Obydwoje twierdzą, że chcą mi pomóc, pomyślała Sibylle. I wzajemnie się oskarżają.

To jakieś wariactwo. Jednym ruchem odsunęła krzesło od stołu i wstała z miejsca.

– Wszystko jedno. Muszę znaleźć Lukasa. Nie wiem, gdzie go szukać, ale muszę coś przedsięwziąć.

– Masz rację, nic nie jest teraz ważniejsze od twojego syna. Wzrok Sibylle znów zawiesił się na okrągłej twarzy.

– Masz dzieci, Rosie?

Czy kobieta drgnęła, słysząc to pytanie? A może tylko jej się wydawało?

– Niestety nie – odparła w końcu i nie czekając ani sekundy dłużej, uderzyła dłonią w stół, tak że sztucce zabrzęczały na porcelanie. – A więc jazda! Nie możemy tracić ani chwili.

Chciała mieć dzieci, ale nie mogła.

– Pokażesz mi zdjęcie swojego męża? Jestem ciekawa, jak wyglądał.

– Mojego męża? – Sibylle wydało się, że po raz pierwszy, odkąd poznała Rosie, w jej głosie zabrzmiało coś podobnego do lęku. Ale kobieta szybko doszła do siebie i machnęła ręką. – Ach... to teraz nie jest ważne. Teraz musimy skupić się na twoim synu.

Nie chce, żebym go widziała. Albo nie mówi prawdy.

Sibylle zdziwiło, jak łatwo w jej głowie pojawiły się wątpliwości. Musiała zawierzyć tej kobiecie, nawet gdyby okazało się, że nie zawsze mówi prawdę.

Jeśli jej nie zaufam, to komu? Komu?

Sibylle usiadła na podłodze w salonie, opierając się plecami o poduszkę, podczas gdy Rosie sprzątała ze stołu. Zamknęła oczy, wsłuchując się w dochodzące z kuchni odgłosy.

Jej myśli stopniowo opuszczały ten dziwny horror, jakim w jednej chwili stało się jej życie, i szukały scen z przeszłości, które niczym zimny okład przynosiły ulgę jej wypalanej duszy.

Ktoś mógłby powiedzieć, że przez ostatnie dziesięć lat prowadziła dosyć nudny tryb życia. Wyszła za mąż za mężczyznę, który ani nie umawiał się w knajpach na cotygodniowego pokera, ani nie spędzał wieczorów z kolegami przed telewizorem, oglądając mecze piłki nożnej. Wszystko przebiegało u niego z góry zaplanowanym torem. Siłą rzeczy z biegiem lat ona sama w naturalny sposób przejęła ten sam model życia.

Od czasu do czasu szli do teatru lub zjedli kolację w jakiejś miłej knajpce, ale na co dzień byli raczej domatorami. Zanim się poznali, życie Sibylle znacznie bardziej obfitowało w turbulencje. Ciągle była w ruchu, nie przegapiła żadnej imprezy – była pewna, że doświadczyła więcej niż Johannes. Z pierwotnego kręgu jej znajomych i przyjaciół po ślubie nie zostało zbyt wielu. W sumie tylko Elke...

Elke! Otworzyła oczy, prostując się gwałtownie. Spróbowała podeprzeć się łokciem, ale jej łokieć zapadł się w miękką poduszkę. Rozejrzała się po salonie w poszukiwaniu zegara, ale żadnego nie dostrzegła. Z trudem podniosła się z podłogi, kiedy z kuchni wynurzyła się Rosie.

– Która godzina? – zapytała Sibylle, odgarniając kosmyk włosów, który zasłonił jej oczy.

– Piętnaście po ósmej.

– Muszę jeszcze raz spróbować dodzwonić się do Elke. Może Lukas jest u niej.

Rosie w jednej chwili była przy stoliku obok kanapy i podawała jej słuchawkę. Sibylle szybko wystukała numer, zbyt szybko, ponieważ po drugiej stronie zgłosiła się mrukliwa kobieta nazwiskiem Kleinbauer, która oschle oznajmiła, że nie zna żadnej Elke, po czym rozłączyła się.

Spróbowała jeszcze raz, tym razem wystukała numer powoli i dokładnie. Już po dwóch sygnałach usłyszała w słuchawce znajomy głos:

– Elke Berheimer. – O mało nie krzyknęła z radości. – Halo?

– Elke... Tu Sibylle.

Na kilka sekund zapadła cisza. A potem wypowiedziane ledwie słyszalnym szeptem:

– Kto? Kto mówi? Sibylle? Sibylle Aurich? To naprawdę ty?

Z całą pewnością głos należał do Elke, ale brzmiał jakoś sucho i dziwnie obco.

– Tak, Elke, to ja. Jest u ciebie Lukas?

– Ale gdzie... to znaczy... co się stało?

– Napadnięto na mnie i uprowadzono. Wczoraj rano obudziłam się w jakiejś piwnicy.

Udało mi się uciec. Pomogła mi pewna miła kobieta. Hannes mnie...

– Chwileczkę! – przerwała jej Elke. – Obudziłaś się w piwnicy? Jakaś kobieta ci pomogła? Jesteś teraz u niej?

– Tak, ale...

– Gdzie to jest? Jak ona się nazywa?

– Rosemarie... – odparła Sibylle, patrząc na Rosie, która nagle zaczęła wymachiwać rękami i otwierając szeroko usta, powiedziała bezgłośnie: „Nie wymieniaj mojego nazwiska”, kręcąc przy tym głową.

– Rosemarie? – Głos Elke był zniecierpliwiony. Sibylle odwróciła wzrok od Rosie.

– Elke, powiedz mi tylko, czy jest z tobą Lukas? – Znowu cisza. Jedna sekunda, następna... – Elke! Co się dzieje, do cholery?

– Nie – odpowiedź przysła z wahaniem. – Nie ma go tutaj.

Sibylle słyszała szybkie bicie swojego serca, aż huczało jej w głowie.

– O Boże, Elke... Proszę cię, powiedz mi, że nic mu się nie stało. Powiedz mi, że wiesz, gdzie on jest, i że nic mu nie dolega. Proszę cię!

– Tak... wszystko w porządku.

Sibylle opadła na poduszkę, nie mogąc powstrzymać głośnego jęku.

– Dzięki Bogu. – Nie wiedziała, czy rzeczywiście wypowiedziała te słowa, czy tylko je pomyślała. Odchrząknęła, próbując odzyskać panowanie nad sobą. – Gdzie on jest?

– Nie mogę ci tego powiedzieć przez telefon – odparła Elke. – Wszystko z nim dobrze.

Możesz do mnie przyjechać?

Sibylle próbowała powstrzymać szloch.

– Przyjadę. Na razie!

Opuściła słuchawkę. Początkowa fala radości i ulgi ustąpiła miejsca mglistemu lękowi.

Sibylle pomyślała, że głos Elke brzmiał jakoś dziwnie. To poczucie wyobcowania w realnym świecie i istnienia w innym, dziwnym, gdzie tylko od czasu do czasu pojawiał się ktoś, kto jedynie częściowo przypominał bliską jej osobę, nie znikło po tej rozmowie.

– Co jest? – chciała wiedzieć Rosie. – Jak zareagowała? Co powiedziała? Zapytała, jak mam na nazwisko?

– Ja... nie wiem... tak... – Sibylle ciężko było pozbierać myśli. – Jakieś dziwne to wszystko. Najpierw była zaskoczona, ale potem... Ach, nie mam pojęcia, co to było, jest mi to już obojętne. Najważniejsze, że z Lukaszem jest wszystko w porządku, a ona wie, gdzie on przebywa. Musimy do niej zaraz pojechać, czeka na nas.

– A więc jedźmy! – powiedziała Rosie bez chwili wahania.

Elke mieszkała w Stadthof, na wyspie w północnej Ratyzbonie, otoczonej wodami Dunaju i połączonej kamiennym mostem ze starówką. Zaraz za Burgweinting Rosie skręciła na autostradę. Pierwsze kilka minut jazdy upłynęły w milczeniu. Sibylle kilkakrotnie wracała jeszcze do rozmowy z Elke. To oczywiste, że jej przyjaciółka musiała być zaskoczona, w końcu od dwóch miesięcy nie miała od niej żadnej wiadomości. Ale sposób, w jaki wyraziła zdziwienie, był dosyć niezwykły. A jeśli w rzeczywistości wcale nie była zaskoczona? I dlaczego w tej sytuacji tak interesuje ją nazwisko Rosie?

– Dlaczego nie chciałaś, żeby Elke poznała twoje nazwisko? – Spojrzała na Rosie, która zdawała się całkowicie skoncentrowana na ruchu drogowym.

– Ach, to tylko takie przeczucie – odparła, nie odrywając wzroku od jezdni. – Po prostu się zdziwiłam. Po dwóch miesiącach twojej nieobecności, kiedy można było w zasadzie myśleć o najgorszym, nagle dzwonisz i pytasz o swoje dziecko, a twoja bliska przyjaciółka interesuje się obcą kobietą. – Rosie przelotnie spojrzała na Sibylle. – Nie chcę urazić twojej przyjaciółki, ale jej reakcja wydaje mi się co najmniej dziwna.

– Masz rację. Ale z jakiego powodu może się tak zachowywać? – Rosie parsknęła, ale nie odpowiedziała. – Sądysz, że spiknęła się z Johannesem, prawda? – dopytywała Sibylle. – Sądysz, że zadzwonił do niej i ostrzegł ją, kiedy się dowiedział, że uciekłam tym policjantom. Mam rację?

Rosie nadal milczała, więc Sibylle oparła czoło o szybę. Spotykamy się we śnie, z dala od huków i pędu świata. Chcę patrzeć w twoje oczy, aż opadniesz w me ramiona, wtedy wiem, że jesteś.

Wcześniej, później, bliżej z każdym dniem, bo tylko błędząc, odnajdę drogę do ciebie.

Słyszała głos Petera Maffaya tak dokładnie, jakby stał tuż obok niej i śpiewał tylko dla niej.

Skąd znam te piosenki? Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek była fanką Maffaya, a nagle okazało się, że zna jego teksty – linijka za linijką. Skąd?

Chłód gładkiej szyby dobrze jej zrobił. Patrzyła na długie rzędy drzew i krzewów, które ciągnęły się, by za chwilę zniknąć z pola widzenia. Próbowwała uchwycić na dłużej choć jedno, ale przemieszczały się zbyt szybko. Stopniowo stapiały się w jedną brązowozieloną rzekę, która wbrew wszelkim prawom natury przesuwała się w zawrotnym tempie ciągnąc linię za

szybą samochodu. Zaraz potem obraz zmienił się i drzewa powróciły. Ale to były inne drzewa. Te tutaj nie przemieszczały się, stały spokojnie, majestatycznie na zielonej łące. Na nisko zwisających gałęziach umocowano kolorowe girlandy, a pod nimi ustawiono stoły i krzesła udekorowane serpentynami i balonikami. Wiatr bawił się nimi, kołysząc je lekko tam i z powrotem, aby po chwili zadać silnym podmuchem i uderzyć nimi o oparcia krzesel.

Sibylle ujrzała najpierw tę scenę z góry, ale zaraz sama stała się jej częścią. Widziała roześmiane dzieci i uśmiechniętych dorosłych, widziała ich jak... jak oczami kogoś, kto sam bierze udział w tym... przyjęciu urodzinowym? Jeden ze stołów był udekorowany szczególnie barwnie, a przy krawędzi umieszczona była tabliczka z imieniem, w formie złotej korony. Sibylle wiedziała, jakie imię było na niej wypisane, jeszcze zanim zdołała je odczytać. Wiedziała też, że sama je wypisała.

„Lukas”. Ta złota papierowa korona była wizytówką, która stała przed nim na przyjęciu z okazji jego szóstych urodzin. Ale gdzie on jest? Gdzie jest mój syn?

Chciała obejrzeć się za siebie, poszukać go, ale ani kąta widzenia, ani wycinek ogrodu, który zdołała ogarnąć wzrokiem, nie zmieniał swego położenia. Patrzyła na twarze małych i większych sylwetek, które rozbawione stały lub biegały. Szukała w nich znajomych rysów, ale bez skutku. Sprawiały wrażenie, jakby były bez życia, chociaż opowiadały coś, śmiały się. Miała wrażenie, że ktoś owinął ich wszystkich jakąś niewidzialną powłoką, przez którą nie przedostawało się na zewnątrz realne, namacalne życie.

A jednak każda z tych twarzy miała w sobie coś, co wydało jej się znajome. Jak to możliwe?

Również ogród, choć nie był ogrodem przy jej domu, był znajomy. Na pewno gdzieś go już widziała. Na jakimś zdjęciu? U kogoś znajomego? Nic nie wiem...

Kolorowe baloniki zniknęły, a wraz z nimi także mężczyźni, kobiety, dzieci – wszystko rozplynęło się w powietrzu. Drzewa stały się znowu zieloną bezkształtną masą, z której po chwili wyodrębniły się pojedyncze obiekty, znikające jeden po drugim w szalonym tempie.

– Sibylle, wszystko w porządku?

Przestraszona spojrzała w kierunku Rosie, która patrzyła na nią zatroskanym wzrokiem.

– Tak... Zamyśliłam się.

– Nie mam ci tego za złe, ale musisz mi powiedzieć, jak mam dalej jechać.

Sibylle rozejrzała się. Potrzebowała chwili, żeby zorientować się, gdzie się znajdują.

Rosie zjechała z autostrady i jechały teraz Frankenstrasse.

– Tam zaraz trzeba będzie skręcić w lewo – powiedziała, wskazując kierunek. – To już niedaleko.

Poprowadziła Rosie przez ostatni odcinek drogi i niecałe pięć minut później zatrzymały się przed wielorodzinnym budynkiem, na którego trzecim piętrze Elke miała wygodne mieszkanie.

Ponieważ przed domem nie było parkingu, Rosie stanęła dwoma kołami na chodniku.

– Zostanę tutaj – powiedziała. – Nie chcę, żeby odholowali mi samochód. Poza tym chyba będzie lepiej, jeśli porozmawiasz z nią w cztery oczy.

Sibylle skinęła głową i wysiadła bez słowa.

Ciężkie drewniane drzwi były jedynie przymknięte. Mroczny korytarz za nimi rozświetlało tylko blade światło, wpadające przez niewielki świetlik. O ścianę oparte były dwa rowery, które w mroku skojarzyły się Sibylle z olbrzymimi owadami pochodzącymi z obcej planety.

Pokonywała po dwa stopnie naraz, aż w końcu stanęła przed ciemnobrązowymi drzwiami. „Elke Berheimer” głosił napis na wizytówce wsuniętej za kawałek pleksi tuż obok dzwonka.

Zanim Sibylle zdążyła nacisnąć guzik, drzwi otworzyły się i w progu stanęła sympatyczna kobieta, parę centymetrów niższa od niej i może parę kilogramów zbyt obszerna.

Elke.

Nagle znów wróciło to uczucie, że coś jest nie tak. Podobnie jak wczoraj, kiedy Rosie zawiozła ją do domu.

Jednak tym razem było ono bardziej konkretne. Sibylle wiedziała nawet, co jej nie pasowało: Dlaczego Elke była od niej niższa? Przecież zawsze były mniej więcej tego samego wzrostu. A może po tych dwóch miesiącach nie przypominała sobie wszystkiego tak jak trzeba?

– Cześć Sibylle, miło cię widzieć – powiedziała. Serce Sibylle podskoczyło do gardła. Elke stała przed nią tak po prostu i uśmiechała się. Ale to był dziwny uśmiech. Patrzyła na jej otoczoną blond lokami twarz, która wydawała jej się znajoma, ale w tej chwili jakby zupełnie obca. Była przekonana, że Johannes już się z nią skontaktował. Elke, którą znała, na pewno w tej sytuacji nie stałaby tak spokojnie. Elke, którą znała, rzuciłaby się jej na szyję, płakałaby, tuliła ją i ścisnęła. Myśli Sibylle znów zaczęły galopować. Powinna uciekać? Elke, jakby czytała jej w myślach, odezwała się: – Ja... Przepraszam, nie mogę. To zbyt poważna sytuacja. Johannes zadzwonił do mnie, Johannes Aurich... ale tego chyba już się pani domyśla, prawda?

Dziwna uprzejmość znikła zarówno z głosu, jak i z twarzy Elke, ustępując wyraźnemu zakłopotaniu. A może lękowi?

Sibylle znów poczuła, jak jej serce zwiększa obroty. Zdecydowała się na atak.

– Ty również jesteś w to wmieszana, Elke? – Mimo wszystko starała się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie. – Akurat ty? Dlaczego mi to robicie? Możesz mi przynajmniej to wyjaśnić? O co tutaj chodzi? O pieniądze? A może... może masz romans z Hannesem? Czego chcecie, do jasnej cholery? Czego?!

Ostatnie słowa wypowiedziała już bardzo głośno, tak głośno, że Elke skuliła się, w popłochu obrzucając wzrokiem mały przedpokój.

– Proszę, niech pani wejdzie – powiedziała niemal błagalnym głosem. – Proszę.

Noc stała się chłodna. Nie zimna – zimno było czymś innym. Zimno było, gdy na Saharze po zachodzie słońca kwarcowy piasek błyskawicznie wysyłał we wszechświat swoje ciepło, a temperatura spadała o pięćdziesiąt stopni. Hans wiedział, co znaczą prawdziwie zimne noce.

Kiedy w domu pogasły wszystkie światła, odczekał godzinę, a później także pozwolił sobie na odrobinę snu. Fotel bmw był wygodniejszy niż ten w jego starym francuskim samochodzie, ale i tak budził go każdy, najcichszy nawet odgłos wpadający z zewnątrz przez lekko opuszczoną szybę. Przyzwyczajenie, którego chyba nigdy już się nie pozbędzie.

Siedem po trzeciej wyrwał go ze snu szelest, spowodowany przez skradającego się w krzakach kota. Około piątej podniósł oparcie fotela. Pomyślał o Jane.

Musiał długo czekać, aż obie kobiety opuściły dom i wsiadły do samochodu. Hans podejrzewał, dokąd mogły się udać. Odwiedzin w domu opieki Doktor wprawdzie nie przewidział, ale w tym innym miejscu z całą pewnością się spodziewał. Przypuszczenie sprawdziło się, kiedy jechali autostradą, a potwierdziło się w stu procentach, gdy zbliżyli się do Stadtmhof.

Nie było zbyt wiele możliwości zaparkowania przed domem, gdzie stanął czerwony samochód. Hans skręcił w niewielką przecznicę i znalazł miejsce zarezerwowane dla mieszkańców ulicy. Mógł zaryzykować mandat, w końcu to auto Joachima. Swego własnego samochodu nigdy jeszcze nie zaparkował w niedozwolonym miejscu. Unikanie choćby najmniejszych kontaktów z policją było bardzo ważne, w innym przypadku mógłby zostać wyrwany z łańcucha zdarzeń. A to mogłoby odnieść horrendalne skutki. Gdyby na przykład teraz zatrzymał go jakiś policjant, Hans mógłby stracić czujność i przegapić coś, co stanie się obok niego. To z kolei mogłoby sprawić, że coś przytrafiłoby się Jane. Coś, czemu Hans za wszelką cenę powinien zaradzić, a na co nie miałby już później żadnego wpływu. Wtedy być może Doktor rozkazałby zrobić coś z Jane, coś, czego on nie byłby w stanie wykonać. I wtedy stałoby się coś okropnego.

Tak więc gdyby teraz zatrzymał go jakiś policjant, Hans musiałby go zabić jednym szybkim dźgnięciem w kark, po to by zdarzenia wokół Jane Doe mogły przybrać zamierzony przez Doktora obrót. Co prawda śmierć policjanta znowu zmieniałaby kolejność zdarzeń, które...

Ale teraz Hans nie powinien się nad tym zastanawiać. Zazwyczaj starał się analizować te sprawy aż do gorzkiego zakończenia, ale trwało to za długo, czasem też powodowało, że krzyczał, ponieważ nie był w stanie rozeznaczyć się w tej zawilej konfiguracji ciągów przyczynowo–skutkowych.

Kiedy skręcił w uliczkę, przy której stał dom, stwierdził z ulgą, że czerwony samochód jest w tym samym miejscu, co przedtem. Teraz dostrzegł, że za kierownicą siedzi jakaś osoba. Wiedział, kim ona jest.

Przysiadł na skraju kamiennej donicy około pięćdziesięciu metrów przed domem i czekał.

Jakieś dziesięć, dwanaście minut później z lewej strony nadjechał policyjny radiowóz. Po kilku sekundach po prawej pojawił się mknący z ogromną prędkością samochód i zatrzymał się tuż obok policyjnego auta.

Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn. Od razu zaczęli rozmawiać z policjantem w mundurze, który wyskoczył z patrolowego auta.

Hans znał policjantów w cywilu. Jednego z nich nawet całkiem dobrze.

Sibylle wydawało się, że ciągle czuje na sobie wzrok Elke, kiedy szła w kierunku małej zacisznej kuchenki. Często siedziały w niej razem, popijając cappuccino, rozmawiając, śmiejąc się...

Usiadła przy stoliku na krześle – tym samym, na którym zawsze siedziała – i spojrzała na Elke.

– Zrobisz mi cappuccino?

Elke z zatroskaną miną skinęła głową.

– Tak, oczywiście. Dwie łyżeczki cukru? Sibylle zaśmiała się gorzko.

– Wiesz dobrze, że nie słodzę cappuccino. Możesz już skończyć z tymi gierkami? – Nagle Elke wybuchła niekontrolowanym płaczem. Usiadła na krześle obok Sibylle i zasłaniając usta dłonią, pochyliła się tak nisko, że prawie oparła czoło o blat stołu. Sibylle widziała, jak cała drży. Delikatnie pogłaskała loki Elke. – Darzysz mnie jeszcze jakąś resztką sympatii, bella?

Zalana łzami twarz podniosła się powoli.

– Bella? Tak nazywała mnie Sibylle. Skąd pani... Sibylle gwałtownie cofnęła dłoń.

– Czy naprawdę wszyscy powariowali? Popatrz na mnie, Elke. Tu. – Rozstawiając palce, wskazała na swoje oczy. – Patrz dokładnie. Nie wiem, czy z moją twarzą coś się stało, nie mam pojęcia! Ale popatrz w moje oczy. Tak długo się znamy, musisz to widzieć!

Patrzyły sobie długo w oczy. W końcu Elke przetarła twarz i pociągnęła głośno nosem.

– Sama nie wiem, co mam myśleć. Nie wygląda pani na Sibylle, ale sposób, w jaki pani mówi... Nawet głos jest podobny. I porusza się pani jak ona... I chyba wie pani o niej bardzo dużo... – Jej głos przeszedł w szloch. – Co z nią zrobiliście? I dlaczego? Co... czego chcecie ode mnie?

Sibylle czuła narastającą złość, ale musiała nad sobą zapanować. Zdawała sobie sprawę, że nic nie osiągnie, jeśli teraz zacznie krzyczeć. Elke zamknie się w sobie i nie wydusi z siebie ani słowa.

Oparła łokcie na stole, pochylając się nieco do przodu.

– Jestem dosyć zdesperowana, Elke, i zupełnie nie rozumiem, co się dzieje. Wygląda na to, że całe moje życie rozpływa się w powietrzu, i zastanawiam się, czy mój rozum funkcjonuje tak jak należy. Powiem ci, co tylko chcesz ode mnie usłyszeć, możemy porozmawiać na każdy temat, ale najpierw musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie: Gdzie

jest Lukas?

Ostatnie zdanie wypowiedziała powoli, akcentując każdy wyraz. Elke oparła się i pokręciła głową.

– Johannes powiedział mi przez telefon, że opowiada pani o jakimś chłopcu. On sądzi, że pani i... pani wspólnicy uprowadzili Sibylle. A potem za pomocą narkotyków spowodowaliście, że wszystko wam o sobie opowiedziała. Wszystko, co pani teraz wie. Johannes sądzi, że Sibylle opowiedziała wam historię o synu imieniem Lukas, żeby się pani zdradziła, że nią nie jest.

Sibylle próbowała zebrać myśli, ale czuła jedynie wielką pustkę – jakby ktoś jednym ruchem wyłączył całą złość, całą rozpacz i zwątpienie, wszystkie emocje.

– A ty co sądzisz, Elke? – zapytała cicho.

– Nie wierzę w to. To znaczy... w to z synem. Jeśli byłaby to prawda, to już wczoraj u niego w domu zauważyłaby pani, że coś nie układa się w tej historii. Dlaczego więc opowiadałaby pani to samo dzisiaj mnie? To nielogiczne. W ogóle dziwię się, że pani tu przyszła. Wiedziała pani, że Johannes do mnie zadzwoni. A co by się stało, gdyby czekała tutaj na panią policja?

Sibylle wzdrygnęła się.

– A czeka?

– Nie.

– Możesz przestać zwracać się do mnie per pani? Nie mogę tego znieść.

– A ja nie mogę znieść udawania, że jest pani moją przyjaciółką, do cholery! Sibylle... zniknęła dwa miesiące temu i nawet nie wiem, czy jeszcze żyje. Czy pani tego nie rozumie?

To beznadziejne. Każda minuta to strata czasu. Muszę stąd iść, zanim zwariuję i zacznę wrzeszczeć. Ale dokąd? Wszystko jedno. Byle tylko znaleźć Lukasa.

– Do widzenia. – Wstała, spojrzała ostatni raz na Elke, która nawet nie podniosła na nią wzroku, i wyszła z kuchni, kierując się do wyjścia.

Gdy otwierała drzwi, usłyszała za sobą głos Elke:

– Nie idź. – Zaskoczona, odwróciła się. Elke opierała się o ścianę z założonymi rękami i miną dziecka, które przyłapano na kłamstwie. – Nie wiem, kim jesteś, ale chcę to wiedzieć. Być może robię błąd, ale nie sądzę, że kłamiesz. Przynajmniej nie celowo.

Chce mnie przytrzymać, aż przyjdzie policja? Nie, Elke ma dobre serce, zdradziłaby się w ciągu minuty.

Sibylle zamknęła drzwi, odwróciła się i podeszła do niej. Kocie oczy Elke ciągle były pełne łez. Teraz jednak patrzyły błagalnie.

– Zostanę. – Sibylle nie mogła odwrócić od nich wzroku. – I powiem ci wszystko, co wiem. Albo co wydaje mi się, że wiem.

– Dalej chcesz cappuccino? – zapytała Elke.

– Poproszę – odparła Sibylle, która ponownie siedziała za stołem w kuchni.

Jeśli Elke miała cokolwiek do czynienia z tą sprawą, to najwidoczniej zmieniła zdanie. Nie mogła chyba znieść faktu, że krzywdzi swoją przyjaciółkę. Ale coś z tą sprawą miała do czynienia.

– A teraz... – Słowa Elke zagłuszył syk spienianego przez ekspres do kawy mleka. Sibylle potrząsnęła głową.

– Jak mam cię zrozumieć, kiedy mówisz i jednocześnie robisz pianę? – zapytała, kiedy hałas minął. – W kwestii roztargnienia nic się nie zmieniłaś.

Elke postawiła na stole parujące kubki. Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Nie robię tego specjalnie. Cały czas mi się to zdarza. Ostatniego lata w restauracji na Sylcie...

– ...próbowałaś złapać butelkę z wodą, którą trąciłaś, i ściągnęłaś przy okazji wszystko, co było na stole, razem z homarem i okropnie drogą butelką białego wina – dokończyła za nią Sibylle. – A potem odsunęłaś tak gwałtownie swoje krzesło, że razem z nim poleciałaś do tyłu, w ostatniej chwili łapiąc jeszcze obrus na stoliku obok i... – Roześmiały się jednocześnie, a ten śmiech, ten krótki moment normalności, sprawił im obu nieopisaną przyjemność. Przez chwilę wszystko było tak jak kiedyś. Siedziały w kuchni Elke, piły cappuccino i śmiały się. Tak jak przedtem. Jak przedtem? Śmiech zamarł na ustach Sibylle. – Ja tam byłam, Elke.

Siedziałam naprzeciwko ciebie, a homar spadł prosto na moje kolana.

Śmiech Elke także urwał się gwałtownie, a jej oczy znów zrobiły się wilgotne.

– Tak... – powiedziała cicho, a potem jeszcze raz: – Tak. A rok wcześniej, w Wigilię, podczas kolacji, pamiętasz tę gęś?

Sibylle przechyliła głowę.

– Od lat nie jadłyśmy razem kolacji wigilijnej. Dokładnie od kiedy wyszłam za Hannesa.

Elke, wyraźnie zakłopotana, spuściła wzrok.

– Być może... Proszę mi wybaczyć... Wybacz mi, ale to niemożliwe! Nie jesteś Sibylle. Nie jesteś nawet Sibylle po wypadku i operacji plastycznej. Ty... jesteś większa od niej i szczuplejsza.

Większa od Sibylle... Przypomniała sobie moment, gdy zobaczyła Elke, i o mało się nie rozplakała, ale wzięła się w garść. Musi jej udowodnić, że jest Sibylle Aurich. Jej przyjaciółką. Matką Lukasa.

– Tak samo jak ty nie rozumiem, jak to się stało. Może to jakaś wędrowka dusz? Może tkwię teraz w innym ciele? Nie mam pojęcia, ale wiem na pewno, kim jestem. Boże, ja... przecież wiem, kim jestem!

Patrzyły na siebie ze łzami w oczach. Sibylle miała wrażenie, że Elke walczy sama ze sobą.

– To takie... szalone – powiedziała w końcu, kładąc dłoń na dłoni Sibylle.

– Sama nie wiem, co się ze mną stało. Byłyśmy razem u Greka i w drodze do domu ktoś uderzył mnie w głowę. Wczoraj obudziłam się w dziwnym pomieszczeniu, przerobionym na salę szpitalną, ale okazało się, że to tylko atrapa. Piwnica. Jeszcze dziwniejszy okazał się lekarz, który chyba nie był żadnym lekarzem. Opowiadał mi coś o urazie głowy i o tym, że musi mnie trzymać w zamknięciu, aż stanę się normalna. Udało mi się uciec i pewna miła starsza kobieta zabrała mnie do domu. Ale tam Johannes zachowywał się, jakby mnie nie znał. Możesz sobie wyobrazić, jakie to uczucie? Ale najgorsze, najgorsze ze wszystkiego jest to... że wszyscy tak dziwnie reagujecie, kiedy pytam o Lukasa. Zachowujecie się tak, jakby on nigdy nie istniał. Dlaczego, Elke?

Gwałtownym szarpnięciem Elke zabrała rękę.

– Kłamiesz – rzuciła ostro. – Powiedz, nie wstyd ci? Sibylle od lat chciała mieć dziecko, ale się nie udawało. A teraz przychodzisz tutaj i... Ale jestem głupia. Żeby tak dać się omamić! Wędrowka dusz? Co za idiotyzm!

Sibylle najchętniej krzyczałaby z rozpacz.

– Elke! Ty chyba nie mówisz poważnie. Wiesz przecież, że nie wierzę w takie bzdury. To

tylko... Cholera, sama nie wiem! Zaraz chyba zwariuję! – Ostatnie dwa zdania wykrzyczała tak głośno, że Elke aż podskoczyła. Stała teraz i wycierała dłonie o swoje dżinsy. Zawsze tak robiła, kiedy była zdenerwowana.

– Chcę, żeby pani już poszła – powiedziała, chwytając za słuchawkę stojącego na stoliku telefonu.

– Nie, Elke, proszę – wyszeptała Sibylle. – Musisz mi wierzyć. Potrzebuję twojej pomocy. Ja...

– Jeśli pani zaraz nie opuści mojego domu, zadzwonię na policję.

To koniec. Sibylle wiedziała, że nie ma już żadnej szansy. Powoli odsunęła krzesło i wstała. Elke oparła się o kuchenny blat, podnosząc demonstracyjnie słuchawkę. Sibylle poczuła nagle przemożną chęć rzucenia się na przyjaciółkę, zaciśnięcia palców na jej szyi, coraz mocniej i mocniej, tak długo, aż ta w końcu wyzna, gdzie jest jej syn.

Myśli napływały gwałtownie, jedna za drugą, układając się w najdziwniejsze sceny. Idąc po schodach z opuszczoną głową, patrzyła na swoje stopy, poruszające się mechanicznie, stopień za stopniem, jak gdyby żyły własnym życiem.

– Hej. – Przestraszyła się śmiertelnie, kiedy usłyszała za sobą męski głos. Stała już w mrocznej sieni, a serce waliło jej jak młotem. Głos wydał się jednak znajomy. – Proszę się nie bać. To ja, Christian Rössler.

Sibylle odwróciła się gwałtownie. Mężczyzna stał kilka kroków za nią, był jednak na tyle blisko, że mimo przytłumionego światła mogła go rozpoznać. Miał na sobie džinsy i czarny T-shirt, a na nim koszulę z krótkim rękawem w czarno-szare paski – rozpiętą i opadającą luźno na spodnie.

– Co... Co pan tu robi? Skąd pan wiedział, że tu będę? – Sibylle usłyszała we własnym głosie strach, co dodatkowo ją zdenerwowało.

– Pojechałem za panią, ponieważ obawiałem się tego, co akurat się wydarzyło. Na zewnątrz czeka na panią policja.

– Co? Policja? Ale przecież Elke powiedziała, że...

– Nie wiem, u kogo pani była, i nie wiem, kto ich powiadomił. Wiem tylko, że są tam, na zewnątrz, i jeśli wyjdzie pani teraz z budynku, aresztują panią.

– Ale... – Sibylle nie mogła poskładać myśli. Rössler wskazał ręką za siebie.

– Tamtędy wychodzi się na podwórze. Możemy przedostać się przez mały murek na sąsiednie podwórko. Wygląda na to, że można stamtąd bez problemu dostać się na równoległą ulicę. Zaparkowałem w pobliżu, chodźmy.

Sibylle pokręciła głową.

– Nie, ja... Mój Boże, nie potrafię już racjonalnie myśleć. Tam czeka na mnie Rosie.

Nie mogę tak po prostu uciec, bez powiadomienia jej.

Rössler zrobił dwa kroki i zanim cokolwiek zdążyła uczynić, chwycił ją za ramiona, stanowczo, lecz bez zadawania bólu.

– Musi pani stąd odejść, i to zaraz. Proszę odpowiedzieć mi na jedno pytanie: Czy wspominała pani o mnie Rosie?

Sibylle próbowała wyrwać się z ucisku, ale nie miała dość siły, w końcu dała więc za wygraną.

– Dlaczego? Czemu to pana interesuje? Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Naprawdę chcę pani pomóc, ale w tym celu muszę wiedzieć, czy pani jej o mnie mówiła.

– Tak, powiedziałam! I co z tego? Niech pan się postawi w mojej sytuacji. Rosie dużo mi już pomogła. Pan tylko o tym mówi.

Rössler zwolnił uścisk, opuszczając ramiona.

– Tak myślałem. To oczywiście wszystko wyjaśnia. – Jego głos zdradzał rezygnację.

Nie skomentował jej zarzutu.

– Niby co? – chciała wiedzieć Sibylle, a kiedy nie odpowiedział od razu, powtórzyła: – Co to ma wyjaśnić?

– Dzisiaj przed południem dwóch zamaskowanych typów wdarło się do mojego mieszkania. Przewrócili mnie na podłogę i związali. Powiedzieli, że jeśli nie przestanę mieszać się w nie swoje sprawy, zrobią coś mojej siostrze, a jeśli jeszcze raz pojawię się w pobliżu domu pani Wengler, to gorzko tego pożałuję. – Mówił teraz cichym głosem, niemal szeptem. – Wie pani, co to znaczy? Ci ludzie przez cały czas interesowali się mną. Nawet wtedy, kiedy próbowałem przyjść z pomocą siostrze, deptali mi po piętach. Ale jak tylko opowiedziała pani o mnie, napadli na mnie i poważnie mi zagrozili.

– A więc ciągle uważa pan, że Rosie ma z tym wszystkim coś wspólnego? Rössler potrząsnął głową.

– Wczoraj tak przypuszczałem. Od dzisiejszego poranka jestem tego pewien.

Sibylle przyglądała się twarzy mężczyzny. Próbowwała odnaleźć w niej wskazówkę, jakieś potwierdzenie, że może mu zaufać, ale nic takiego nie widziała.

I co teraz? Co mam teraz zrobić? Jak wydarte z ciemności, jedna po drugiej pojawiały się sceny: mieszczkański salon, nagie ściany bez fotografii, zmarły małżonek, który egzystował chyba tylko w opowieściach, zdenerwowanie przy zwykłym pytaniu o dzieci... Kim jesteś, Rosie Wengler?

Sibylle czuła, jak znów narasta w niej zwątpienie. Z całej siły próbowała się temu przeciwstawić, ale nie dało się zaprzeczyć, że Rosie co najmniej w paru punktach zachowywała się zagadkowo. Ale nawet gdyby – po co miałyby dzwonić na policję akurat tutaj, przed domem Elke? Nie byłoby wygodniej zaprosić ich do domu, kiedy obie w nim były?

A jeśli to Rössler kłamie? Jeśli przed domem nie czekają na mnie żadni policjanci?

Jednym ruchem odwróciła się i doskoczyła do ciężkich drzwi. Oczekiwała, że Rössler będzie próbował ją powstrzymać, ale kiedy ukradkiem obejrzała się za siebie, stwierdziła, że stoi bez ruchu w tym samym miejscu.

Mówił prawdę. Przy samochodzie Rosie stał nadkomisarz Grohe. Pochylił się do okna po stronie pasażera i chyba rozmawiał z Rosie. Sibylle mimochodem przypomniała sobie o kartce z jej notesu: „POLICJANCI – PRAWDZIWI?”.

Zachowując ostrożność, odchyliła bardziej drzwi, próbując dostrzec, czy młodszy komisarz, ten, którego nazwiska znowu zapomniała, też jest obecny. Kilka metrów obok auta Rosie stało trzech umundurowanych funkcjonariuszy. Rozmawiali ze sobą z poważnymi minami. Jeden z nich kilka razy pokazywał na dom. Nagle z lewej strony nadjechał wóz patrolowy i zahamował ostro tuż przed samochodem Rosie. Grohe wyprostował się, spoglądając najpierw w kierunku samochodu, a potem na drzwi, za którymi stała Sibylle. Cofnęła się, ale drzwi trzymała nadal uchylone. Jeżeli Grohe nie odkrył jej do tej pory, to

lepiej nie zdradzać się nieprzemyślanym ruchem.

Odwróciła się do Rösslera.

– Miał pan rację. Tam aż roi się od policjantów. Przy samochodzie Rosie stoi jeden z tych komisarzy, którym wczoraj uciekłam. Możliwe, że mnie zauważył.

Przywołał ją gestem dłoni.

– Chodź, musimy się stąd wynosić.

Sibylle chciała ponownie wyjrzeć na zewnątrz i sprawdzić, co robi Grohe i czy rzeczywiście ją zauważył, ale nie zrobiła tego. Przez chwilę jeszcze wahała się, myśląc o Rosie. Wiedziała jednak, że nie ma innego wyjścia. Ten nadkomisarz z satysfakcją aresztowałby ją, kiedy tylko opuściłaby budynek główną bramą.

– Dobrze – powiedziała, podchodząc do Rösslera. – Więc co teraz? Pchnął ją lekko w kierunku drzwi wychodzących na podwórze.

– Chodźmy stąd jak najszybciej. I tak się dziwię, że policja jeszcze tu nie weszła. Podwórze okazało się kwadratowym betonowym placem o boku długości dziesięciu, może dwunastu metrów. Z lewej strony ograniczał je rząd wysokich na dwa metry laurowiśni, a z prawej, na kruszącej się kamiennej podbudówce – sięgające piersi ogrodzenie z siatki.

Sibylle spojrzała na „mały murek”, o którym mówił Rössler: był kilka centymetrów wyższy niż drucziana siatka. Znów poczuła na plecach delikatny nacisk jego dłoni.

Przemierzyli plac szybkim krokiem, ostatnie kilka metrów Sibylle pokonała biegiem. Położyła ręce na gzymisie i odepchnęła się nogami od podłoża. Cały ciężar jej ciała zawisł na wyciągniętych ramionach, ale już po chwili siedziała na szczycie. Jeszcze kiedy jej nogi były w powietrzu, zdziwiła się, z jaką łatwością udało jej się tego dokonać. Nie spodziewała się po sobie takiej sprawności.

Parę sekund później jej stopy dotknęły sąsiedniego podwórza. Rössler wylądował jednym susem obok niej i od razu ruszył dalej.

Mieli szczęście. Teren, na którym się znaleźli, nie stanowił prywatnej posiadłości. Musiał być czymś w rodzaju ogródka piwnego – część w kształcie okręgu wyłożona była brukiem, a wokół niej stało bądź leżało kilka stołów. Po lewej stronie, wzdłuż wysokiego zaniedbanego muru piętrowo ustawiono puste skrzynki po napojach, wielkie, powyginane parasole gastronomiczne z wyblakłymi reklamami oraz połamane plastikowe krzesła.

Po prawej stronie wzdłuż budynku biegła wąska ścieżka.

Gdy stanęli przed knajpą o nazwie Róg Miasta, Sibylle rozejrzała się. Po obu stronach ulicy w długim rzędzie – dwoma kołami na chodniku – były zaparkowane samochody. Po drugiej stronie, jakieś sto metrów dalej, na lewo stał mężczyzna. Ze wzrokiem wbitym w chodnik sprawiał wrażenie, że na kogoś czeka.

W tym samym momencie, w którym uświadomiła sobie, że skądś go zna, wiedziała, kim jest. Od razu przypomniała sobie też, jak się nazywa. Wittschorek. Komisarz, który pozwolił jej uciec ze szpitalnej piwnicy. Jej i tak już galopujący puls przyspieszył jeszcze bardziej.

– Musimy uciekać! – wyrzuciła z siebie, pokazując na prawo. – Tędy! Tam stoi jeden z policjantów, którzy mnie wczoraj zatrzymali.

– Zatrzymała panią policja? – zapytał zdziwiony Rössler. – Kiedy...

– Nie teraz! – przerwała i wykonała gwałtowny skręt, po czym przemaszerowała obok Rösslera szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.

– Co prawda zaparkowałem w przeciwnym kierunku, ale mogę później wrócić po samochód – usłyszała po chwili głos swojego towarzysza. – Po tym, jak te typy mnie napadły,

wynająłem pokój w małym hotelu w śródmieściu. Na początek to dobre schronienie. – Sibylle pomyślała o Rosie. Czy wciąż czeka na nią przed domem? Czy może w międzyczasie zorientowała się, że coś jest nie tak, i odjechała? Albo wiedziała od samego początku, co się wydarzy, i sama zadzwoniła na policję? – Mogę sobie wyobrazić, co pani teraz myśli. – Rössler przerwał jej zadumę.

– Nie sądzę – odparła Sibylle. – Sama nie wiem, co o tym myśleć. Może pan sprawdzić, czy ten komisarz ciągle tam stoi?

Szedł jeszcze parę kroków, oglądając się za siebie, po czym zatrzymał się.

– Nie ma go – oznajmił. Sibylle również się odwróciła. Wittschorka rzeczywiście nigdzie nie było widać. Szybko omiotła wzrokiem obie strony ulicy, ale nie spostrzegła nic niepokojącego. – Wygląda na to, że mamy szczęście – stwierdził Rössler.

– Tak, mamy – odparła, choć miała wątpliwości, czy to dobre określenie jej obecnej sytuacji. Nie chciała wtajemniczać Rösslera w swoje przypuszczenia. Jeszcze nie teraz.

Po zaledwie kilku metrach skręcili w wąską uliczkę, którą dotarli na małe skrzyżowanie przy rynku. Jego przedłużenie stanowił most Kamienny nad Dunajem, prowadzący na ratyzbońską starówkę.

Sibylle zatrzymała się i po raz kolejny obejrzała za siebie: jak okiem sięgnąć – nigdzie żadnego policjanta. Omiotła wzrokiem barwne fasady ulicznego targowiska, które znała z częstych odwiedzin, a jednak... Znowu to dziwne uczucie. Jakby patrzyła na świat przez hełm hermetycznego skafandra. Mężczyźni i kobiety, niektórzy przechodzący przez plac, inni rozgosczeni swobodnie, gawędzący przed pubami bądź pizzeriami – należeli do tego świata. Byli tym światem. W przeciwieństwie do nich Sibylle była tu jedynie obserwatorem. Obcą, wyalienowaną istotą.

– Musimy iść. – Rössler znowu wyrwał ją z zamyślenia. – Przypomniało mi się, że nie wiem nawet, jak się pani nazywa.

Popatrzyła na niego, na jego pokryte dwudniowym zarostem policzki, i zdecydowała, że przynajmniej odrobinę mu zaufa.

Co innego mi pozostało?

– Sybille Aurich – rzuciła krótko.

Skinął głową i chyba zdziwiło go, że wyjawiała mu swoje nazwisko.

Wybrukowanym rynkiem doszli na most Kamienny, mijając grupę turystów – roześmianych, z przewieszonymi aparatami fotograficznymi, zupełnie niezwracających na nich uwagi.

W całkowitym milczeniu dotarli do znajdującego się w połowie mostu Bruckmandla – figurki człowieka siedzącego na spadzistym daszku. Prawą ręką osłaniał od góry oczy, spoglądając w kierunku ratyzbońskiej starówki.

Rössler odezwał się pierwszy:

– Opowie mi pani, co się pani wczoraj przytrafiło?

– Tak – odparła Sibylle. – Ale najpierw chciałabym zapytać o kilka rzeczy. W końcu to pan mnie śledził i to pan twierdzi, że jest w stanie pomóc mi odnaleźć syna. I być może naprawdę w tym momencie jest pan jedynym człowiekiem, który może to zrobić.

– Tak się nie wyraziłem.

– Co? – Sibylle zatrzymała się gwałtownie. Poczwała w sobie przyływ wściekłości. – Czy nie czekał pan wczoraj na mnie przed domem Rosie? Czy nie powiedział pan, że chce mi pomóc? I parę minut temu po raz kolejny? A teraz twierdzi pan, że tak się nie wyraził? Wie

pan co, panie Rössler? Mam tego wszystkiego serdecznie dość!

Starsza para stojąca parę metrów przed nimi spojrzała dyskretnie w ich stronę. Sibylle zauważyła to, ale w tym momencie było jej wszystko jedno. Rössler także spostrzegł, że zachowanie jego towarzyszkę wzbudza zainteresowanie.

– Proszę, nie... Pani Aurich... Sibylle... – próbował delikatnie ją uciszyć. – Niech się pani uspokoi. Nie to miałem na myśli. Oczywiście, że chcę pani pomóc.

– Czyżby? A niby co miał pan na myśli?

Głos Rösslera był tak cichy, że tylko ona mogła go usłyszeć:

– Nie powiedziałem ani słowem, że mogę pani pomóc odnaleźć syna. Tylko...

– No pięknie! – przerwała mu, nawet nie próbując mówić cicho. – To co ja tu jeszcze robię? Wiem! Pójdę z powrotem do tego komisarza. Jego kolega co prawda wpakuje mnie do aresztu, ale jaka to różnica? Chociaż jest różnica. Ten komisarz... komisarz „Jakiśtam” jest jedynym człowiekiem oprócz Rosie, który do tej pory rzeczywiście mi pomógł. Muszę się wreszcie dowiedzieć, co się stało z moim synem. I spróbuję dowiedzieć się tego właśnie przez policję, nawet jeśli mają mnie zamknąć. – Popatrzyła Rösslerowi głęboko w oczy. – O ile historia z pana siostrą nie jest wyssana z palca, to pan również tego doświadczył. Musi pan najlepiej zdawać sobie sprawę z tego, jak potwornie boję się o moje dziecko.

– Proszę... niech mnie pani posłucha. To ważne. – Sibylle machnęła ręką i ruszyła w kierunku, z którego przyszli. Po chwili Rössler ją dogonił. – Przysięgam, że mogę opowiedzieć pani parę rzeczy. Proszę, niech pani ze mną pójdzie.

A więc dobrze – Sibylle zatrzymała się. – Co pan wie? Nie ruszę się ani kroku dalej, zanim nie powie mi pan, co wie o Lukasiu.

Wyraz jego twarzy zmienił się raptownie. Cała bezradność znikła, wszystkie błagania i prośby odeszły w zapomnienie. Podszedł do niej bliżej.

– Powiem pani wszystko, co wiem, jak tylko znajdziemy się w hotelu. Jeżeli woli pani dać się aresztować, proszę bardzo, droga wolna. Może pani być pewna, że już nigdy więcej mnie nie zobaczy. Nie mam ochoty mieć z pani powodu policji na karku. Wówczas być może nigdy już nie zobaczę mojej siostry. A więc albo pójdzie pani teraz ze mną, albo da pani temu spokój.

To powiedziawszy, zaczął iść w kierunku Starego Miasta. Sibylle miała ochotę krzyknąć. Z wściekłości? Z rozpaczy? Gdyby była mężczyzną, wyciągnęłaby z niego siłą informacje o Lukasiu. Ale była kobietą. Kobieta, która w tej chwili nie miała nikogo naprawdę zaufanego po swojej stronie.

Szybkim krokiem ruszyła za Rösslerem. Dogoniła go po kilku metrach i bez słowa szła obok niego, usiłując powstrzymać płacz. Na końcu mostu minęli Skład Soli, przeszli ulicę i wtopili się w tłum turystów i tubylców na ratybońskiej starówce. Sibylle spojrzała na monumentalne malowidło ściennie na jednym z budynków – przedstawiało Dawida z procą w ręku przymierzającego się do walki z Goliatem. Jakaś kobieta pozowała przy nim, uśmiechając się promiennie, podczas gdy jej towarzysz robił zdjęcie. Później objął ją i szepnął coś do ucha, po czym oboje wybuchnęli gromkim śmiechem. Ich beztroski humor, ich rozbawienie przyprawiły Sibylle o niemal fizyczny ból. Kiedy ostatnio zachowywała się tak swobodnie?

– Daleko jeszcze? – zapytała.

– Niedaleko. – Rössler wskazał ręką na prawo. Jego głos znów przybrał niezobowiązujący ton. – Musimy dojść do Haidplatzu. Stamtąd to już tylko pięć minut.

Do Haidplatzu. Oczywiście znała to miejsce. Musiało znajdować się gdzieś w pobliżu, ale nie mogła sobie przypomnieć, która droga do niego prowadziła.

Jak to możliwe? Ratzbona to moje miejsce, moje rodzinne miasto. Przypomniały jej się słowa fałszywego doktora Muhlhausa: Uderzenie w głowę i długi okres komy... Całkiem możliwe, że nieraz jeszcze będzie pani zbita z tropu.

Policjant w cywilnym ubraniu stał pochylony przy drzwiach samochodu i rozmawiał z siedzącą za kierownicą kobietą.

Hans zastanawiał się, co było tematem rozmowy.

Po chwili skończyli. Rozległ się warkot włączanego silnika i kobieta odjechała.

Zauważył, że skręciła w tę samą przecznicę, w którą wjechał ten drugi policjant.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Ludzie w mundurach ustawili się po obu stronach wejścia. Czekali. Tak samo jak Hans.

Po jakimś czasie cywil wydobyl telefon z małej kieszeni u pasa i przez parę sekund trzymał go przy uchu. Kiedy ponownie go schował, gestem przywołał kolegów i rozmawiał z nimi przez chwilę. Tylko jeden z nich wrócił na swoje miejsce przy wejściu, a pozostali rozdzielili się, wsiedli do dwóch samochodów i odjechali.

Wtedy Hans wziął telefon. Nadszedł czas na rozmowę z Doktorem.

– Słucham? – rozległo się po chwili w słuchawce.

Hans zdał relację z przebiegu obserwacji. Doktor kazał mu czekać, aż nadejdą nowe rozkazy.

– Mam przeczucie, że niedługo dowiemy się, kiedy znów zaczniesz być aktywny – powiedział. – Jeśli wszystko przebiegnie tak jak powinno, to stanie się to już niebawem. W przeciwnym wypadku być może będziesz musiał sprowadzić do mnie naszą Jane Doe. Wiesz, że tutaj również czeka na ciebie jeszcze jedno zadanie.

– Tak, panie Doktorze, wiem o tym – odparł Hans i wyłączył się.

To „jeszcze jedno zadanie”, które na niego czekało, wcale nie przypadło mu do gustu. Nic a nic. Ale czy kogoś kiedyś interesowało, co mu się podoba, a co nie? Artykuł szósty Kodeksu Honorowego brzmiał: „Zadanie jest dla ciebie święte. Wypełnisz je... a jeśli tego będzie wymagać sytuacja, poświęcisz życie w jego imię”.

Do Haidplatzu doszli po kilku minutach szybkiego marszu. Białe parasole po obu stronach oferowały cień gościom licznych pubów i restauracji.

Sibylle zatrzymała się i rozejrzała po trójkątnym placu. Za nimi wznosił się czerwony budynek Neue Waag. Jak dwie olbrzymie igły przekłuwające jego kalenicę strzelały w niebo ostrza wież znajdującej się za nim katedry.

Rössler także rozglądał się nerwowo, sprawdzając, czy nikt ich nie śledzi. Sibylle ruszyła z miejsca, chciała jak najszybciej znaleźć się w hotelu. Przechodząc wzdłuż podobnego do twierdzy Złotego Krzyża, pozostawili za sobą Studnię Sprawiedliwości, aby za chwilę opuścić plac ulicą Ludwika. Sibylle dziwiła się, że rozpoznaje wszystkie budynki tego miejsca, ale nie знаła drogi, która do nich prowadzi.

Po kolejnych dwustu metrach Rössler skręcił w uliczkę po lewej.

– Tędy. Już prawie jesteśmy.

Sibylle przyspieszyła kroku. Im szybciej znajdą się w tym hotelu, tym szybciej dowie się czegoś o Lukasiu. W tej chwili nie liczyło się nic innego.

Pochwyć mą dłoń, zaufaj mi, nie wypuszczę ciebie z ramion moich.

Nie bój się i na mnie patrz. Będę cię chronił od mocy zła.

Znów, zupełnie niespodziewanie, jeden z tych tekstów... Dlaczego akurat...? Nie rozumiem. W tej chwili musiała się jednak skupić na ważniejszych sprawach niż piosenki Petera Maffaya, za którym i tak za bardzo nie przepadała.

Kilka minut później dotarli do celu. Okazał się nim niepozorny budynek, który nawet nie przypominał hotelu. Przy wąskim wejściu umieszczona była jedynie mała plastikowa tabliczka, na której widniały trzy gwiazdki i napis: „Hotel Krombusch”.

Recepcję stanowił mały pulpit wciśnięty w lewy róg wyłożonego terakotowymi płytami niedużego holu. Za pulpitem siedziała szczupła kobieta, najwidoczniej bardzo czymś zajęta. Dopiero kiedy Rössler grzecznie się przywitał, podniosła głowę, odwzajemniając pozdrowienie i siląc się na niezobowiązujący uśmiech. Sibylle pomyślała, że mogła mieć zarówno sześćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat. Na długim złotym łańcuszku na jej szyi wisały staroświeckie okulary, również w złotej oprawce. Tabliczka po prawej stronie recepcji identyfikowała kobietę jako panią Krombusch – najprawdopodobniej była więc właścicielką hotelu.

Rössler wskazał na mały korytarz biegnący za holem, na którego końcu błyszczały srebrne drzwi windy. Kobieta zmierzyła krótko Sibylle wzrokiem, po czym wróciła do przerwane go zajęcia.

Przestronny pokój Rösslera znajdował się na drugim piętrze, na końcu korytarza.

Umeblowany był skromnie, bez zbędnych bibelotów, z dwoma łózkami oddzielonymi od siebie stolikami nocnymi. Sibylle usiadła na jednym z łóżek – na drugim leżała czarna sportowa torba.

Rössler stał i patrzył na nią, tak jakby oczekiwał, że coś powie.

– Dowiem się w końcu, co pan wie o Lukasiu? – zapytała, zdenerwowana. Skinął głową.

– Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję – odparła Sibylle, chociaż zimny napój na pewno dobrze by jej zrobił.

Rössler przysunął sobie jedno z dwóch krzeseł stojących pod wąską płytą, mającą zapewne służyć za biurko. Usiadł na nim okrakiem, tył na przód, zakładając ręce na oparcie. Parę sekund kręcił dłońmi w jedną i drugą stronę, przyglądając się swoim paznokciom, po czym odetchnął głęboko i wlepił w nią wzrok.

– Proszę pozwolić, że zanim opowiem o pani synu, cofnę się nieco w przeszłość.

Kiedy...

– Nie – przerwała mu Sibylle. – Wszystko inne może mi pan opowiedzieć później.

Najpierw chcę się dowiedzieć, co pan wie o moim synu.

– Proszę... – spróbował jeszcze raz. – Niech mi pani uwierzy, to naprawdę ważne, żeby znała pani tło wydarzeń.

Jednym ruchem Sibylle poderwała się z łóżka. Stała teraz sztywno, spoglądając na Rösslera bojowym wzrokiem.

– Zbyt długo już trzymał mnie pan w niepewności. Co pan wie o moim dziecku? Nic mu się nie stało?

Wyglądało na to, że mężczyzna walczy ze sobą, ale po chwili się poddał.

– Niech będzie. Ale musi mi pani coś obiecać. Nie odejdzie pani. To ważne, żeby pani wysłuchała tego, co mam do powiedzenia, i żeby pani powiedziała mi wszystko, co wie na temat swojej sytuacji.

– Dobrze, nie odejdę. – Sibylle poczuła, że uginają się pod nią kolana, ponownie usiadła więc na łóżku. – No niechże pan w końcu mówi.

Rössler jeszcze raz rzucił krótkie spojrzenie na swoje paznokcie, a potem powiedział:

– Zabrzmi to bezczelnie i zupełnie absurdalnie, zdaję sobie z tego sprawę, ale mogę pani od razu powiedzieć, dlaczego tak jest. Mimo wszystko to, co pani teraz ode mnie usłyszy, jest prawdą, Sibylle... A więc Lukas jest... Wiem z całą pewnością, że pani, tak samo jak moja siostra, nie ma dzieci. Nigdy nie miała pani żadnego dziecka.

Słowa Rösslera uderzyły w nią jak grom. W sumie spodziewała się tego ciosu – uświadomiła sobie to dopiero teraz.

Cały czas czekała, aż jej to powie. Nic innego nie mógł wiedzieć o Lukasiu – oprócz tego, co właśnie powiedział.

Isabelle, jego siostra, również szukała dziecka, swojego dziecka, którego w istocie nie było. A ponieważ wychodził z założenia, że Sibylle wyrządzono taką samą krzywdę jak jej, było oczywiste, co będzie o tym wszystkim sądził. Co musi sądzić. Tak naprawdę wiedziała to od momentu, kiedy powiedział jej o Isabelle. Ale celowo odrzucała tę świadomość.

Jej wzrok minął go i zatrzymał się na przeciwległej ścianie. Beżowa, jednolita tapeta, prosta do bólu, teraz zdawała się pogłębiać jej smutek.

– Mam pani powiedzieć, dlaczego wydaje się pani, że ma syna? – zapytał Rössler. Popatrzyła na niego, szukając czegoś w jego oczach, nie wiedziała jednak czego.

– To dziwne – powiedziała pozbawionym emocji głosem. – Właśnie powiedział mi pan, że według pana moje dziecko nie istnieje. To samo mówili mi inni w ciągu ostatnich dwóch dni, nawet mój mąż i serdeczna przyjaciółka. I wie pan co? Równie dobrze mogłabym przekonywać pana, że pan nie żyje, ale jakimś sposobem do tej pory pan tego nie zauważył. Może pan to sobie wyobrazić? – Nie czekała na odpowiedź, tylko krzyknęła: – Nie, nie może pan, do cholery! Niech pan posłucha, chciałam panu wytłumaczyć, że nie można wymyślić sobie całego życia dziecka, nie można sobie go wmówić, jakby było... jakąś chorobą. To niemożliwe, żeby pamiętać o każdej minucie trwającego siedem lat wspólnie spędzonego życia, jak gdyby tych siedmiu lat w ogóle nie było! Rozumie to pan, panie Rössler? – Zamilkła na chwilę, próbując skupić myśli. Jednak ciężko jej było skoncentrować się na tym, co za chwilę chciała powiedzieć. – Właściwie powinnam się teraz rozplakać, prawda? – Znów zrobiła małą pauzę, podczas której nie tyle oczekiwała jego odpowiedzi, ile zastanawiała się, co faktycznie chce powiedzieć. Rössler nie spuszczał z niej wzroku. – W każdym razie nikt do tej pory nie usiłował wyjaśnić mi, dlaczego rzekomo wmawiam sobie, że mam dziecko. Rozumiem, że pan to wie. A więc proszę, niech mi pan wyjaśni. Jestem bardzo ciekawa.

Rössler ani drgnął, a ciężar jego wzroku powoli stawał się dla Sibylle nie do zniesienia. Poczula się bezbronna, ale w tej samej chwili zadała sobie pytanie, czy jest coś, czym jeszcze bardziej można ją zranić. Już chciała wstać, żeby wymknąć się spod jego wzroku, kiedy

odezwał się:

– Wpadła pani w łapy grupy ludzi, którzy... przeprowadzali na pani pewne eksperymenty. Niebezpieczne eksperymenty, podczas których manipulowano pani mózgiem. To samo spotkało moją siostrę. – Sibylle poczuła nagły przypływ gorąca. Eksperymenty? Znów ujrzała piwnicę, w której leżała. Ekrany, kable... Fałszywy doktor Muhlhaus... Krwiak... Jednym ruchem podniosła rękę i spojrzała na dobrze jeszcze widoczne, lekko błękitne miejsce na grzbiecie swojej dłoni. Kiedy podniosła wzrok, Rössler kiwnął głową. – To od igły infuzyjnej – powiedział. – Wstrzykiwano pani chemikalia, które miały wspomagać eksperymenty.

– Eksperymenty? Na mózgu? – Sibylle czuła, że drżą jej dłonie, więc zacisnęła je w pięści. – Co pan ma na myśli? Skąd pan w ogóle o tym wie? Co dokładnie ze mną zrobili i... jak to możliwe, że...

– Chwileczkę. – Rössler podniósł dłoń. – Proszę, po kolei.

Nie mogła dłużej spokojnie siedzieć. Podniosła się gwałtownie i zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem. Po chwili jednak znów usiadła.

– Skąd pan o tym wszystkim wie?

– Isabelle udało się uciec, bo ktoś jej w tym pomógł. Pielęgniarka, która początkowo była z tamtymi w znowie, bo obiecali jej niezłe pieniądze. Ale kiedy zobaczyła, co ci ludzie robią z Isabelle, pomogła jej w ucieczce. Dzień później pojawiła się u mnie w domu i opowiedziała o wszystkim, co sama wiedziała.

Sibylle czuła, jak jej puls znów przyspiesza.

– Gdzie jest ta kobieta? Muszę się z nią spotkać.

– Tego nie wiem. – Rössler powoli kręcił głową. – Później już jej nie widziałem. – Tego można było się spodziewać. Sibylle stopniowo nabierała pewności, że nikt nie jest w stanie jej pomóc. Manipulowanie mózgiem... – Według tego, co powiedziała mi ta pielęgniarka, oni stosują jakąś nową substancję chemiczną. Zaaplikowano ją Isabelle dożylnie, wywołując u niej stan, w którym mózg przyswaja bez filtrowania każdą informację, jaką mu się podsunie. Jej wpojono kompletne życie jakiegoś dziecka. To chyba nazywa się audiowizualne... cośtam. Przywiązali Isabelle do noszy... – Urwał, drżąc na całym ciele. Przez chwilę Sibylle zapomniiała o swojej sytuacji. Nachyliła się i położyła dłoń na jego ramieniu. – Już dobrze, dziękuję. – Odetchnął głęboko i nie patrząc na nią, mówił dalej: – A więc przywiązali ją i poddali procedurze przyswajania tych samych scen, bez przerwy dzień i noc. Tysiące scen przedstawiających życie dziecka, dzień po dniu, od momentu narodzin do wieku pięciu lat, miały być wtłaczane w jej mózg. Równocześnie wgrali odpowiednio dopasowany dziecięcy głos. Podobno Isabelle wcale nie spała, ponieważ jej mózg w tym stanie nie potrzebował snu.

Sibylle znów przypominała sobie szpitalną piwnicę.

– Tego nie mogli ze mną zrobić. Ja mogłam od razu chodzić, kiedy wstałam, a po dwóch miesiącach leżenia nie byłoby to takie łatwe.

Rössler skinął głową.

– Isabelle wolno było wstać co kilka godzin, żeby mogła skorzystać z toalety i trochę się przejść. Przy tym ta substancja cały czas wprowadzana była do żyły, a ona nie mogła się bronić i robiła to, co jej kazano. Tamta kobieta powiedziała, że ten stan nieco przypomina lunatykowanie.

– Ale dlaczego pielęgniarka do końca przyglądała się temu wszystkiemu, kiedy...

Dlaczego nie pomogła jej od razu?

– Podobno pomogła. Była odpowiedzialna za pilnowanie mojej siostry nocami. Po trzech tygodniach wyciągnęła igłę z żyły Isabelle i wyłączyła aparaturę. Po kilku godzinach, gdy Isabelle potrafiła stanąć na nogi, pomogła jej uciec z piwnicy. Tej samej, którą pani też zdołała już poznać. Swojemu szefowi opowiedziała jakąś wymyśloną historyjkę o tym, w jaki sposób Isabelle zdołała się uwolnić. Była strasznie roztrzęsiona, kiedy odwiedziła mnie w domu. Powiedziała, że przyjdzie też następnego dnia, ale nie pojawiła się już więcej. Obawiam się, że miała nieprzyjemności.

– A pana siostra? W tym czasie myślała, że ma syna?

– Tak. I nie można było jej odwieść od tej myśli, tak samo jak pani. Nawet gdy tamta kobieta opowiedziała nam wszystko, nie była gotowa i nie chciała nawet się nad tym zastanowić. Mówiła dokładnie to samo, co pani: Niemożliwe, żeby można było pamiętać wszystkie szczegóły życia dziecka, którego w rzeczywistości nie było. – Nagle Rössler chwycił dłonie Sibylle. – Ale ja przecież wiem doskonale, że nie mam i nie miałem żadnego siostrzeńca! Rozumie pani? Zaakceptowanie tego musi być niezmiernie trudne, ale tym samym wiem również, że nie ma pani syna.

– A jak można wytłumaczyć to, że nie zna mnie własny mąż? Że nie poznaje mnie moja najlepsza przyjaciółka? – Widziała, że Rössler nie zna odpowiedzi na te pytania. Poczła coś w rodzaju dziwnego tryumfu i postanowiła dolać oliwy do ognia. – Wpójć w czyjąś świadomość dziecko, którego nie ma, to brzmi absurdalnie. Ale moje życie z Johannesem, z Elke, z teściową i pozostałymi ludźmi... Jak niby to miałyby funkcjonować?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – przyznał mężczyzna z wyraźnym zakłopotaniem. – Z Isabelle sprawy nie zaszły tak daleko, bo tamta pielęgniarka przyszła jej z pomocą. Ale jeżeli teraz znalazła się w zasięgu ich władzy...

– Muszę najpierw przemyśleć to, co mi pan opowiedział – przerwała mu. A po chwili, jakby właśnie wpadła na jakiś pomysł, dodała: – A teraz chciałabym zatelefonować do Rosie.

Rössler zmarszczył czoło.

– Powie jej pani o tym, co ode mnie usłyszała?

– A czy są jakieś przeciwwskazania?

Podniósł się, podszedł do okna i oparł dłonie o parapet.

– Tak, jest parę przeciwwskazań. – Sibylle trudno było go zrozumieć, gdy stał odwrócony do niej plecami. – Jeżeli powie jej pani o naszej rozmowie, a ona jest jedną z nich, o czym jestem przekonany, to będą wiedzieli, ile ja wiem, i będą mogli odpowiednio się przygotować. Pani z kolei ostatecznie pozbędzie się szans na to, by dowiedzieć się, co z panią robiono, a przede wszystkim, kto za tym stoi. – Sibylle również wstała i stanęła obok Rösslera przy wychodzącym na ulicę oknie. Zerknęła przez grubo tkaną firanę. – Wierzy mi pani, prawda? – zapytał, nie odwracając twarzy od szyby.

– Ktokolwiek jest za to odpowiedzialny – Sibylle zignorowała jego pytanie – co z tego może mieć?

Rössler westchnął i odwrócił się do niej.

– Sądzę, że w tych doświadczeniach chodzi głównie o to, żeby manipulować ludźmi poprzez implantację nieprawdziwych wspomnień. Jeśliby zastosować coś takiego w polityce... Na własnym ciele czuje pani, jak to funkcjonuje. Działania ludzkie opierają się na życiowych doświadczeniach. Proszę sobie wyobrazić, że politykom lub wysokiej rangi wojskowym podsuwa się dowolne wspomnienia, które ci będą traktować jak własne. – Sibylle analizowała jego słowa, ale nie była w stanie zrozumieć ich przekazu. Raz po raz

napierały na jej wyobraźnię wizje siedmioletniego chłopca. Obraz był tak wyraźny, śmiech dziecka tak czysty. Rössler obserwował ją przez chwilę w milczeniu. W końcu podniósł rękę i spojrział na zegarek. – Pora na obiad. Mam propozycję: ja postaram się załatwić nam coś do jedzenia, a pani w tym czasie zostanie tutaj i zastanowi się nad tym wszystkim. Jeżeli dojdzie pani do wniosku, że nadal chce zadzwonić do Rosie, nie będę pani tego utrudniał. Proszę tylko, żeby zastanowiła się pani dobrze nad skutkami tej rozmowy, jeśli okazałoby się, że to ja mam rację.

Skinęła głową. Wprawdzie nie była głodna, ale z wdzięcznością przyjęła fakt, że na chwilę zostanie sama. Odprowadziła Rösslera wzrokiem, kiedy opuszczał pokój.

Z bijącym sercem patrzyła na drzwi, aż zyskała pewność, że musi już być w windzie. Wtedy doskoczyła do nich i pociągnęła za klamkę. Drzwi można było bez problemu otworzyć.

Usiadła z powrotem na łóżku, zastanawiając się, czy powinna ściągnąć buty. Cały czas miała na sobie mokasyny Rosie. Poszukała wzrokiem telefonu. Stał na stoliku obok drugiego łóżka. Musiała znowu wstać.

Niestety kartka z numerem Rosie gdzieś jej się zapodziała. Gdy Sibylle wykręciła numer informacji i podała imię i nazwisko, kobieta po drugiej stronie zapytała, czy od razu połączyć ją z abonentem. Nie знаła nazwy ulicy, ale na szczęście w Burgweinting mieszkała tylko jedna Rosemarie Wengler.

Wybrała numer, ale kiedy usłyszała monotony dźwięk sygnału, odłożyła słuchawkę. Co ja właściwie robię? O czym w ogóle chcę z nią rozmawiać?”Powiedz, kochana Rosie, czy to prawda, że jesteś w zмовie z tymi bandytami, którzy eksperymentowali na moim mózgu? Którzy ponoszą winę za to, że stopniowo tracę rozum, bo ten chłopiec...”

Wróciła do łóżka i położyła się na wznak. Sufit nad nią przecinały dwie cienkie zygzakowate linie, przy których w kilku miejscach odpadała farba. Po chwili rysy stały się coraz bledsze, aż w końcu zostały przesłonięte obrazem sali porodowej. Ktoś położył na jej brzuchu umazanego krwią noworodka. W dalszym ciągu łączyła ich ze sobą pępowina. Sibylle wciągnęła w nozdrza ten jedyny w swoim rodzaju zapach – zapach nowo narodzonego człowieka, który po raz pierwszy ogląda światło tego świata. Widziała swój pokój na porodówce, widziała doktora Blasiusa – wysokiego, szczupłego mężczyznę, który stojąc obok jej łóżka, oznajmił, że Lukas ma nieco za niski poziom cukru we krwi. Nie ma powodów do niepokoju, ale chciałby mieć pewność, więc przez dwa dni dziecko pozostanie na obserwacji na sąsiednim oddziale, tam mają odpowiednie zaplecze techniczne. Lukas leży dwa dni podłączony do kabli w podobnym do akwarium naczyniu, gdzie odżywiany jest przez podłączoną do jego małego noska rurkę. Ona czuje się taka samotna, taka...

Dlaczego? Dlaczego czuła się opuszczona? Gdzie był Hannes? Usilnie zaczęła przywoływać go w swych wspomnieniach, próbowała przypomnieć sobie jakąkolwiek scenę, w której odwiedziłby ją, pocieszał.

Czy był przy porodzie?

Wyprostowała się gwałtownie. Lekarz, położna, dwie salowe... Nie, z całą pewnością nie było tam Hannesa. Ale dlaczego? Kiedy rozmawialiśmy o tym, że chce być przy porodzie swojego syna? Kiedy w ogóle oznajmiłam mu, że jestem w ciąży? I jak zareagował?

Śnieżenie.

Poczuła na czole łaskoczący pot. Gdzieś tam skradał się lęk, którego elementarny wymiar przekraczał wszelkie wyobrażenie.

Nagle poczuła się bezbronna, było jej zimno.

Szybkim ruchem zrzuciła mokasyny, podciągnęła kolana i zaciągnęła kołdrę po same uszy. Dłonie miętoszyły poszewkę. Już jako dziecko, kiedy bała się ciemności, zawsze zaszywała się w pościeli. Wtedy łóżko stawało się jej gniazdem, a kołdra kokonem odgradzającym od wszelkiego zła.

Aby doprowadzić schronienie do perfekcji, podniosła stopy tak, że koniec kołdry zwisnął za nimi. W ten sposób owinęła je szczelnie i położyła ponownie na materacu.

Leżała spokojnie, słuchając własnego oddechu, który po chwili zaczął się uspokajać. Przypomniała sobie wczorajsze pytanie Rosie, zanim pojechały do Elke: „Kiedy po raz ostatni byłaś u teściowej ze swoim synem?”.

Rzeczywiście nie potrafiła przypomnieć sobie jakiegokolwiek sceny z udziałem Lukasa i swojej teściowej.

Śnieżenie.

A co z Elke? Na pewno było wiele okazji, żeby zabrać Lukasa do swojej najlepszej przyjaciółki. Sibylle nie przypominała sobie jednak ani jednej.

Czy poza moimi wspomnieniami o Lukasiu nie ma żadnego innego dowodu na jego istnienie? Jedna jedyna sytuacja w pamięci, jakiś szczególny dzień, w którym Lukas był z kimś z rodziny lub znajomy...

Śnieżenie.

Nagle wstrząsnęły nią spazmy. To, co powiedział jej Christian Rössler, co wywołało w niej tak ogromny lęk, wydawało się... prawdą. Wszczepiono jej sztuczne wspomnienia o synu, którego nigdy nie miała.

Nigdy.

Był tylko jej urojeniem.

Z odrętwienia wyrwał ją głośny stukot. Nie miała pojęcia, jak długo leżała w łóżku, owinięta ciasno kołdrą.

Hałas zdawał się dochodzić z korytarza.

Słyszając śmiech dziecka i karcący głos matki, znów opadła głową na poduszkę.

Co robić dalej? Jakie kroki poczynić? Czy razem z Christianem Rösslerem mam szukać ludzi, którzy wyrządzili mi krzywdę? A jeśli naprawdę ich znajdziemy? Co wtedy? I jaki to ma sens, teraz, kiedy muszę zaakceptować, że to, co cały czas stanowiło centrum mojej egzystencji, okazało się tylko iluzją? Coś jednak muszę przedsięwziąć, nie mogę pogodzić się z faktem, że nie wiem, które wspomnienia są prawdziwe, a które są produktem sztucznie skorygowanej pamięci. Ale kto mi uwierzy...? Dowody, potrzebne mi są dowody – na to, że Lukas tak naprawdę istnieje tylko w mojej głowie. Pewność – bez niej nie zaznam spokoju do końca życia.

Odrzuciła kołdrę i usiadła. Podjęła decyzję. Musi zadzwonić do tego komisarza, który już dwa razy pozwolił się jej wymknąć. Jeżeli ktoś mógł jej pomóc, to tylko on.

Wstała z łóżka, podeszła do telefonu i wybrała numer informacji. Tym razem zgłosił się jakiś mężczyzna o młodym, sympatycznym głosie. Dopiero gdy go usłyszała, pojęła, że tak naprawdę nie wie, do kogo chce zadzwonić.

– Eee... dzień dobry. – Nazwisko policjanta znów wypadło jej z głowy, nie wiedziała nawet, gdzie znajdował się jego posterunek. Brzmiało jakoś po polsku... I zaczynało się na literę w. – Przepraszam, chciałabym...

– Tak?

Ten drugi, wredny, nazywał się Oliver Grohe, to pamiętała. Po polsku, po polsku...

Coś na w...

– Tak! – zawołała, jakby pod wpływem nagłego impulsu. – Mówi Sibylle Aurich.

Mógłby mnie pan połączyć z policją w Ratzbonie?

– Chce pani numer alarmowy czy mam panią połączyć z urzędem?

– Nie, nie chodzi o żaden nagły przypadek. Muszę rozmawiać z pewnym funkcjonariuszem policji kryminalnej.

– Mam panią połączyć z Urzędem Policji Kryminalnej w Ratzbonie?

– Jest tylko jeden czy więcej?

– Według tego, co widzę, jest jeden na Bajuwarenstrasse.

– W takim razie proszę mnie z nim połączyć. Dziękuję.

Czekała na połączenie, dziwiąc się, że potrafi zachować spokój. Bądź co bądź, sama była poszukiwana przez policję.

W końcu ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę.

– Inspektor Gorges, słucham?

– Dzień dobry – powiedziała uprzejmie. – Nazywam się Sibylle Aurich. Chciałabym rozmawiać z komisarzem Wittschorkiem.

Na chwilę zapadła cisza, ale potem inspektor odchrząknął.

– Kto mówi? Pani Aurich? Sibylle Aurich?

Sibylle w międzyczasie pojęła, że prawdopodobnie każdy policjant w Ratyzbonie wiedział już, kim ona jest. Najchętniej odłożyłaby słuchawkę, ale jeśli chciała mieć jakąkolwiek szansę, musiała porozmawiać z tym komisarzem.

– Proszę posłuchać – powiedziała, mobilizując wszystkie siły – chciałabym rozmawiać z komisarzem Wittschorkiem, z nikim innym. Zastałam go?

– Jest na zewnątrz – odparł policjant. – Proszę poczekać, spróbuję się z nim skontaktować.

Muzyka klasyczna mająca uprzyjemnić czas oczekiwania na połączenie była jak na gust Sibylle o wiele za głośna. Odsunęła słuchawkę od ucha, ale tylko na chwilę, bo melodia gwałtownie się urwała, zastąpiona paroma trzaskami.

– Wittschorek, słucham? – usłyszała w słuchawce.

Odgłosy w tle pozwalały sądzić, że stoi gdzieś na ulicy. Musiała się skoncentrować, żeby zrozumieć, co mówi.

– Mówi Sibylle Aurich. – Starła się nadać swemu głosowi pewny ton. – Wiem, że myśli pan, że nie jestem sobą, ale mam nadzieję, że mimo wszystko da mi pan możliwość opowiedzenia o tym, co odkryłam.

Zorientowała się, że mówi zbyt szybko.

– Skąd pani dzwoni?

– Sądziłam, że policja potrafi to wykryć w ciągu paru sekund.

– To nie takie proste. Poza tym nie jestem na komisariacie.

– Czy pana niesympatyczny kolega jest w pobliżu?

– Nie. Dlaczego pani pyta?

– Widziałam pana przedtem.

– Tak myślałem. Jakoś nagle zaczęła się pani bardzo śpieszyć.

Powiedział to prostym, wręcz gawędziarskim tonem i nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Sibylle zdziwiła jego reakcja.

– Dlaczego mnie pan nie powstrzymał? Minęła chwila, zanim odpowiedział:

– Wyrażę się następująco: Są poszlaki, że mogła pani przynajmniej w kilku punktach mówić prawdę.

– Poszlaki? Jakie poszlaki?

Znowu pauza. Sibylle przypuszczała, że mężczyzna musi zastanowić się nad odpowiedzią.

– Na przykład szpitalna piwnica. Podłoga jest całkowicie pozbawiona kurzu i najwidoczniej świeżo umyta. Jak na pomieszczenie, w którym przebywa się tylko raz na jakiś czas, jest to dziwne. Sprzątano jednak pospiesznie, mianowicie w jednym rogu znalazłem taką

małą grudkę. Nasze laboratorium twierdzi, że są to resztki specjalnego kleju, który stosuje się w szpitalach, na przykład do mocowania elektrod do ciała pacjenta.

Serce Sibylle zaczęło bić szybciej.

– To znaczy, że pan mi wierzy? W to, że obudziłam się w tym szpitalu i na monitorze...

– To znaczy, że uważam za możliwe, że w tym pomieszczeniu, na krótko, zanim tam przyszliśmy, leżał ktoś, kto był podłączony do aparatury medycznej.

– Ale dalej myśli pan, że nie jestem Sibylle Aurich, prawda? Minęły dwie, może trzy sekundy.

– Jestem policjantem i nauczyłem się, że muszę trzymać się faktów. Nie mam pojęcia, co potrafi osiągnąć współczesna medycyna, zwłaszcza w ciągu dwóch miesięcy, ale faktem jest, że nie wygląda pani jak Sibylle Aurich, którą zdążyłem widzieć na różnych zdjęciach.

– A jeżeli fotografie są sfałszowane?

– Hm... a co z pani mężem? On też pani nie rozpoznał?

– Może to on sam zmanipulował te zdjęcia?

– A pani przyjaciółka? Pani Elke?

– Przypuszczam... przypuszczam, że ona, to jest Elke... że Elke i Hannes są w zмовie.

– Ale dlaczego?

Sibylle przypomniała sobie nagle policjantów przed domem Elke.

– Mam jedno pytanie: Kto pana powiadomił, że jestem w mieszkaniu Elke?

– Tego nie mogę pani powiedzieć – odparł bez chwili wahania. – Był to anonimowy telefon, jednak... głos należał do kobiety.

– Do Elke?

– Panią Berheimer wykluczamy. Później powiedziała nam, że to nie była ona, a i głos w telefonie nie brzmiał tak, jak głos pani przyjaciółki. – Rosie? Rosie. Sibylle miała wrażenie, że ktoś wrywa kawałek jej ciała. To mogła być tylko Rosie. Rössler jednak miał rację... – Halo? Jest pani tam jeszcze?

Drgnęła.

– Tak, ja... ja już nie chcę uciekać. Jestem w małym hotelu na starówce, niedaleko Haidplatzu... zapomniałam nazwy ulicy. Hotel Krombusch. – W tym samym momencie uświadomiła sobie, że wydała również Christiana Rösslera. Chciała jeszcze coś dodać, ale Wittschorek ją uprzedził.

– Wiem, gdzie pani przebywa – powiedział spokojnym głosem, zaskakując ją po raz kolejny.

– Ale przecież wcześniej zapytał pan... to znaczy, skąd pan wie?

– Jak sama pani zauważyła, nie utrudniłem pani jej eskapady. Czy pozwoliłbym pani na swobodę ruchów bez upewnienia się, dokąd się pani udaje?

– Ja... Komisarzu Wittschorek, proszę pana, ja tego wszystkiego nie rozumiem, ale... ale chciałabym współpracować z policją, bo sama nic nie zdiagnozowałam.

– Przecież nie jest pani sama.

Oczywiście! Jeżeli obserwowali nas, to wiedzą też... A jeśli siostra Rösslera rzeczywiście została uprowadzona, to muszą znać także jego.

– Proszę posłuchać. – Wittschorek przerwał jej rozważania. – Nie przyznam się do tego, co teraz powiem, jeśli pani mnie wyda. Sadzę, że nie powinna pani zgłaszać się na policję. Mój kolega jest ogarnięty obsesją pochwycenia pani.

– Nie, ale jestem gotowa wszystko...

– Czy pani jest Sibylle Aurich?

– Wiem już, że pan...

– Niech pani mi odpowie: czy Sibylle Aurich to naprawdę pani? – Teraz mówił głośno, prawie krzyczał. – Tak czy nie?

– Ja... tak, jestem Sibylle Aurich – odparła, przerażona.

Jego głos uspokoił się.

– Po takiej odpowiedzi mój kolega zadzwoni do prokuratora i powiadomi go, że mamy kobietę, która twierdzi, że jest zaginioną Sybille Aurich, chociaż wygląda zupełnie inaczej, chociaż mąż i najlepsza przyjaciółka zaginionej zaprzeczają, jakoby ta kobieta nią była. Potem powie mu, że zna pani fakty, o których może wiedzieć jedynie sprawca. I poprosi o zgodę na zastosowanie wobec pani środków przymusu bezpośredniego, którą z całą pewnością otrzyma.

– O co poprosi? – Sibylle czuła się zupełnie zdezorientowana. – Czy to nakaz aresztowania?

– Nie, to tylko decyzja sądu o umieszczeniu danej osoby w instytucji, której samowolnie nie można opuścić – na oddziale zamkniętym kliniki okręgowej.

– Ale to... to znaczy... On nie może tak tego zrobić. – Sibylle poczuła, jak ogarnia ją panika.

– Ma pani rację. Najpierw musi się postarać o medyczną opinię biegłego na pani temat. To ją nieco uspokoiło.

– Ale tak łatwo jej nie dostanie, prawda? W końcu musi mnie zbadać jakiś lekarz, który stwierdzi, że jestem zdrowa jak ryba.

– Nie, tak łatwo jej nie dostanie – odparł Wittschorek tym samym spokojnym głosem. – Ale twierdzi pani, że jest zaginioną kobietą, a pani cechy zewnętrzne zupełnie nie odpowiadają rysopisowi tej osoby. A to już jest powód do odpowiedniej opinii psychiatrycznej. W przeciwieństwie do mojego kolegi dopuszczam możliwość, że może pani mieć rację, chociaż nie mam pojęcia, jak to możliwe. Ale to nie gra żadnej roli. W dodatku twierdzi pani, że ma syna, którego Sibylle Aurich na pewno nigdy nie miała. W to to już nawet ja nie mogę uwierzyć. Czy teraz rozumie pani swoją sytuację?

Sibylle czuła się tak, jakby załamał się podtrzymujący ją do tej pory kręgosłup.

Opadła na łóżko, obok torby Rösslera, i powiedziała cicho:

– Nie jestem... nie jestem już taka pewna co do mojego syna. Ja... – W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Rössler, niosąc wypchaną zakupami torbę. Stał przy łóżku, patrząc na nią pytającym wzrokiem. Sibylle zawahała się. – Wrócił mój towarzysz, panie komisarzu – powiedziała w końcu do słuchawki, spoglądając na Rösslera. Wydawało jej się czy mężczyzna wzdrygnął się, słysząc te słowa? Ciągle trzymając przy uchu słuchawkę, szepnęła do niego: – To komisarz policji kryminalnej Wittschorek, zna go pan?

– Pan Rössler mnie zna – w telefonie odezwał się głos Wittschorka dokładnie w tym samym czasie, kiedy Christian Rössler powiedział:

– Tak, chyba znam. Był przy kilku rozmowach... w sprawie mojej siostry. – Zniżył głos do ledwo słyszalnego szeptu: – Dlaczego pani do niego zadzwoniła?

– Proszę się zastanowić nad tym, co pani powiedziałem – Sibylle znów usłyszała głos Wittschorka, a zaraz potem policjant rozłączył się.

Gdy odłożyła słuchawkę, Rössler ponowił pytanie, tym razem już normalnym głosem:

– Dlaczego zadzwoniła pani na policję? Co pani mu opowiedziała?

Odłożył torbę z zakupami i usiadł na krześle. Położył ręce na udach, patrząc na nią wyczekująco.

Wszystko wskazywało na to, że mówił prawdę i że rzeczywiście chciał jej pomóc.

Zasłużył na to, żebym ja również była wobec niego szczerą.

– Wierzę panu, że...

– Christian – przerwał jej. – Myślę, że starczy tych formalności.

Było jej to zupełnie obojętne, więc skinęła głową.

– Wszystko wskazuje na to, że to Rosie rzeczywiście zadzwoniła na policję. I... sędzę też, że to, co mówił pan... co mówiłeś o Lukasiu, może być prawdą. – Musiała zrobić pauzę i głęboko zaczerpnąć tchu, zanim mogła mówić dalej. – Trudno mi się z tym pogodzić, ale dużo nad tym myślałam. W ani jednym moim wspomnieniu o Lukasiu nie uczestniczy żadna inna osoba. Nie ma żadnej sytuacji, w której widzę go z Hannesem albo z Elke. Albo z kimkolwiek, kogo znam.

Rössler skinął głową ze zrozumieniem.

– Może liczyli na to, że będziesz zbyt rozstrojona i spanikowana, by to zauważyć.

– A jak było z twoją siostrą? – spytała. Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie rozmawialiśmy o tym. Isabelle była zupełnie zszokowana, kiedy powiedziałem jej, że nie ma dziecka. Zwymyślała mnie i zaczęła czynić mi wyrzuty. Pewnie potrafisz to zrozumieć...

Sibylle skinęła głową. Nawet nie wiesz, jak dobrze.

– W każdym razie zastanawiałam się, co można zrobić, i pomyślałam o tym komisarzu. Już dwa razy przyszedł mi z pomocą. Policja dysponuje przecież zupełnie innymi środkami niż my. Dlatego do niego zadzwoniłam. – Znów wciągnęła głęboko powietrze.

– Powiedziałaś mu, gdzie jesteśmy, Sibylle?

– Tak, ale to nie było konieczne. On to już wiedział.

– Jak zareagował na twój telefon? Sibylle potrząsnęła głową.

– No cóż, odradził mi zgłaszania się na komisariat. Możesz to sobie wyobrazić?

Czekała na jakąś radykalną reakcję, ale ze zdumieniem stwierdziła, że Christiana nie za bardzo to zdziwiło.

– Co prawda tylko parę razy miałem do czynienia z Wittschorkiem – odparł – ale zastanowiło mnie to, że jest bardziej skłonny zaakceptować na pierwszy rzut oka niedorzeczne rzeczy. Jego kolega wręcz przeciwnie. Dla niego wszystko i wszyscy są podejrzani. Szkoda, że nie słyszałaś, jakie wyrzuty mi czynił, kiedy przyszedłem do nich po ponownym zniknięciu Isabelle.

Jakieś światełko zapaliło się w głowie Sibylle.

– Kiedy to było?

– Cztery dni temu.

– Mówiłeś im o wątku z synem? – Jej głos był coraz bardziej nerwowy.

– Tak, oczywiście. Przecież to ważne.

Niespokojnie przesunęła się na łóżku i spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem.

– To dlaczego nawet słowem o tym nie pisnęli, kiedy zabrali mnie wczoraj? – Rössler zdawał się nie rozumieć, co ma na myśli. – Christian, zastanów się. Dwa dni wcześniej byłeś na policji i powiedziałaś Wittschorkowi i Grohe, że twoja siostra, po tym, jak ją uprowadzono i jak udało jej się uciec, nagle wmówiła sobie, że ma dziecko. Dziecko, które

w rzeczywistości nie istnieje. A wczoraj ja powiedziałam tym samym policjantom, że zostałam uprowadzona i udało mi się uciec. I opowiedziałam im o moim synu, którego... – Musiała parę razy przełknąć kluskę, która rosła jej w gardle. – Którego podobno nie ma. Podobieństwa są chyba oczywiste, prawda? A oni nie wspominają o tym ani słowem? W dodatku ten cały Grohe udaje, że nigdy jeszcze nie słyszał równie szalonej historii. To chyba nie jest normalne?

– Wittschorka nie było cztery dni temu – powiedział Rössler, patrząc przed siebie szklistym wzrokiem. – Był wtedy tylko nadkomisarz Grohe.

– Na pewno przekazał mu wszystko, w końcu pracują razem. Rössler kołysał głową tam i z powrotem.

– Być może dlatego Wittschorek jest bardziej skłonny ci wierzyć. Widzi związki między zdarzeniami, których Grohe nie dostrzega.

– Albo nie chce dostrzegać – dodała Sibylle. Znowu poczuła tę znajomą pustkę, która pojawiała się dosyć często w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Jakby wysadzono ją na obcej planecie, której mieszkańcy pozbawieni byli wszelkich ludzkich cech. Dokądkolwiek by poszła, cokolwiek by uczyniła, nie było na tym świecie ani jednej cząstki wywołującej w niej poczucie bezpieczeństwa i pewności. Spojrzała Rösslerowi w oczy, ale pomimo że już trochę mu ufała, w nich też nie mogła znaleźć prawdziwego oparcia. – Tak czy inaczej, nie wiem, co robić dalej.

Rössler przechylił się do tyłu i przesunął palcami po włosach.

– Proponuję, żebyś opowiedziała mi o sobie. O swojej rodzinie, przyjaciółach, pracy. Wszystko, co najważniejsze. Wszystko, co mogłoby dać nam jakąś wskazówkę i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego te typy wybrały właśnie ciebie.

Sibylle zawahała się. Dlaczego mówi tylko o mnie?

– Ale chodzi również o twoją siostrę, prawda?

– Tak, oczywiście. Muszą być jakieś wspólne cechy, cokolwiek.

Rössler wstał i podszedł do leżącej na łóżku torby. Rozsunął zamek błyskawiczny, chwilę poszperał w środku i wydobyl z niej przedmiot, którego Sibylle na pierwszy rzut oka nie mogła rozpoznać. Dopiero kiedy usiadł obok niej i nacisnął jakiś guzik, spostrzegła, że trzyma w ręku dyktafon.

– Co to ma znaczyć? – zapytała niepewnie.

– Nie chcę, żeby coś mi umknęło. Czasem zauważa się coś ważnego dopiero wtedy, kiedy posłucha się tego wiele razy. – Nie czuła się komfortowo z myślą, że wszystko, co powie, zostanie zarejestrowane. Z drugiej strony pomyślała, że też jej to nie zaszkodzi. W końcu nie zdradza żadnej tajemnicy państwowej. – Sądzę, że to, co powiesz, będzie zbyt... – Rössler chciał wyjaśniać dalej, ale Sibylle machnęła ręką.

– Już dobrze. W sumie dla mnie to też jest ważne.

– Okej. Zacznijmy więc. Kiedy i gdzie się urodziłaś?

Zastanowiła się przez chwilę, co ma wspólnego jej data urodzenia z uprowadzeniem, ale odpowiedziała:

– Jedenastego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku w Ratzbonie. Moja matka nazywała się Margarethe Selzer, nazwisko panięńskie Zimmermann, a mój ojciec Josef Selzer. Jestem jedynaczką. – Zawahała się. Być może po raz pierwszy w życiu odczuła smutek na myśl o tym, że nie ma starszego brata, który mógłby ją bronić, lub siostry, której mogłaby powierzyć wszystkie swoje troski. To było nawet coś więcej niż smutek. To była... żaloba.

Żaloba po braciach i siostrach, których nigdy nie miała.

Poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. W jej duszę znów wwiercał się lęk przed utratą rozumu. I nagle nie mogła się już opanować. Skryła twarz w dłoniach i z całej siły wykrzyczała swoją rozpacz. Krzyczała i krzyczała, nie mogąc przestać. Objęła się ramionami, jakby chciała wycisnąć z siebie resztki powietrza. Jej krzyk był już tylko ochryplym rżeniem, ale nie przestawała, histerycznie wciągając powietrze, zanosila się od płaczu. – Cii... Już dobrze. – Dopiero kiedy poczuła obejmujące ją ramię, dopiero kiedy położyła głowę na piersi Christiana, dopiero kiedy zaczął delikatnie gładzić jej włosy, spokojnym głosem wymawiając słowa, których nie rozumiała – dopiero wtedy mogła przestać krzyczeć. Gdy głos Rösslera umilkł, cisza otuliła Sibylle niczym gruby, miękki koc. Oczy miała zamknięte, czuła dłoń niestrudzenie gładzącą jej głowę i uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej bliskości drugiego człowieka. Przytuliła się do Christiana jeszcze bardziej, chłonąc to doznanie całą sobą.

Nie wiedziała nawet, jak długo tak trwała, kiedy w końcu Rössler odsunął ją łagodnie, żeby na nią popatrzeć. W jego oczach było zaniepokojenie. Po raz pierwszy zauważyła, że są szaroniebieskie. Odchyliła mocniej głowę i uważniej popatrzyła na tę podłużną twarz, niezbyt piękną, raczej charakterystyczną, z uwydatnionymi kośćmi policzkowymi.

Samotna... Opuszczona... Zdradzona przez wszystkich, którzy kiedyś coś dla mnie znaczyli. I oto siedział tutaj ten mężczyzna, który chciał jej pomóc, tu obok, na łóżku. I trzymał ją w ramionach. W następnym momencie ich twarze zbliżyły się do siebie, a usta spotkały w pocałunku – najpierw delikatnie, jakby na próbę, potem badawczo, z coraz większym zainteresowaniem, aż w końcu wygłodniałe i oczekujące. Przez kilka sekund tego właśnie chciała.

Ale potem już nie.

– Nie, sorry... nie powinnam. – Oderwała się od Christiana, czując na sobie pytające spojrzenie. – Odnoszę wrażenie, że to jest... nieprawdziwe. Jestem zamężna. Proszę cię, kontynuujmy nagrywanie. – Wstał i ponownie usiadł na krześle. Poczuła ulgę, że nic nie powiedział. Przez chwilę zaniepokoiła się, że jej niekontrolowany wybuch też został nagrany, ale potem doszła do wniosku, że materiał przeznaczony był przecież tylko dla Christiana, a on brał udział w zaistniałej sytuacji. – Christian, ja... nie wiem, o czym mam ci opowiedzieć – powiedziała cichym głosem. – Może zadasz mi parę pytań? Co chciałbyś wiedzieć?

– Uspokoiliś się? – zapytał z troską.

– Tak, wszystko okej. Dziękuję.

– Dobrze, a więc... powiedz mi, kiedy i gdzie poznałaś swojego męża.

Sibylle nie musiała się długo zastanawiać. Od razu zobaczyła przed oczami tę scenę.

– Można powiedzieć, że zderzyliśmy się czołowo. – Musiała się uśmiechnąć. – Siedziałam w aucie na parkingu supermarketu, czekając, aż zwolni się miejsce. Hannes nadjechał z przeciwka i musiał ustąpić komuś innemu, kto akurat wycofywał. Nagle ujrzałam go przed sobą, patrzyliśmy na siebie przez szyby naszych samochodów. Ciągle mam w pamięci to jego niewiarygodne spojrzenie. Potem nagle jego auto szarpnęło i uderzyło w moje. Najpierw twierdził, że miał śliskie buty i że sprzęgło uciekło mu spod nogi. Ale potem przyznał się, że po prostu puścił je bezwiednie, kiedy mnie zobaczył. Cóż... U niego była to chyba miłość od pierwszego wejrzenia.

– A u ciebie?

– U mnie trochę to trwało, ale po kilku spotkaniach... Hannes nie jest ani jakimś

pięknisiem, ani ognistym bohaterem z romansu, ale można na nim polegać. Jest absolutnie szczerzy i... – Zawiesiła głos, ale zanim była w stanie podążyć za myślą, która próbowała wdrzeć się na pierwszy plan, Christian zapytał:

– A czym się zajmujesz zawodowo?

Temat szczeroci mojego męża najwyraźniej nieszczególnie mu się podoba...

– Pracuję w agencji ubezpieczeniowej – odparła i zmarszczyła brwi, przypomniawszy sobie, że do tej pory nie skontaktowała się jeszcze ze swoim szefem, Arminem Braunsfeldem.

Christian chyba odgadł jej myśli, bo potrzęsął głową.

– Nie dzwoniłbym do szefa na twoim miejscu. Twój mąż i twoja przyjaciółka nie rozpoznali cię. Dlaczego niby twój szef miałby potwierdzić, że jesteś Sibylle Aurich?

– Może dlatego, że w przeciwieństwie do Elke i Hannesa on nie jest zamieszany w tę sprawę?

Rössler lekko przechylił głowę.

– Jak myślisz, co zrobi twój szef, kiedy do niego zadzwonisz? Przecież z całą pewnością wczoraj albo dzisiaj zatelefonował już do niego twój mąż. Albo policja.

To prawda, pomyślała. Hannes na pewno zadzwonił do Braunsfelda. A więc pozostaje mi tylko jedno.

– Masz rację – powiedziała. – Nie będę do niego dzwonić. Po prostu odwiedzę go bez zapowiedzi. Musi mnie widzieć. Jeśli mnie zobaczy, wszystko będzie dobrze. Na pewno mnie rozpozna, nawet jeżeli tamci w jakiś sposób zmienili mój wygląd. – Paroma szybkimi ruchami założyła mokasyny i wstała z łóżka. Pomimo że ciężko jej było zebrać myśli w jedną logiczną całość, pomimo że w jej podświadomości wciąż przewijał się obraz małego chłopca, który prawdopodobnie był tylko złudzeniem – ta mała szansa znalezienia kogoś, kto być może należał do jej starego, prawdziwego świata, była jak zastrzyk nowej energii. Christian również podniósł się z krzesła. Stali teraz naprzeciw siebie. Sibylle widziała, że nie był zachwycony jej pomysłem, ale nie mogła dalej siedzieć tu beczynn timer i opowiadać o swoim życiu, podczas gdy na drugim końcu miasta był człowiek, który może przywrócić jej to życie. – Christian, nie mogę tutaj zostać, rozumiesz? – Położyła mu rękę na ramieniu. – Muszę tam pojechać i sprawdzić, czy mój szef też się mnie wyprze. Pojedziesz ze mną?

– Najlepiej będzie, jak pójdziemy ulicę dalej i złapiemy taksówkę – zaproponował Christian. – Nie ma sensu, żebyśmy całą drogę do mojego samochodu szli pieszo. Jeszcze dorwie nas Grohe.

– Dobrze – zgodziła się Sibylle.

Tak naprawdę zgodziłyby się na wszystko, byle tylko jak najszybciej spotkać się ze swoim szefem. Jej myśli krążyły już wokół Armina Braunsfelda. Widziała wysokiego, niemal całkowicie siwego mężczyznę, siedzącego za nowoczesnym biurkiem, z brzuchem, w który wcinał się blat. „Małe koło ratunkowe”, tak mówił – nie bez złośliwego uśmiechu. Był zawsze w dobrym humorze, delektował się życiem. Bardzo ją lubił – wiedziała to. Jeżeli istniał ktoś, kto stałby po jej stronie, kto okazałby jej wsparcie i pomoc wszystkimi dostępnymi środkami, to mógł to być tylko Armin Braunsfeld.

Wizja znikła bez ostrzeżenia, ustępując miejsca parze szaroniebieskich oczu tuż przy jej twarzy, obserwujących ją z ciekawością. Należały do Christiana Rösslera. Tak samo patrzył na nią, kiedy się całowali.

Dlaczego akurat teraz ten pocałunek...? Jakbym nie miała innych zmartwień. A może właśnie dlatego. Ta bliskość... Jedyne człowiek, który nie jest przeciwko mnie, który ma rozum i wie, że przytrafiło mi się coś nieopisanego.

Przeszli przez plac Bismarcka i minęli okazały fronton teatru, trafiając na ulicę Jakuba.

– Tutaj powinniśmy dość szybko złapać taksówkę – oznajmił Christian.

– Tak... – odparła, ale myślała teraz o czerwonołosej Rosemarie Wengler. Rosie, która najpierw jej pomogła, a później powiadomiła policję. Dlaczego? – Jak myślisz, dlaczego Rosie zadzwoniła na policję po tym, jak zawiozła mnie do Elke? – spytała. – Jeżeli rzeczywiście jest jedną z nich, to nie powinna chyba chcieć, żeby mnie zamknięto i przesłuchiowano. Musiałaby się obawiać, że coś im zdradzę, choćby nieświadomie. A jeśli nie mogę nic wyjawic, to jaki miałoby to sens?

Christian spojrzał na nią, wyraźnie zaskoczony.

– Dobre pytanie. Może chciała... O, jest taksówka! – zawołał nagle, gdy z lewej strony nadjechał kremowy mercedes.

Christian stanął jedną nogą na asfalcie i podniósł rękę. Kierowca skręcił na skraj jezdni i zahamował tuż przy nim.

Z głośników pobrzmiwał cicho jakiś niemiecki szlagier. Kierowca taksówki z uśmiechem odwrócił się do Sibylle. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała człowieka z tyłoma drobnymi zmarszczkami wokół powiek. Miał dobre sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć lat i burzę siwych włosów.

– No, panienko, gdzie dokładnie mam się zatrzymać w Prüfening? Podała mu adres, a kiedy ruszył, popatrzyła wyzywająco na Christiana.

– Więc co teraz sądzisz o Rosie? – spytała cicho. – Przecież byłeś pewien, że to właśnie ona powiadomiła policję. Musiałeś się chyba zastanawiać, dlaczego to zrobiła?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie, szczerze mówiąc, jeszcze o tym nie myślałem. Nie wiem, dlaczego to zrobiła, ale musisz przyznać, że nikt inny nie wchodzi w rachubę, prawda? Jeśli nawet poli... – Zawahał się i rzucił krótkie spojrzenie w stronę kierowcy, ale ten zdawał się całkowicie skupiony na prowadzeniu pojazdu. – A więc, jeśli nawet Wittschorek mówi, że to była Rosie...

– Ależ on tego wcale nie powiedział – przerwała mu Sibylle. – Powiedział tylko, że zadzwoniła jakaś kobieta, ale nie podała swojego nazwiska. Jest jednak pewien, że nie była to Elke.

– Więc kto jeszcze wchodzi w grę oprócz tej całej Rosie?

– Nikt. – Sibylle utkwiała nieruchome spojrzenie w szybie.

Nikt, odbijało się echem w jej świadomości. Jedno słowo będące odpowiedzią na wszystkie pragnienia, będące powodem jej zwątpienia.

Kto jej pozostał z dotychczasowego życia? Nikt.

Do kogo mogła się zwrócić, kogo prosić o pomoc?

Nikogo.

Kto w tej obcej, koszmarnej rzeczywistości wierzył, że jest sobą? Nikt.

Może tylko Armin Braunsfeld?

Mrugnęła parę razy, żeby zatamować napływające do oczu łzy, i poszukała w rzędzie mijanych budynków czegoś, co wydałoby się jej znajome. Jednak nic takiego nie zobaczyła.

A co, jeśli nawet policja... „Czy pozwoliłbym pani na swobodę ruchów bez upewnienia się, dokąd się pani udaje?” Odwróciła się i spostrzegła, że jedzie za nimi kilka pojazdów. Czy w jednym z nich siedzieli policjanci informujący Wittschorka o tym, gdzie się akurat znajduje? A nawet jeśli... Czy mam inny wybór?

Ostatnie kilometry minęły im w milczeniu. Kiedy w końcu taksówka zatrzymała się i Sibylle ujrzała szklaną tabliczkę przy wejściu, zaczerpnęła głęboko powietrza. Christian podał kierowcy banknot i podziękował, nie czekając na resztę.

Wysiedli. Sibylle poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

Co będzie, jak Braunsfeld też mnie nie rozpozna? Nie! To niemożliwe, żeby wszyscy zmówili się przeciwko mnie. Musi mnie poznać...

Christian dotknął jej pleców, delikatnie popychając ją w stronę wejścia do budynku. Sibylle ruszyła, ale z każdym krokiem czuła, jak przyspiesza jej puls. Przed wejściem obejrzała się na Christiana. Stał oparty o słup latarni i patrzył w jej kierunku.

– Nie idziesz ze mną? – zapytała. Potrząsnął głową.

– Poczekam tu na ciebie. Nie chcę wprawić tego człowieka w zakłopotanie moją obecnością.

To dlaczego ze mną pojechałeś, Christianie Rössler? – pomyślała nieco rozgoryczona, po czym otworzyła drzwi.

Armin Braunsfeld siedział za swoim biurkiem, stojącym w tylnej części pomieszczenia i oddzielonym od reszty biura dwoma wybujałymi fikusami. Na jej widok wyczarował na twarzy uśmiech, który Sibylle tak dobrze znała, i podniósł się.

– Dzień dobry, witam panią! – zawołał uprzejmie. – Proszę podejść bliżej. Niech się pani nie obawia, jestem już po posiłku. – Roześmiał się rubasznie.

– Dzień dobry...

Sibylle stanęła jak wryta. Spokojnie. Tylko bez paniki. Bądź spokojna, Sibylle, bądź spokojna... Najprawdopodobniej rzeczywiście coś stało się z jej wyglądem, skoro Braunsfeld nie rozpoznał jej od razu. Powoli szła w kierunku swojego szefa, patrząc mu w oczy. Czy dostrzegła w nim jakiś ruch, małą oznakę, że jej widok wzbudził w nim jakieś wspomnienie?

Nie. Nie było w nim nic oprócz typowego, „braunsfeldowego” uśmiechu biznesmena.

Poczuła, jak wypełnia ją pusta desperacja, wysysając z niej resztki sił.

Najchętniej opadłaby na podłogę. Było już jej obojętne, co się z nią stanie. Zbierając całą swoją wolę, zmusiła się do uśmiechu i niby mimochodem rzuciła okiem w bok, gdzie stało jeszcze jedno biurko. Jej biurko. Zawsze dokładnie sprzątnięte, teraz zawalone było pocztą. Nie tylko w przegródkach na korespondencję, ale też na szerokiej szarej podkładce piętrzyły się listy, broszury i katalogi. Musiały być zaadresowane na nią, bo poczty firmowej Braunsfeld z pewnością nie zostawiłby bez otwierania – w tym zakresie był zbyt sumienny. Kiedy zastanawiała się, jak mogłaby dostać się do swojej korespondencji, Braunsfeld pochwycił jej wzrok.

– O, to biurko mojej współpracownicy. Dobra koleżanka, ale od dłuższego czasu... jest na chorobowym. Zgromadziło się już trochę poczty. Ale proszę, niech pani siada. Jak mogę pani pomóc?

Popatrzyła na okrągłą twarz swojego szefa. Trudno mu się pogodzić ze zniknięciem pracownicy. Nie rozpoznaje mnie. Sibylle Aurich zniknęła. To nie ja. Nie ja. To nie ma sensu...

– Ja... chciałabym otrzymać parę informacji na temat ubezpieczenia na życie. Tak na przyszłość, jako dodatek do emerytury. To znaczy... nie chciałabym jedynie zasięgnąć informacji, tylko od razu zawrzeć umowę. Pomyślałam więc, że najlepszą ofertę mógłby mi przedstawić makler ubezpieczeniowy. Bo... nie jesteście związani z żadną firmą. – Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy, co wcale jej nie zdziwiło. Sibylle wiedziała, że za pośrednictwo w sprzedaży polisy zgarnie niemałą prowizję. Zajęła miejsce na jednym z dwóch krzeseł stojących po drugiej stronie biurka. – Aha, miałabym do pana jeszcze jedną prośbę. Widzi pan, mój partner czeka na zewnątrz, nie mogłam go przekonać, żeby wszedł tu ze mną. Jest dosyć sceptycznie nastawiony, jeśli chodzi o te sprawy... Ale nie chciałabym podejmować żadnej decyzji bez jego wiedzy. W sumie jego też to dotyczy. Może mógłby pan... to znaczy, jeśli porozmawiałby pan z nim jako profesjonalista...

Przez chwilę Braunsfeld patrzył na nią, szczerze zdziwiony, ale uśmiech zaraz wrócił na jego twarz. Kiedyś powiedział jej, że trzeba samemu stać się na chwilę wariatem, żeby wyjść naprzeciw życzeniom zwariowanych klientów.

– Ależ oczywiście. Gdzie mam go szukać? – Pokazał na wejście. – Przed budynkiem?

Niech pani zaczeka, zaraz to załatwię.

Sibylle nie spuszczała z niego wzroku, zanim hydrauliczny mechanizm nie zaciągnął za nim drzwi. Wtedy zerwała się i doskoczyła do swojego biurka. Tylko pół minuty. Drżącymi dłońmi sięgnęła do górnej szuflady, nie można jej było jednak wysunąć do końca. Z tyłu

wydzielona była przegródką mała część, tak wąska i płytka, że nie dało się zobaczyć, co się w niej znajduje. Sibylle wsunęła tam rękę, po omacku szukając dna. Nie spuszczała przy tym oka z drzwi. Już po kilku sekundach jej palce natrafiły na to, czego szukała. Szybko wydobyła zapasowy klucz do biura i wsunęła go do kieszeni. Zamknęła szufladę i wróciła na swoje miejsce, sekundę przedtem, zanim drzwi się otworzyły.

– Przykro mi – powiedział Braunsfeld, podchodząc do niej – ale na zewnątrz nikogo nie było. Gdzie dokładnie miał czekać pani towarzysz?

– Ach... – Sibylle podniosła się z krzesła. – Nie czeka przed wejściem? Może jest w samochodzie... Chwileczkę, pójdę sprawdzić.

– Ale polisa... – zaczął Armin, jednak Sibylle minęła go i wyszła z biura.

Na zewnątrz szybko rozejrzała się wkoło, jednak nigdzie nie dostrzegła Christiana Rösslera. Gdzie on się podziewa, do jasnej cholery... I przed czym lub przed kim się ukrywa?

Skierowała się na prawo i ruszyła szybkim krokiem przed siebie, w zupełnie nieznanym celu. Dopiero teraz, kiedy po raz pierwszy, odkąd uciekła ze szpitala, była naprawdę sama, zauważyła, jak dobrze się czuła w towarzystwie Christiana.

Nagle zatrzymała się. Co ja właściwie robię? Co będzie, jeżeli on mnie nie zauważył i czeka gdzieś z drugiej strony? Odwróciła się i serce jej zamarło.

Christian Rössler stał zaledwie metr od niej.

– Mój Boże, musiałeś mnie tak wystraszyć?! – zawołała. – Gdzie ty się podziewałeś? I dlaczego się ukrywasz? Co by było, gdyby nagle okazało się, że cię tam potrzebuję?

– Przyszedłbym – odparł. – Cały czas byłem w pobliżu.

– Ale dlaczego się ukryłeś?

– Nie ukrywałem się. Kiedy ten grubas wyszedł z budynku, stałem po drugiej stronie ulicy. Wkrótce potem pojawiłaś się i zaczęłaś biec. Nie chciałem wołać za tobą przez ulicę, bo nie powinniśmy teraz wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania naszymi osobami. – Wyciągnął usta w uśmiechu, a chociaż Sibylle nie była w nastroju, również się uśmiechnęła. – Opowiedz mi po drodze, jak było?

– Szef mnie nie poznał – powiedziała, najspokojniej jak potrafiła, kiedy ruszyli przed siebie.

– A jak zareagował, kiedy powiedziałaś mu, kim jesteś?

– Nie powiedziała mu.

Christian zatrzymał się i złapał ją za ramiona.

– Dlaczego? Myślałem, że po to tu przyszliśmy.

– To nie miało sensu. – Sibylle uwolniła się z jego uchwytu i zaczęła iść dalej. Po chwili zrównał się z nią. – Widziałam, że nie ma we mnie nic, co wydałoby mu się znajome. Ale... udało mi się zabrać zapasowy klucz do biura!

– Co?

– Naprawdę! Wzięłam go z mojego biurka.

– I co chcesz z nim zrobić?

– Która godzina? – zapytała nagle.

– Prawie druga – odparł Christian, skonsternowany. Sibylle skinęła głową.

– Za pół godziny Braunsfeld prawdopodobnie opuści biuro. Umawia się z klientami zawsze po południu, od wpół do trzeciej. Wtedy tu wrócimy. Muszę w spokoju przeszukać moje biurko.

– Co chcesz znaleźć?

– Jeszcze nie wiem. Ale przechowuję tam wiele osobistych rzeczy, między innymi mój terminarz. Być może odkryję coś, o czym jeszcze sobie nie przypomniałam.

Rössler milczał przez chwilę, analizując jej słowa.

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł – powiedział w końcu. – Dlaczego chcesz wziąć na siebie niepotrzebne ryzyko? Co takiego miałyby zawierać twój terminarz, o czym byś dotychczas nie wiedziała?

– Nie mam pojęcia – odparła Sibylle. – Ale na pewno nie zaszkodzi rzucić okiem. Poza tym leży tam cała sterta poczty do mnie. Być może jest w niej coś, co pozwoli nam zrobić następny krok. A ryzyka nie ma, skoro mam klucz. – Znowu się zatrzymała i spojrzała na Christiana. – Co z tobą? Myślałam, że odkrycie nowych faktów leżałoby również w twoim interesie.

– Tak, oczywiście – odparł z pewnym wahaniem. – Tylko po tym, jak moja siostra znowu zniknęła... Boję się po prostu, że ty też możesz zniknąć. Ale oczywiście masz rację. Musimy wykorzystać każdą nadarżającą się okazję.

Coś ciepłego ogarnęło ciało Sibylle – nie dreszcz, raczej podmuch. Namiastka poczucia szczęścia. Christian troszczy się o mnie.

Przemierzali ulice Prűfening. Żeby jakoś zabić czas, opowiadała mu rozmaite zdarzenia ze swego życia. Nic szczególnego, bo też nic szczególnego nie wydarzyło się w jej życiu. Raczej były to krótkie opowiadki o ślubie i urlopie w Andaluzji, gdzie Hannes wymyślił, że wypłynie małym hiszpańskim kutrem na otwarte morze. Istotnie udało mu się znaleźć jakiegoś rybaka, którego namówił na tę wyprawę. Wypłynął z nim o drugiej w nocy, pełen zapału. Kiedy cztery godziny później wrócili do portu, Hannes był zupełnie zielony na twarzy.

Sibylle opowiedziała Christianowi również o wszystkim, co wydarzyło się od momentu jej ucieczki z tamtej piwnicy, ze szczegółami jej spotkania z Hannesem i wizyty u teściowej włącznie.

Ciągle mówiła, nie zważając na to, dokąd idą. Ale gdy nagle ujrzała znajomą ulicę, stanęła jak wryta. Christian spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– To ta ulica – powiedziała. – To znaczy... tutaj mieszkam... my mieszkamy. Tam z tyłu jest nasz dom.

Rössler popatrzył wzdłuż ulicy. Jego wzrok przesunął się po oknach okolicznych domków jednorodzinnych.

– Chciałaś tutaj przyjść? – zapytał.

– Nie... na pewno nie.

– Więc lepiej stąd chodźmy, zanim ktoś zadzwoni na policję. Już chciała go posłuchać, ale nagle zawahała się.

– Chwileczkę, kto ma mnie poznać? Najwidoczniej zmieniłam się do tego stopnia, że nie poznają mnie ludzie, z którymi miałam do czynienia na co dzień...

Nagle świat zawirował wokół niej. Wyciągnęła rękę w kierunku Christiana, który chwycił ją, zanim zdołała upaść.

– Sibylle, co się dzieje? – zapytał z troską w głosie. – Słabo ci?

Potrząsnęła kilkakrotnie głową i rozejrzała się wkoło. Domy stały stabilnie – zawroty głowy minęły.

– Mój Boże, nie... nie mogę pozbierać myśli. Jeszcze do niedawna byłam przekonana, że Hannes i Elke muszą być zamieszani w tę sprawę, skoro z taką konsekwencją twierdzą, że ja

to nie ja. Myślałam, że Hannes przerobił fotografie i... – Kilka kroków obok dostrzegła wysoki na jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt centymetrów murek otaczający ogródek przed domem. Podeszła i usiadła na nim. – Hannes i Elke mieli rację – powiedziała, gdy Christian się zbliżył. – Nie wyglądam jak ja. Uświadomiła mi to ostatecznie wizyta u Braunsfelda. A to by znaczyło, że...

– To by znaczyło, że twoje podejrzenia są bezpodstawne.

– Tak – odparła cicho Sibylle. – Właśnie tak.

Christian usiadł obok niej na murku, chwytając jej dłoń.

– Cały czas łamałem sobie tym głowę. Jeśli to dziwne zachowanie dotyczyłoby tylko twojego męża, okej. Niech będzie też, że on i twoja przyjaciółka Elke są w zмовie. Ale te zdjęcia, o których mówili policjanci, te, na których jest inna kobieta. I wszyscy ci ludzie, których spotkałaś i którzy cię nie poznali, nawet pielęgniarka twojej teściowej... W tym wszystkim coś nie gra.

– A co ma grać? Jak to wyjaśnisz? Mówisz, że w jakiś sposób manipulowali moim mózgiem, żebym uwierzyła, że mam dziecko, którego w rzeczywistości nigdy nie miałam. – Sibylle znów poczuła w sercu ból, który dręczył ją za każdym razem, gdy wypowiadała te słowa. – Ale jak to możliwe, że po tych dwóch miesiącach wyglądam zupełnie inaczej? Kompletnie inaczej... Tak że nie poznał mnie nawet mój własny mąż? – Kiedy Christian nie odpowiedział, dodała: – I dlaczego kiedy patrzę na swoje odbicie w lustrze, nie wydaję się sobie obca?

Hans już pół godziny stał na swoim nowym stanowisku obserwacyjnym, ale Jane jeszcze się nie pojawiła. Nie tracił jednak czasu na zbędne rozmyślenia o tym, że być może tym razem Doktor się pomylił.

Kiedy Hans zadzwonił do niego spod domu w Stadthof, Doktor powiedział mu, że nie musi tam dłużej czekać. Ma sobie kupić coś do jedzenia i być gotowy na dalsze rozkazy.

Hans najpierw upewnił się, czy za wycieraczką bmw nie ma żadnego mandatu, a następnie poszedł do pobliskiej pizzerii i usiadł przy jednym z wolnych stolików na dworze. Kiedy prawie skończył posiłek, zadzwoniła jego komórka. Doktor przekazał mu rozkazy.

Teraz czekał więc przed biurem agencji ubezpieczeniowej na Jane, która niebawem powinna się tu pojawić.

I pojawiła się za niecałe pięć minut. Ona i jej towarzysz szli zdecydowanym krokiem w stronę budynku, na którego parterze znajdowało się biuro. Zatrzymali się przed wejściem, przez chwilę jeszcze rozmawiali ze sobą, po czym Jane odwróciła się w stronę drzwi, podczas gdy mężczyzna przeszedł przez ulicę i stanął po przeciwnej stronie.

Kiedy Jane zniknęła wewnątrz budynku, Hans zmierzył wzrokiem okolicę. Zawsze trzeba obserwować teren wokół siebie, niezależnie od tego, jak bezpiecznie i pewnie się człowiek czuje.

W odległości około stu metrów zauważył kobietę. Intensywnie wpatrywała się w witrynę sklepu rowerowego.

Nadeszła jedna z rzadkich chwil, w których na twarzy Hansa pojawił się uśmiech. Kobietą przed sklepem była Rosemarie Wengler.

Wejście było zamknięte na klucz. Braunsfeld rzeczywiście wyszedł.

Sibylle bez chwili wahania wyjęła klucz, otworzyła nim drzwi i weszła do biura. Christian znowu zajął miejsce po drugiej stronie ulicy – żeby mógł ją ostrzec, w razie gdyby szef nagle się pojawił.

Usiadła za swoim biurkiem na wygodnym obrotowym fotelu. Nie wiedziała, od czego zacząć szukanie, więc przyjrzała się rzeczom, z którymi od lat miała na co dzień do czynienia. Zwróciła uwagę na wiszący na ścianie obraz z abstrakcyjnym motywem. Żona Braunsfelda podarowała mu go, kiedy otwierał ten interes. Nosił tytuł Zachód słońca w bajkowym lesie i Braunsfeld kilkakrotnie wspominał, że był dość drogi, choć to „nic innego, jak nieżnośne, psychodeliczne intermezzo jaskrawych barw”. Potrzebowała dużo czasu, żeby przyzwycząić się do tego malowidła. Albo szafka na akta zajmująca prawie całą szerokość ściany. Zasuwki składały się z wąskich pionowych srebrzycie połyskujących lamelek, które znikwały wewnątrz mebla, kiedy się go otwierało. Ile razy otwierała je i zamykała, wkładała i wyjmowała segregatory... Kiedyś...

Porzuciła wspomnienia, całą swą uwagę skupiając na biurku. Najpierw przejrzała pocztę, która nagromadziła się przez ostatnie dwa miesiące. Po odłożeniu na bok wszystkiego, o czym wiedziała, że nie jest ważne, zostały jej dwa listy. Jak się okazało, były to tylko ulotki reklamowe – jedna dotyczyła telefonii komórkowej, druga superkorzystnej oferty na pierwszą edycję srebrnych monet okolicznościowych.

Sibylle wysunęła środkową z trzech bocznych szuflad. Pod stertą dużych kopert było miejsce na jej oprawiony w czarną skórę terminarz. Zawsze go tam kładła, kiedy była w biurze, ale często też zostawiała go tam, udając się do domu. Rodzinne i prywatne sprawy notowała – tak jak i Hannes – na dużym kalendarzu ściennym wiszącym w ich kuchni.

Jednak kiedy podniosła brązowe koperty, zamarła. Terminarza nie było. Rzuciła koperty na blat i zapadła się w fotel.

Czyżbym wzięła go ze sobą na spotkanie z Elke tamtego feralnego wieczoru? Nie, na pewno nie. Wysunęła pozostałe szuflady. W górnej znalazła samoprzylepne bloki karteczek do notatek, opakowanie długopisów, kilka rolek taśmy klejącej i inne materiały biurowe, w większości jeszcze zafoliowane. Dolna szuflada była pusta, nie licząc... terminarza Sibylle.

Odetchnęła z ulgą, choć nie miała pojęcia, w jaki sposób terminarz się tam znalazł. Przecież nigdy go tam nie wkładała. Ta szuflada służyła jej do przechowywania jej ulubionych bułeczek z kruszonką, które co rano przynosiła z piekarni dla siebie i Braunsfelda. Do południa co chwilę otwierała ją, odgryzała kęs i odkładała z powrotem. Nigdy nie przyszłoby jej na myśl, żeby włożyć w to miejsce terminarz. Ale kto...? No tak, oczywiście. Policja! Musieli przeszukać biurko i przejrzeć terminarz, a może nawet pożyczyci go sobie i później oddali Braunsfeldowi, a ten włożył go do szuflady. Tak, to musiało tak być.

Położyła notes na blacie i przewróciła skórzaną okładkę. Na plastikowej zakładce wystającej mniej więcej pośrodku widniał napis Dzisiaj. Dłonie Sibylle zdrząły, kiedy otworzyła terminarz na zaznaczonej stronie, a puls przyspieszył znacznie, gdy przeczytała notatkę: Godz.20:00 Santorini, Elke.

Przerzuciła kilka kartek wstecz – do strony z datą cztery tygodnie wcześniej. Od tego miejsca odwracała kartkę za kartką, czytając każdy wpis.

17:00 – fryzjer.

Meisberg telefon – podpis polisy. Telefon kasa chorych.

16:30 zakupy z Elke.

Ta notatka była przekreślona, ale została wpisana na następny dzień. Sibylle przypomniawszy sobie, że Elke zadzwoniła do niej rano, oznajmiając płaczącym głosem, że podczas śniadania wypadła jej plomba i musi iść do dentysty.

Dokładnie pamiętała o wszystkich wydarzeniach kryjących się za wpisami, ale jednocześnie traciła nadzieję na odnalezienie czegoś, co mogłoby jej być może dalej pomóc w rozwiązaniu problemu.

Pralnia.

18:00 firma Welsch – pralka. Telefon Urząd Skarbowy.

15:15 Dr O. Kuss.

Dr O. Kuss? Podniosła głowę, wpatrując się w barwne malowidło na ścianie. O tym przypomniawszy sobie dopiero teraz... Doktor Olaf Kuss. Parę razy była w jego gabinecie z powodu bólu głowy. Za pierwszym razem zrobił jej wszystkie możliwe badania i zlecił serię nieco dziwnych testów. Sibylle zastanawiała się nawet, co mają wspólnego z bólami głowy. Na przykład świecił jej latarką w oczy, a ona musiała podążać wzrokiem za przesuwającym palcem wskazującym, nie poruszając przy tym głową. Musiała też wachać kawę instant, zatykając jednocześnie jedną dziurkę nosa, marszcząc czoło i nadymając policzki. Dwa razy wetknął jej szpatułkę tak głęboko do gardła, że prawie z wymiotowała. Na koniec zaczął wypytywać o aktywność jej dróg moczowych i jelit, co sprawiło, że poczuła się trochę niezręcznie.

Kiedy byłam u niego pierwszy raz? Przewertowała kalendarz wstecz, aż trafiła na notatkę z wtorku, 27 maja. W ten dzień miała pierwszą wizytę.

Po serii tych dziwacznych badań doktor Kuss skierował ją do kliniki uniwersyteckiej na tomografię komputerową. Ta jednak nie wykryła żadnych nieprawidłowości. Przy kolejnej wizycie, 10 czerwca, Kuss nie przeprowadzał żadnych testów, ale zadał jej serię dziwnych pytań. Chciał rzekomo wykluczyć ewentualne psychosomatyczne podłoże jej dolegliwości. Czy dobrze śpi? Czy często miewa sny? Jaki jest jej stosunek do męża?

Jej stosunek do męża... Hannes to dobry i wyrozumiały człowiek, odpowiedzialny i troskliwy. W ciągu całego ich małżeństwa nie było sytuacji, w której przejawiłby w stosunku do niej jakąkolwiek formę agresji.

Nie, Hannes na pewno nie był powodem jej bólu głowy.

„Ma pani dzieci?” Dzieci... Znów pojawił się ten ból. Jakby czekał w ukryciu na hasło wywoławcze. Sięgał po nią swymi szponami, chciał ją obezwładnić. Ale nie mogła sobie teraz na to pozwolić. Jak odpowiedziałam na to pytanie? Wspomnienie było prawie nieuchwytnie, ale czuła, że brakuje jej tylko małej części pamięci. Weź się w garść, Sibylle Aurich! Musisz sobie przypomnieć!

Jeszcze raz przywołała w pamięci tę sytuację, jeszcze raz ujrzała duży, nowoczesnie wyposażony pokój terapeutyczny wraz z aparatem do USG, stojącym obok leżanki. Ujrzała twarz lekarza – otoczoną wiankiem blond włosów. Patrzy na nią przez okulary bez oprawek.

„Czy ma pani dzieci?” „Nie”.

Tak brzmiała jej odpowiedź. Nie.

Po prostu.

Tylko jedno słowo, a dla mnie cały świat.

Łza upadła na kartkę jej terminarza. Jej zderzenie z papierem wydało się Sibylle niewyobrażalnie głośne. Patrzyła na wilgotne miejsce, które w ciągu paru sekund przybrało kształt ciemniejszej plamki.

Czytała wpis kilkakrotnie razy, dokładnie przyglądając się każdej literze. Doktor Kuss. Duże D z wydatnym brzuszkiem, K – z wyciągniętą ponad linię pisma górną pochyłą kreską.

Niewiele myśląc, otworzyła terminarz na stronie z adresami i telefonami. Pół minuty później czekała ze zniecierpliwieniem, aż ktoś na drugim końcu podniesie słuchawkę. Sygnał zabrzmiał co najmniej dziesięć razy i już chciała zrezygnować, kiedy usłyszała młody kobiecy głos:

– Gabinet doktora Olafa Kussa, przy telefonie Katrin Hengsberger, czym mogę służyć?

– Halo? Dzień dobry, nazywam się Sibylle Aurich... Czy mogłabym rozmawiać z doktorem Kussem?

– Niestety, teraz to niemożliwe, szef jest zajęty. Może ja mogłabym jakoś pani pomóc?

– Nie wiem, może... – Czego właściwie chcę się dowiedzieć? – Może mogłabym przyjść? To sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Dzisiaj? Niestety, to niemożliwe – odparła uprzejmie kobieta. – Po południu przyjmujemy tylko pacjentów z terminem.

– Bardzo panią proszę. – Sibylle próbowała wyrazić całą swoją desperację, ale Katrin Hengsberger najwyraźniej była nieczuła na błagania zdesperowanych pacjentów.

– Przykro mi. Mogę panią umówić na wizytę za tydzień, w czwartek o szesnastej.

– Nie, w takim razie dziękuję... – Sibylle odłożyła słuchawkę, czując, jak ponownie ogarnia ją poczucie zagubienia. Ale tym razem stawi mu czoła.

Chwyciła swój terminarz i wstała zza biurka. Mam wszystko przywrócić do pierwotnego stanu? Ale po co?

Kiedy zamknęła za sobą drzwi biurowca, Christian opuścił swoją pozycję obserwacyjną i podszedł do niej.

– Znalazłaś coś?

Sibylle podniosła terminarz.

– Niewiele. Parę razy odwiedziłam neurologa z powodu mocnych bólów głowy.

Całkiem o tym zapomniałam. Ostatnią wizytę miałam jakieś dwa tygodnie przed napadem.

Christian uniósł brwi.

– Nie widzę żadnego związku. U którego lekarza byłeś?

– U doktora Kussa, Olafa Kussa. Ma gabinet niedaleko galerii nad Dunajem.

– Hm... I co masz zamiar teraz zrobić?

– Zastanawiam się, czy powinnam z nim porozmawiać. Prawdopodobnie nie ma on żadnego związku z całą tą sprawą, ale... Jak myślisz? – Christian milczał, głęboko zamyślony.

– Powiedz, jak to było z twoją siostrą? – spytała. – Czy może ona też nie była...

–...u tego doktora? Nie. Wiedziałbym o tym. Sibylle skinęła głową, lekko zawiedziona.

– Myślałam, że może to jakoś łączyłoby nasze historie. Ale mimo wszystko chciałabym z nim porozmawiać.

Ruszyła przed siebie zdecydowanym krokiem z zamiarem złapania taksówki. Po chwili dogonił ją Christian.

– Nie sądzisz, że to strata czasu, Sibylle? – zapytał poważnym, niemal ostrym tonem. – Jak myślisz, co istotnego powie ci ten cały doktor Kuss?

– Nam. Co powie nam – poprawiła go. – Niewykluczone, że mógłby jednak coś nam powiedzieć. Czy może nie interesuje cię już, co się stało z twoją siostrą?

– Oczywiście, że interesuje. – Ton Christiana złagodniał. – Ale właśnie dlatego zwracanie się do lekarza, który leczył cię kilka tygodni temu na ból głowy, nie wydaje mi się w tej sytuacji rozsądne. Liczy się każda godzina, jeśli chcę znaleźć Isabelle, zanim...

– Zanim zrobią z nią to samo, co ze mną. To chciałeś powiedzieć, prawda?

– Nie rozumiesz, że bardzo się o nią martwię?

– Rozumiem, ale...

Sibylle stanęła jak wryta, nie mogąc wydobyć z siebie ani jednej sylaby.

Przed nią – na wysokości oczu – przymocowany do słupa latarni, wisiał podniszczony nieco kolorowy plakat z opadającym prawym górnym rogiem. Była to reklama Circus Krone w Monachium, w którym 4 września 2008 roku miał odbyć się koncert Petera Maffaya. Poza starymi, znanymi już przebojami artysta miał zaprezentować swój nowy album zatytułowany *Wieżnie*.

4 września...

Nowy album...

Wieżnie.

Jestem twój.

Jeśli nie na zawsze, to przynajmniej wiecznie ani sekundy bez ciebie.

Jeśli nie na zawsze, to przynajmniej wiecznie bo przez ciebie żyję – wiecznie!

Stoję blisko zespołu, od Carla Carltona dzielą mnie tylko trzy metry. Kilka kroków dalej stoi Maffay z przewieszoną przez ramię gitarą akustyczną. Ubrany jest w białą koszulę, opadającą niedbale na dzinsy. Spod krótkich rękawów wystają wytatuowane ramiona. Nowy album jest bardzo rockowy – nastrój, oprawa koncertu zorganizowanego w stosunkowo małym cyrku są zbyt intymne jak na koncert Maffaya.

Dobrze być tak blisko... Dobrze czuć dreszcze wywołane tą atmosferą...

Nagle coś wyrwało ją stamtąd. Próbowwała się temu oprzeć, chciała trwać w tym przypiływie szczęścia, ale została nieubłaganie wciągnięta z powrotem w nierealny świat *Ratyzbony*.

– Sibylle! Sibylle, powiedz coś. Co się z tobą dzieje? Głos Christiana.

Spojrzała na niego, ale potrzebowała kilku sekund, żeby poukładać w głowie to, czego właśnie doświadczyła. W chwili kiedy miała wrażenie, że już jej się to udało, poczuła, jak

traci grunt pod nogami. Musiała przytrzymać się ramienia Christiana.

– Byłam... byłam tam – wykrztusiła w końcu. Christian spojrzął na nią, szczerze zdumiony.

– Gdzie „tam”?

Sibylle wskazała plakat, nie odrywając wzroku od Christiana.

– W Monachium, w Circus Krone, byłam... Christian, ja byłam na tym koncercie! Kiedy wypowiedziała to zdanie na głos, doznanie stało się jeszcze bardziej wyraźne.

Wspomnienie koncertu ścisnęło jej płuca niczym ogromny balast, wywołując przenikliwy ból.

Christian przyjrzał się dokładniej plakatowi.

– To niemożliwe, Sibylle – powiedział. – Zobacz, ten koncert odbył się czwartego września, czyli przeszło dwa tygodnie temu. Ciebie wprowadzono pod koniec lipca, a uciekłaś dopiero wczoraj.

– Wiem – powiedziała słabym głosem.

– No więc?

– Mimo wszystko byłam tam. Jestem tego absolutnie pewna. Christian machnął ręką.

– Prawdopodobnie byłaś kiedyś na jakimś koncercie Maffaya i teraz coś ci się pomieszało. Co w sumie mnie nie dziwi, biorąc pod uwagę bałagan, jaki panuje teraz w twoim umyśle.

Sibylle ze spokojem pokręciła głową.

– Nie. Maffay zaprezentował na tym koncercie swój nowy album pod tytułem Wiecznie. A on wszedł na rynek dopiero pod koniec sierpnia. Tak jest napisane na tym plakacie. – Christian nie spojrzął już na plakat, tylko znów lekceważąco machnął ręką. – Nigdy nie lubiłam Maffaya, a ostatnio co chwilę przypominam sobie teksty jego piosenek.

Christian popatrzył na nią badawczo.

– Może je też ci wszczepili, kto wie? – Opuścił głowę i westchnął głośno. – A więc dobrze. Ktokolwiek był na tym koncercie – przyjmijmy, że rzeczywiście byłaś to ty – co to miałoby znaczyć?

– Jeszcze nie wiem, ale jestem pewna, że byłam na tym koncercie i dobrze się na nim bawiłam. Rozumiesz? Nie tylko potrafię przypomnieć sobie wszystkie szczegóły koncertu, ale też wiem, że byłam na nim szczęśliwa, że śpiewałam razem z innymi.

– Byłaś tam sama?

Sibylle skupiła się, ale kiedy próbowała przywołać w pamięci osoby stojące obok niej, zobaczyła tylko pozbawione konturów jasne plamy.

– Nie wiem – przyznała w końcu. – Christian milczał, lecz mogła sobie wyobrazić, co w tej chwili myślał. – Dlaczego ktoś miałby mieć mnie wspomnieniami jakiegoś koncertu? Który w dodatku odbył się dwa tygodnie temu? Możesz mi to jakoś wyjaśnić? – Kiedy nadal nie odpowiadał, dodała: – Byłam tam, Christianie, i w końcu mam jakiś punkt zaczepienia; coś, od czego mogę zacząć poszukiwania ostatnich dwóch miesięcy mojego życia.

Wydawało jej się, że widzi w jego oczach powątpiewanie.

– Co masz na myśli?

– To, że muszę jechać do Monachium. – Miała nadzieję, że nie słyszy w jej głosie tego, jak bardzo sama boi się tego pomysłu. Po raz drugi tego dnia zapytała Christiana Rösslera: – Pojedziesz ze mną?

– Cały czas uważam, że to poroniony pomysł. – Sibylle nie zareagowała na te słowa. Wybrała w automacie dwa bilety na przejazd do dworca kolejowego. Przez ostatnie piętnaście minut, kiedy szli od biura Braunsfelda do stacji kolejki podmiejskiej w Prüfening na ulicy Zamkowej, Christian bezustannie usiłował dać jej do zrozumienia, że goni złudzenia. Sięgnęła do kieszeni i wydobyla z niej garść pomiętych banknotów. Wybrała jeden o mniejszym nominale, żeby zapłacić kwotę, która pojawiła się na wyświetlaczu. 2,80 euro za pięciominutową podróż. – Skąd masz tyle pieniędzy? – zapytał Christian zdumionym głosem.

– Z domu – odparła, nie pojmując jego zdziwienia. – To moje oszczędności. Czemu pytasz?

– Tak tylko... Zapomniałem, że byłeś w międzyczasie w domu. Musiałś przechowywać pieniądze w bezpiecznym miejscu, co?

– Zadajesz dziwne pytania – odparła, odwracając się z powrotem w stronę automatu, i wsunęła banknot w podajnik.

– Próbuję sobie to tylko wyobrazić: twój mąż mówi, że nie jest twoim mężem, i dodaje, że nie istnieje chłopiec, którego uznajesz za syna, a ty z zimną krwią przypominasz sobie o kryjówce i zabierasz z niej pieniądze? To... dość niesamowite!

– Nie wierzysz mi? – Podała mu bilet.

Christian uśmiechał się, zdaniem Sibylle – zbyt otwarcie.

– Ależ oczywiście, że ci wierzę. Sądzę tylko, że mimo tej... dość niezwykłej sytuacji wykazujesz dużo energii.

– Chodźmy już – rzuciła Sibylle, patrząc na wielki zegar wiszący nad podwójnymi drzwiami prowadzącymi na peron.

Na Dworzec Główny w Ratzbonie przybyli o godzinie 16:08, mając za sobą krótką jazdę kolejką, podczas której właściwie nie zamienili ze sobą słowa. Pięć minut później stanęli przy okienku informacji. Następny pociąg do Monachium, ekspres regionalny, miał odjechać z peronu dziewiątego o godzinie 16:38. Przyjazd do Monachium planowany był na 18:11.

Sibylle zapłaciła za dwa bilety i podała jeden Christianowi. – Muszę jeszcze pójść do toalety – powiedział, chowając bilet do kieszeni.

Sibylle dostrzegła skupisko żółtych plastikowych krzeseł. – Poczekam tam na ciebie.

Tylko jedno z sześciu krzesłek, to całkiem skrajne, było zajęte. Siedziała na nim dziewczynka, może czternastoletnia. U jej stóp leżał różowy plecak, żuła gumę i kiwała głową w takt muzyki płynącej z wetkniętych w uszy słuchawek.

Sibylle usiadła dwa miejsca dalej. Omiotła wzrokiem hol dworca. Jedni ludzie szli gdzieś pośpiesznie, inni stali, oglądając kolorowe witryny sklepów. Tak bardzo im zazdrościła. Mają swoje małe problemy, pomyślała. Denerwują się błahostkami, nie wiedząc nawet, co to znaczy wpaść w prawdziwe tarapaty.

Odwróciła się, słysząc krzyk dziecka. Młoda kobieta ciągnęła za sobą dużą, najwidoczniej ciężką walizkę, a drugą ręką trzymała krzyczącego chłopca, który raz po raz rzucał się na posadzkę, próbując uwolnić się od matczynego uścisku. Z ramienia kobiety co parę sekund zsuwała się ogromna torebka, którą ciągle poprawiała. Twarz chłopca była czerwona jak burak. W końcu zawisł na ręce matki, wierzgając stopami i uderzając nimi o podłogę.

Lukas nigdy się tak nie zachowywał...

W pierś Sibylle znów wbiło się niewidzialne ostrze. Lukas. Rozsądek podpowiadał jej, że Christian ma rację. Wszystko bez wyjątku przemawiało za tym, że dziecko zostało wszczepione w jej pamięć. Ale jej serce twierdziło, że ten mały człowiek istnieje – i w tej chwili potrzebuje jej pomocy.

Odrzuciła tę myśl, choć przyszło jej to z trudem, i rozejrzała się po holu.

Christiana nie było jeszcze widać. Duży zegar nad informacją pokazywał godzinę 16:31. Nie może przegapić tego pociągu, w żadnym razie.

Wstała z miejsca i ruszyła w kierunku tabliczki ze znaczkami WC. Christian stał obok wejścia do toalety i z poważną miną rozmawiał przez komórkę. Dostrzegł Sibylle, dopiero gdy znalazła się kilka kroków od niego. Wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienił.

– Później oddzwonię – rzucił pośpiesznie, rozłączył rozmowę i schował telefon do kieszeni.

– Pomyślałam, że sprawdzę, co się z tobą dzieje – powiedziała, nie starając się nawet ukryć swojego zdumienia. – Nie mówiłeś, że musisz jeszcze zadzwonić. Musimy już iść na peron. Pociąg zaraz odjeżdża. – Przyjrzała mu się uważnie. – Z kim tak właściwie rozmawiałeś?

– Ach, to... Musiałem tylko powiedzieć znajomemu, że wyjeżdżam do Monachium. Znajomy? Którego trzeba pilnie poinformować o nagłym wyjeździe? A zresztą...

– Chodź, musimy się pośpieszyć.

Dziesięć minut później siedzieli naprzeciwko siebie przy oknie w wagonie drugiej klasy, spoglądając na zewnątrz przez zabrudzoną szybę. Gdy pociąg ruszył, Sibylle spojrzała niepewnie na Christiana. Sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył, że na niego patrzy.

Czy naprawdę byłeś w toalecie, Christianie Rössler? A może potrzebowałeś wymówki, żeby porozmawiać z kimś za moimi plecami? Jeśli ten znajomy tyle dla ciebie znaczy, to dlaczego do tej pory o nim nie wspomniałeś? I dlaczego nie pomaga ci w poszukiwaniu twojej siostry?

– Bardzo ją kochasz? – zapytała nagle.

– Co? – Drgnął, jakby wyrwała go z zamyślenia.

– Czy bardzo kochasz swoją siostrę?

– Czy ją... Tak, oczywiście, że Kocham moja siostrę. Skąd to pytanie?

– Być może... naprawdę zwariowałam. Właściwie powinnam być z tego zadowolona,

ale... wiesz, cały czas rozmawiamy tylko o mnie. Idziesz tam, dokąd ja idę, zadajesz masę pytań, ale nie mówisz za dużo o Isabelle. A z tego co mówiłeś, może być w wielkim niebezpieczeństwie.

– Mam nadzieję, że... Jeśli ci pomogę, być może będę mógł w końcu odnaleźć Isabelle.

Sibylle spojrzała przez szybę na przesuwaną się coraz szybciej krajobraz. Pociąg nabrał prędkości.

– A co z waszą rodziną? – zapytała. – Pewnie jest jeszcze ktoś, kto się o nią martwi.

– Nie mamy rodziny – odparł Christian. – Nasi rodzice nie żyją, my sami nie założyliśmy własnych rodzin. Mamy tylko siebie.

– I twojego znajomego – dodała, nie podnosząc oczu. Nie odzywał się przez parę sekund.

– Tak – skwitował po chwili. – Ale on... nie jest nam na tyle bliski, żebym wciągał go w tę sprawę.

– Cóż, widocznie jest na tyle bliski, że musiałeś zadzwonić do niego z dworca.

– Tak, ale... To nic nie znaczy, jest po prostu znajomym.

Wyczuła w jego głosie rozdrażnienie.

Okłamujesz mnie, Christianie Rössler. Ale dlaczego?

– Jasne. To nic nie znaczy. – Sibylle przyłgnęła plecami do oparcia, zamknęła oczy i pomyślała o Monachium. Koncert, Maffay... Monachium... Klinika na prawym brzegu Izary, oddział ginekologiczny, doktor Blesius, Lukas... Co zrobię, kiedy już będziemy na miejscu? Otworzyła oczy. Jej towarzysz siedział spokojnie z zamkniętymi oczami, oddychał miarowo.

– Christian? – szepnęła.

Nie zareagował. Powtórzyła jego imię, tym razem nieco głośniej. Żadnej reakcji.

Przyjrzała mu się. Jego policzki pokrywał jednodniowy zarost. Włosy – ciemne, lekko kręcone przy karku – wystawały po obu stronach szyi. Obcisła koszulka pod rozpiętą koszulą uwydatniała jego umięśnioną klatkę piersiową i płaski brzuch. Z kieszeni na piersi wystawał lekko zaokrąglony czubek antenki telefonu komórkowego.

Ciało Sibylle naprężyło się instynktownie.

Wystarczyło tylko delikatnie wyciągnąć telefon z kieszeni i nacisnąć przycisk ponownego wybierania numeru. Wtedy dowie się, kim jest ów znajomy, z którym Christian rozmawiał na dworcu. I zobaczy listę innych wykonanych ostatnio połączeń.

A jeśli mnie zauważy?

Wtedy prawdopodobnie porządnie się zdenerwuje. I zarzuci jej brak zaufania. Tylko czy rzeczywiście mu ufam?

Pochyliła się i wyciągnęła rękę, powoli, coraz dalej, aż jej palce zatrzymały się kilka centymetrów przed koszulą Christiana. Delikatnie chwyciła antenkę i pociągnęła ostrożnie w górę. Przez cały ten czas bacznie obserwowała jego twarz. Już prawie wyciągnęła komórkę, gdy Christian stęknął cicho i lekko odwrócił się na bok. Niechcący dotknęła przy tym jego piersi. Wstrzymała oddech i zastygła w bezruchu na kilka sekund. Po chwili odetchnęła ostrożnie. Christian nic nie zauważył, spał dalej.

Miała szczęście – otwierany telefon nie miał blokady. Mały ekran rozbłysnął kolorową tapetą – zdjęciem czarnego porsche. W środku ktoś siedział – nie można było dostrzec wyraźnych rysów twarzy, ale Sibylle miała wrażenie, że to Christian. Pomyślała, że taka ekstrawagancja do niego nie pasuje.

Nacisnęła na klawisz z zieloną słuchawką i na wyświetlaczu pojawił się numer. Ostatni

raz rzuciła krótkie spojrzenie na Christiana, po czym ponownie nacisnęła klawisz i przyłożyła telefon do ucha.

Czuła, jak serce podskakuje jej do gardła, kiedy usłyszała sygnał. Za czwartym razem rozległ się męski głos:

– Martin Wittschorek.

Dłoń z telefonem opadła jej na kolana. Rozłączyła się.

Szybkie bicie serca przeszło w dziki łomot, ale już w następnym momencie ucichło zupełnie, kiedy usłyszała głos Christiana:

– I co? Wiesz już wszystko, co chciałaś wiedzieć?

Zaraz po wyjściu z biura Jane zaczęła się bardzo dziwnie zachowywać.

A kiedy Jane zachowywała się dziwnie, dla Hansa znaczyło to, że prawdopodobnie niedługo nadejdzie czas jego działania. Niedługo wkroczy do akcji, zmieniając tym samym zasadniczo niemal nieskończoną ilość zdarzeń.

Ten proces miał w sobie coś wielkiego, coś twórczego. Ale mimo wszystko kiedy o tym myślał, odczuwał niezwykły chaos. Co się z nim działo? Jak to możliwe, że nagle kwestionował rzeczy, które nigdy nie ulegały wątpliwości?

Kiedy jej towarzysz opuścił swoją pozycję i podszedł do niej, rozmawiali przez chwilę, a potem ruszyli, żeby po kilku metrach znów przystanąć przed kolorowym plakatem, który przykuł uwagę Jane. Wpatrywała się w niego osłupiała, podczas gdy tamten coś do niej mówił.

W końcu oderwała wzrok od afisza, na którym Hans ze swojego miejsca nie mógł rozpoznać żadnych szczegółów, chwyciła swego partnera za ramię i poszli dalej. Sprawiała wrażenie ogromnie poruszonej. Musiał się dowiedzieć, jaki był tego powód.

Po kilku krokach mógł odczytać pierwsze wyrazy wypełniające plakat wielkimi żółtymi literami. Im więcej zdołał przeczytać, tym bardziej był przekonany, że jego misja ostatecznie się wypełni. Zapamiętał sobie dokładnie wszystko i przeszedł jeszcze kawałek dalej, zanim – niby od niechcienia – rozejrzał się wkoło. Gdy zdecydował, że odległość jest bezpieczna, wyciągnął komórkę.

Doktor wysłuchał raportu, nie przerywając mu. Dopiero potem zaczął mówić, a z każdym zdaniem Hans czuł, jak wzrasta w nim niepokój.

Kiedy po zakończonej rozmowie schował telefon do kieszeni, kawałek dalej przed nim stała para, rozmawiając ze sobą.

Wzrok Hansa powędrował na drugą stronę ulicy, omiótł chodnik i budynki. Szukał ognistoczerwonych włosów. Ale nigdzie nie mógł ich znaleźć.

Miała wrażenie, że patrzą na siebie już kilka minut. Myśli w głowie Sibylle pędziły jak kolejka górską. Powoli jej wnętrze zaczęły zgniatać lodowate kleszcze, wyciskając z niej wszelkie czucie, aż miała wrażenie, że na zewnątrz wydostała się jedna czarna kropla – kwintesencja chaosu i rozpacz.

W końcu po jej policzkach popłynęły łzy. Nie był to spazmatyczny płacz, który rzuca człowiekiem, nie było to długie, żalosne zawodzenie będące wyrazem głębokiego smutku. Sibylle płakała cicho i spokojnie. Łzy spływały dwiema cienkimi strużkami do podbródka, gdzie łączyły się ze sobą, by po chwili wsiąknąć w tkaninę błękitnych dżinsów. Powoli, po cichu, wysysały energię z jej wiotczącego ciała.

Znajomy...

Komisarz Wittschorek.

Christian Rössler, człowiek, który tak długo mnie urabiał, aż uwierzyłam w to, co mówił.

Człowiek, który mnie okłamał.

Czy wszystko inne też było kłamstwem? Po raz pierwszy w życiu – w tym życiu, które istniało w jej pamięci – pomyślała, że jest jej już wszystko jedno. Może wybawieniem byłaby natychmiastowa śmierć? Tak po prostu, tutaj, na miejscu przy oknie w przedziale drugiej klasy regionalnego pociągu.

A potem nic już nie myślała, niczego więcej nie chciała. Głos w jej głowie nagle umilkł.

– Dlaczego mnie okłamywałeś?

Była pewna, że nie chciała wypowiedzieć tych słów.

– A ty? Dlaczego wykradłaś moją komórkę?

– Dlaczego mnie okłamywałeś? – powtórzyła ze stoickim spokojem, wyciągając rękę z jego telefonem.

Zabrał go z kamienną miną i schował do kieszeni. Sibylle wiedziała, że nie przestanie zadawać mu tego pytania. On swojego nie powtórzył. Tylko na nią patrzył.

– Niech będzie – powiedział po chwili. – Powiem ci wszystko, ale uprzedzam, że nie będzie to tak pasjonujące, jak zapewne sobie wyobrażasz.

– Dlaczego?

Miała wrażenie, że stoi obok i jest tylko obserwatorem tej rozmowy, że nie ma żadnego wpływu na wypowiedane słowa.

– Nie mam siostry, którą uprowadzono. To, co mówiłem ci o metodach tej organizacji, o tym, co z tobą robili, to... na razie tylko nasze przypuszczenia. Ale jest duże prawdopodobieństwo, że to prawda.

– „Nasze”? Kim jesteście? Kim ty jesteś?

– Nazywam się Christian Rössler, pracuję w Krajowym Urzędzie Kryminalnym, a wcześniej w policji kryminalnej w Ratzbonie. Martin Wittschorek to mój były kolega z pracy, a prywatnie przyjaciel. Poprosił mnie nieoficjalnie o pomoc, ponieważ sądzi, że te typy znowu spróbują cię zaatakować. A wtedy my dobierzemy się do nich. – Sibylle ponownie ujrzała przed sobą szpitalną piwnicę, ujrzała Grohego z dozorcą i Wittschorka, jak podnosi coś z podłogi. Zasnęta bryłka substancji, za pomocą której przyklejono kable do jej głowy. Jego wyraz twarzy, kiedy podjęła ucieczkę. Chyba dlatego pozwolił jej uciec. – Wittschorek wierzy ci, że nie miałś z tą sprawą nic wspólnego – kontynuował Christian. – Ale na nic mu się to nie zda, tobie zresztą też. Grohe uważa cię za patologicznego kłamcę. Nie wie nic o tym, że jestem teraz z tobą, i nie może się o tym dowiedzieć, inaczej wyrzuci Martina z komisji specjalnej, a ciebie odda do zakładu zamkniętego. Grohe to zwykła oferra i gdyby nie Martin, szanse na rozwiązanie tej sprawy byłyby niemal żadne. Ja jestem na urlopie i to, co teraz robię, jest nie tylko nieoficjalnym, ale wręcz niezgodnym z prawem działaniem, rozumiesz? Nie aresztowałem osoby pilnie poszukiwanej, chociaż miałem taką możliwość. Jeśli to się wyda, i ja, i Martin stracimy pracę. Dlatego otaczamy się taką tajemnicą.

– Osoby pilnie poszukiwanej? Macie nadzieję, że znów ktoś na mnie napadnie? Ty... wy... używacie mnie jako przynęty? – zapytała drżącym głosem Sibylle.

– Tak – odparł bez chwili wahania.

Jak gdyby to wszystko nie było wystarczająco absurdalne...

– Dlaczego miałabym uwierzyć w tę historijkę, Christianie Rössler?

– Bo to prawda. Jeśli chcesz, możesz zadzwonić później do Martina Wittschorka, a on potwierdzi to, co właśnie powiedziałem.

– A dlaczego mówisz mi to wszystko dopiero teraz?

– Właśnie próbuję ci to wyjaśnić. Nie byliśmy pewni, jak zareagujesz, kiedy dowiesz się, że działamy za plecami szefa komisji specjalnej. Jak już mówiłem, nie tylko mnie może to kosztować posadę.

Uczucie paraliżującego zwątpienia powoli ustępowało. Z każdym słowem Christiana wszystko stawało się dla niej coraz bardziej jasne.

Nagle – równocześnie – przypomniały się jej dwie sprawy.

– Widziałam cię już wcześniej. W tamtym szpitalu. Skąd wiedziałeś, że znów do niego pojedziemy?

– Nie wiedziałem – przyznał z niezmiennym spokojem. – Już wtedy, kiedy zadzwonił twój mąż, pojechałem z komendy za Martinem i jego kolegami. Martin miał mnie cały czas we wstecznym lusterku.

– A co z Rosemarie Wengler?

– Chcieliśmy ją odsunąć, żebyśmy mógł zająć miejsce przy twoim boku.

– To ona zadzwoniła, kiedy zawiozła mnie do Elke?

– Nie.

Nie ona, nie Rosie. Chwała Bogu...

Sibylle musiała przyznać, że parę rzeczy, które wcześniej wydały się jej dziwne, teraz zaczynało układać się w konkretny wzór. Ale wciąż nie wszystkie.

– Jeśli to nie Rosie zatelefonowała na policję, to kto?

– Ja. Zawsze byłem blisko ciebie. Śledziłem cię też w drodze do mieszkania twojej przyjaciółki. Zadzwoiłem do Martina i powiedziałem, gdzie jesteś. On wspomniał Grohemu o jakiejś anonimowej rozmówczyni i tym sposobem porzuciłaś towarzystwo Rosie i zaakceptowałaś mnie jako sojusznika.

– Czyli cała gadanina o tym, że Rosie jest w zмовie z tymi bandytami, była zwyczajnym kłamstwem?

Christian powoli pokręcił głową.

– Uważamy to za dziwny zbieg okoliczności, że zawsze pojawia się, gdy tylko potrzebujesz pomocy. Ale są też inne poszlaki przemawiające za tym, że ma z tą sprawą coś wspólnego.

– Ale Rosie przez cały czas była jedyną osobą, która wierzyła w to, co mówię! – Sibylle przestała nad sobą panować. – Nigdy nie podała w wątpliwość faktu, że mam syna! Chciała pomóc mi go odszukać i... – Spozrzęła, że wyraz twarzy Christiana się zmienił.

Spróbowała uspokoić emocje. – Myślisz, że właśnie to przemawia za tezą, że jest z nimi w zмовie, prawda?

– Bądź z sobą szczerą, Sibylle! Absolutnie wszystko przemawiało dotychczas przeciw twojej wersji zdarzeń, przeciw temu dziecku. I nagle pojawia się kobieta, którą znasz raptem kilka godzin i która nie tylko tak po prostu wierzy w to, co mówisz, ale ofiarowuje ci swoją pomoc w znalezieniu tego dziecka.

Sibylle zastanowiła się. Z jego punktu widzenia, z punktu widzenia policjanta, który wszystkimi możliwymi sposobami chce ująć przestępców, jest w tym sporo racji. Ale tak czy inaczej nie chciała z nim więcej rozmawiać na temat Rosie.

– A co z Hanesem? – zapytała. – I z Elke? Co sądzicie o nich?

– Nie ulega wątpliwości, że wyglądasz zupełnie inaczej niż Sibylle Aurich, którą można zobaczyć na wszystkich fotografiach pokazanych mi przez Martina. Po tych ludziach można się spodziewać, że poddali cię jakiejś operacji plastycznej z zastosowaniem nowej technologii, dzięki której efekty widoczne są już po dwóch miesiącach bez żadnych skutków ubocznych. Spróbuj spojrzeć na to wszystko z punktu widzenia swojego męża. Jego żona znika bez śladu, przez dwa miesiące nie wiadomo, czy żyje, nie ma też żadnych żądań okupu wskazujących na porwanie. Policja nie dysponuje żadnym, najmniejszym nawet punktem zaczepienia. Po tak długim czasie jego nadzieja na zobaczenie żony żywej powoli się rozmywa. Wszyscy liczą się z tym, że dokonano strasznej zbrodni i że Sibylle Aurich nie żyje. – Nie żyje... – I nagle pojawia się zupełnie obca kobieta, która wprawdzie pamięta wszystkie szczegóły z życia Sibylle, co do najdrobniejszego detalu, wygląda jednak zupełnie inaczej niż ona. W dodatku mówi o jakimś dziecku, którego Sibylle Aurich definitywnie nigdy nie miała. Jak zareagowałabyś na jego miejscu?

Sibylle skinęła głową, powoli i z namysłem.

– Rozumiem, co masz na myśli. Ale uważam, że to niemożliwe, by obca osoba w ciągu dwóch miesięcy poznała i zapamiętała każdy szczegół czyjegoś życia.

– Masz rację. Dokładnie... tak samo, jak niemożliwe jest, by w ciągu dwóch miesięcy od zajścia w ciążę urodzić dziecko.

– Mówiłeś, że komisarz Wittschorek mi wierzy. – Sibylle zignorowała jego uwagę. – Co on o mnie sądzi? Naprawdę wierzy, że jestem Sibylle Aurich?

Christian od razu skinął głową, jakby oczekiwał tego pytania.

– Chyba nadeszła chwila, kiedy muszę ci powiedzieć, dlaczego jestem przekonany, że nie byłeś na tym koncercie. Z tego samego powodu zresztą uważam za wariactwo to, że siedzimy właśnie w pociągu do Monachium. A więc... od jakiegoś czasu kilka razy zdarzało się, że różni ludzie znikali bez śladu, aby kilka dni później znów się pojawić i opowiadać niestworzone rzeczy. Najczęściej uparcie szukali czegoś, o czym, lub o kim, członkowie ich rodzin nic nie wiedzą. Raz jest to luksusowy samochód, innym razem jacht, drogie gadzety, na które tych osób prawdopodobnie nawet nie stać. Jeden młody człowiek na przykład zawzięcie poszukiwał ukradzionego porsche. Szybko spostrzegł, że coś nie gra, i przypominał sobie tylko o ludziach w białych kitlach, którzy przywiązali go do krzesła i coś mu wstrzyknęli. I o jakimś filmie, który tamci bez przerwy mu puszczały. W tym filmie było właśnie jakieś porsche. A więc cokolwiek aplikują swoim ofiarom, w tym przypadku dawka była zbyt mała. – Spojrzał Sibylle prosto w oczy. – Kilka godzin po tym, jak nam o tym opowiedział, był już martwy. Zamordowany. Znalezione go na brzegu Dunaju.

– Zamordowany? Bo... bo przypominał sobie parę faktów? Ale jak ktoś mógł tak szybko się o tym dowiedzieć? Musiał jeszcze komuś o tym wspomnieć.

– Niekoniecznie.

– Sądzisz, że to ktoś z policji...? – Twarz Rösslera była nieruchoma jak maska. – Czekaj... sądzisz, że to Grohe?

– Jeżeli chcesz wiedzieć, co sądzi Martin, to jest przekonany, że jesteś Sibylle Aurich – odparł wymijająco. – I że chodzi tutaj o jakąś efektowną manipulację genetyczną. I o masę pieniędzy. Pieniądzy, które służby specjalne niektórych państw chętnie wyłożyłyby na zakup tej metody, kiedy już zostanie ostatecznie dopracowana. Cóż, jeśli wpadnie ona w niepowołane ręce...

– Moim zdaniem już wpadła w niepowołane ręce – wtrąciła Sibylle.

– W każdym razie wygląda na to, że czas jej opracowywania dobiegł końca. Obawiamy się, że jesteś... że jesteś czymś w rodzaju ich majstersztyku. Tak doskonałej manipulacji jeszcze nie było. Jeśli mamy rację, to twoja ucieczka była przez nich zaplanowana, żeby zbadać działanie tej metody w realnym życiu. – Realne życie. Realne... – A teraz czas na tę część historii, która ci się nie spodoba. Czy mimo wszystko chcesz ją usłyszeć?

– Oczywiście, że chcę – odparła bez zastanowienia Sibylle. – Gorzej już być nie może. Christian westchnął głośno.

– A więc dobrze. Jesteśmy zdania, że Rosemarie Wengler wyznaczono na twojego... kontrolera. Dlatego i tylko dlatego pozwolono ci uciec.

Sibylle opadła w zagłębienie siedzenia. Czy to się nigdy nie skończy? Czy zawsze już po czymś dostatecznie okropnym następować będzie coś jeszcze gorszego?

– Rosie... – szepnęła. Rosie. A chwilę później: – Przepraszam, zaraz wracam.

Podniosła się z miejsca, rozglądając się za tabliczką wskazującą drogę do toalety.

Znalazła ją nad szklanymi drzwiami prowadzącymi na korytarz.

Idąc, miała wrażenie, że porusza się po pokładzie rozbujanego na falach statku. Na fotelu za Christianem siedział mężczyzna w nieokreślonym wieku; miał blond włosy i jasnoszare oczy, opalizujące chłodem niczym szklane paciorki.

Przez chwilę wydawało jej się, że już je gdzieś widziała.

Hans spojrział w oczy Jane, w napięciu oczekując jej reakcji. Znow była tak blisko; miał wrażenie, że przyciąga jego wzrok jakąś magiczną mocą.

Przez chwilę myślał, że przypomniała go sobie, ale wrażenie to zaraz minęło.

Odwróciła głowę i poszła dalej, prawdopodobnie do toalety.

Hans, skonsternowany, opadł na oparcie fotela. Nie chciał teraz rozmyślać o tym, co nieuchronnie się wydarzy. Zadawał sobie pytanie, jak rozwinie się sytuacja, kiedy już przybędą do Monachium. Nie potrafił pojąć, dlaczego Doktorowi zawsze udaje się podjąć właściwą decyzję co do następnego kroku. Ale nie to było zadaniem Hansa. Ogarnąć całą sytuację i podjąć właściwe decyzje – to zadanie oficerów. A jego oficer, Doktor, podjął decyzję, żeby pozwolić Jane na podróż do Monachium i zobaczyć, co będzie tam robić i czego się dowie.

Nie było łatwo podejść do niej przy dworcowej kasie tak blisko, żeby usłyszeć, dokąd jedzie. A teraz siedział rząd za Jane i jej towarzyszem i podsłuchiwał. Tylko w momentach kiedy inni pasażerowie zachowywali się głośno, miał kłopoty ze zrozumieniem ich rozmowy.

Za każdym razem, kiedy Jane coś mówiła, chłonał jej głos całym sobą. Rozczarowało go, kiedy nagle przerwała rozmowę i udała się do toalety.

Hans wstał i poszedł w przeciwnym kierunku. Chciał zobaczyć, kto jeszcze znajduje się wśród pasażerów. Kolejny rząd siedzeń minął ze wzrokiem nieruchomo wbitym przed siebie.

Sibylle siedziała na zamkniętej desce klozetowej. Zgarbiona, z łokciami wbitymi w kolana i twarzą skrytą w dłoniach, powoli wdychała własny ciepły oddech.

Tak bardzo chciałam uciec gdzieś, gdzie nikt mnie nie rozpozna i gdzie ja nikogo nie będę znać. Równe szanse dla wszystkich. Gdziekolwiek. Może właśnie Monachium? Może powinnam zostawić za sobą wszystko i zacząć życie od nowa? Od nowa? Poszukiwana przez policję, bez dowodu osobistego, nie wiedząc dokładnie, kim jestem i które z moich wspomnień są rzeczywistością, a które fikcją?

Bez dziecka?

Rozum wciąż podpowiadał jej, że Lukas nie istnieje. Nie w realnym świecie. Ale mimo wszystko jej rozdarte krzykiem serce wołało za nim. Jej umysł przepełniony był bólem, gorszym niż wszystko, co mogła sobie do tej pory wyobrazić. Ale ponieważ nie powstał w rzeczywistości, nie mógł też zniknąć z jej realnego życia.

Przez cały ten czas Christian ją okłamywał – policjant, który z jednej strony używał jej jako wabika, a z drugiej popełniał przestępstwo, jej pomagając.

Ostatecznie wołała Christiana Rösslera policjanta od Christiana Rösslera brata zaginionej siostry. Nawet jeśli działał nieoficjalnie, to w świadomości posiadania u boku policjanta będącego w stałym kontakcie z komisarzem Wittschorkiem było coś uspokajającego. Dobrze było też wiedzieć, że ten cały Wittschorek jej wierzy.

Trochę pewności, przynajmniej trochę. O ile Christian znów nie kłamał.

Stosunkowo łatwo mogła się o tym przekonać. Poprosi go o komórkę, zadzwoni do Wittschorka i po prostu zapyta.

Odsunęła dłonie od twarzy i wpatrzona w drzwi zmrużyła kilka razy oczy, aż ciemne smugi zniknęły z jej pola widzenia. Ale Rosie? Czy można aż tak się pomylić w ocenie człowieka? Zauważyła, że próbuje znaleźć dla niej jakieś usprawiedliwienie, chociaż prawdopodobnie Rosie oszukała ją w jeszcze większym stopniu aniżeli pozostali. Salon w jej domu, brakujące fotografie, dziwne reakcje, kiedy zapytałam o męża lub dzieci... Z bólem musiała przyznać, że bardzo ją polubiła.

Potrząsnęła głową i podniosła się. Umyła ręce nad niewielką umywalką i wytarła je o spodnie, ponieważ w podajniku nie było już papierowych ręczników.

Gdy wróciła na swoje miejsce, Christian, który do tej pory wbijał wzrok w szybę,

poruszył się gwałtownie.

– Jak tam? – zapytał z uśmiechem.

– Christian, dasz mi jeszcze raz twój telefon? – poprosiła.

– Jasne. Do kogo chcesz zadzwonić? Do Martina Wittschorka? – Podał jej komórkę. –

Musisz nacisnąć zielony przycisk. Ale to już chyba wiesz.

Sibylle nacisnęła przycisk, rzucając szybko wzrokiem na wyświetlacz, gdzie pojawiła się lista ostatnio wybranych numerów. Przy tym na samej górze widniała informacja: Dzisiaj, 17:04.

To ją zaskoczyło.

– Która jest teraz godzina? – zapytała, nie odrywając wzroku od telefonu.

– Zaraz będzie dziesięć po piątej – odparł, wciąż się uśmiechając, i uprzedzając jej kolejne pytanie, dodał: – Tak, zatelefonowałem do Martina, kiedy byłeś w toalecie. Powiedziałem mu, że znasz już prawdę. Chyba rozumiesz, że on musi o tym wiedzieć.

– Tak, tak... – odparła, nieco zmieszana. – Przepraszam.

– Nie ma sprawy. – Rössler machnął ręką z niewyraźnym uśmiechem na twarzy. Wittschorek zgłosił się po dwukrotnym sygnale.

– Halo – powiedziała dziwnie piskliwym głosem. – Mówi Sibylle Aurich.

– Halo, pani Aurich. Christian poinformował mnie już, że prawdopodobnie będzie pani chciała do mnie zadzwonić. Wszystko, co pani powiedział, to prawda. Jest przy pani na moją osobistą prośbę.

– Właściwie to już mu uwierzyłam, ale...

– Kto raz kłamie... Wiem – odparł. – Jednak proszę, żeby nie mówiła pani o tym nikomu. Sprawa jest całkowicie nieoficjalna i zarówno Christian, jak i ja moglibyśmy ponieść poważne konsekwencje, gdyby te informacje przypadkowo dotarły do odpowiednich osób.

– Rozumiem. Myślę, że nie musi się pan z tego powodu martwić. Z kim niby miałabym o tym rozmawiać? – Wittschorek nie odpowiedział. A ponieważ Sibylle też nie wiedziała, co ma jeszcze powiedzieć, na łączach zapadła niezręczna cisza. – W takim razie... to chyba wszystko – oznajmiła w końcu.

– Do usłyszenia, pani Aurich – powiedział Wittschorek i przerwał połączenie. Sibylle bez słowa oddała komórkę Christianowi i zamknęła oczy.

To chciałbym wiedzieć, czy śmiałość masz, by spojrzeć lękom prosto w twarz; Kiedy upadniesz, powstaniesz zdrów, by w dalszą drogę wyruszyć znów.

Koncert w Circus Krone. Czego ja w ogóle chcę... w obcym mieście gonić za majakami, za czymś, czego w ogóle nie znam, nawet nie wiem, czy to istnieje. Co właściwie powinnam...? Wszystko czarne.

Śnieżenie.

Nagle jej percepcja uległa zmianie. O ile dotychczas przez zamknięte oczy w miarę odczuwałaienne światło, o tyle teraz jasny blask usiłował przepalić skórę jej powiek. Wystraszona, otworzyła oczy, żeby ułamek sekundy później znowu je zamknąć przed nagłą, płonąca jasnością.

– Ścięło ją? – usłyszała tępy, męski głos.

– Zaczekajmy jeszcze parę minut. Potem zaczynamy. – Inny głos, tak samo tępy.

Znów spróbowała ostrożnie otworzyć oczy i tym razem nawet udało jej się nie zamknąć ich momentalnie. Albo przyzwyczała się do światła, albo nie było już tak jasno jak przedtem.

Chyba leżała, a właściwie spoczywała w pozycji półsiedzącej, jak na rozkładanym

krześle z głęboko odchylonym oparciem. Nieskończenie dużo pochylonych głów tworzyło okrąg, a wszystkie oczy spoglądały na nią. Usta wykręczone były w krzywych uśmieszkach, a z jednych oderwał się sople śliny i spadając, minął ją zaledwie o parę milimetrów. Wszystkie głowy nosiły zielone czepki, a kiedy przyjrzała się im dokładniej, stwierdziła, że na twarzach miały również zielone maski, podobne do tych, których używają lekarze podczas operacji. Jak więc mogła dostrzec uśmiech pod maską? I skąd ta spadająca ślina?

Kiedy zastanawiała się nad tym, głowy nagle zniknęły. Nie zniknęły stopniowo, nie zostały odciągnięte spoza pola widzenia, po prostu w ułamku sekundy nic po nich nie zostało. Zniknęła też lampa nad nią. Zapanowała ciemność.

I znów tępy głos: – Może przy tym zejdzie.

Wtedy coś przemknęło jej przez głowę, coś niezwykle jasnego i gorącego, wywołującego tak niewyobrażalny ból, że mogła to być tylko błyskawica. Sibylle była niemal pewna, że uderzył w nią piorun. Choć w otaczającej ją ciemności nie miała żadnego punktu odniesienia, poczuła, że wszystko wokół niej wiruje. Jak gdyby siedzisko fotela zostało wprowadzone w ruch obrotowy, coraz szybciej i szybciej. Czuła, że musi zwymiotować, i po prostu to zrobiła, zupełnie nie czując jednak tego, co wylało się jej z ust. Kilka tępych głosów przeistoczyło się w ciągłe tępe mamrotanie. Włączały się do niego coraz to nowe głosy, a dźwięk ten stawał się nie do zniesienia, wręcz sprawiał ból. Z tego chaosu po chwili wykrystalizował się jeden głos, przebijając się coraz jaśniej, coraz bardziej zrozumiale. Ktoś chwycił ją za ramiona. Ten głos wypowiadał jej imię, znów i znów, głośniejsze i głośniejsze. Nie mogła tego wytrzymać, z krzykiem otworzyła oczy... i ujrzała przed sobą zatroskaną twarz Christiana.

– Sibylle, wszystko w porządku?

– Tak... – Zdezorientowana rozejrzała się wkoło. Starsza kobieta siedząca po przeciwnej stronie przedziału wpatrywała się w nią bez zażenowania.

– Co ci się śniło?

To wszystko nie miało żadnego sensu, nie chciała o tym rozmawiać.

– Nie wiem dokładnie – odparła wymijająco. – Kilku ludzi, którzy chcieli coś ze mną zrobić... I jakiś jasny piorun, który we mnie uderzył.

– Możesz sobie przypomnieć coś jeszcze? Potrząsnęła głową.

– Nie, nic więcej nie przychodzi mi na myśl. Wiem... wiem tylko, że to było okropne. – Znów zerknęła w stronę kobiety, która nie odrywała od niej wzroku. – Czy ja... coś krzyczałam albo...?

– Tak – potwierdził Christian. – Najpierw zaczęłaś wzdychać, a potem, kiedy cię obudziłem, wydałaś z siebie przeciągły krzyk. Chyba słyszał go sam maszynista.

Wykrzywił nieco usta i Sibylle też zdobyła się na słaby uśmiech.

Widok za szybą się nie zmienił. Rzędy drzew, gdzieniegdzie maszt wysokiego napięcia, gdzieniegdzie pasące się krowy.

– Jak długo spałam?

Christian spojrzał na zegarek.

– Czterdzieści pięć minut, mniej więcej.

– O... to znaczy, że za chwilę będziemy na miejscu.

Potarła dłonią czoło, stwierdzając ze zdziwieniem, że pokryte jest zimnym potem.

Christian pochylił się, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Wszystko okej?

– Tak, wszystko w porządku. Ostatni raz miałam koszmary chyba jako dziecko.

– Nic dziwnego, że masz złe sny, zważywszy, jakich okropności doznałeś w ciągu ostatnich dni.

– Tak, to prawda.

Mam tylko nadzieję, że nie przydarzy mi się już nic bardziej okropnego.

Pociąg zakończył jazdę naprzeciw kozła oporowego na jednym ze ślepych torów Dworca Głównego w Monachium. Zaraz za nim rozciągał się pas sklepów, kiosków, fast foodów i stoisk z napojami.

Sibylle i Christian skierowali się w stronę wyjścia, przechodząc obok strefy dla palaczy – wymalowanego na ziemi żółtego kręgu o średnicy czterech, pięciu metrów z wysokim stołem pośrodku, w którego blat zagłębiała się ogromna popielniczka.

Kiedy Sibylle ujrzała ludzi stojących wokół popielniczki i zachłannie wciągających dym, odczuła nagłą potrzebę dołączenia do nich. Stała wpatrzona w grupę palaczy.

– Co się stało? – zapytał Christian, który minął ją już o kilka metrów i teraz zawrócił.

– Palę...

– Co?

– Mam na myśli to, że... jestem dość... nałogowym palaczem – powiedziała, znów kierując wzrok w stronę popielniczki.

Christian potrząsnął głową i chwycił ją za ramię.

– To głupi nawyk. Chodź.

Otrząsnęła się, uwalniając z jego chwyty.

– Wiem, ale nie o to chodzi. Od wczorajszego ranka nie przyszło mi na myśl, żeby zapalić. Teraz też – wiem, że palę papierosy, ale sądzę, że przy pierwszym zaciągnięciu się musiałabym zwymiotować. Odczuwam wielki wstręt, czy to nie dziwne?

Christian machnął ręką.

– To, że odczuwasz wstręt do papierosów, nie jest dziwne, raczej normalne. Możemy iść dalej? Jest już prawie wpół do siódmej, najlepiej będzie, jak znajdziemy jakiś hotel.

– Nie, najpierw muszę pójść do Circus Krone – odparła z uporem. – Muszę koniecznie zdobyć listę uczestników tamtego koncertu. Potem zobaczymy.

– Sibylle, nie chciałbym cię zniechęcać – powiedział Christian, gdy skierowali się do jednego z bocznych wejść – ale nie sądzę, żeby udało ci się zdobyć taką listę.

– Mimo wszystko spróbuję.

– Skąd niby organizatorzy mieliby posiadać taki wykaz? Nawet kiedy zamawia się bilety przez internet i trzeba podać imię, nazwisko i adres zamieszkania, dane te z całą pewnością nie są przekazywane organizatorowi koncertu.

Wiedziała, że ma rację.

Ale w jaki sposób sama zdobyłam bilet? Przez internet? Czy kiedykolwiek kupowałam coś przez internet?

Wyszli na zewnątrz. Cyfrowy wyświetlacz na słupie pokazywał na przemian godzinę i temperaturę powietrza. Było dwadzieścia jeden stopni, ale Sibylle już myślała o tym, że wieczorem w T-shirtcie i cienkiej bawełnianej bluzie na pewno zmarznie.

Po lewej stronie w oznaczonej strefie stał rząd taksówek. Kierowcy siedzieli najczęściej przy opuszczonych szybach, zajęci lekturą gazet lub książek. Niektórzy stali w grupkach na zewnątrz, rozmawiając i śmiejąc się.

Sibylle podeszła zdecydowanym krokiem do pierwszej z brzegu taksówki, otworzyła tylne drzwi i wsiadła do środka. Kierowca bez pośpiechu złożył swoje „Süddeutsche Zeitung” i odłożył na siedzenie pasażera, podczas gdy Christian usadowił się obok Sibylle.

– Do Circus Krone proszę – poleciała, jeszcze zanim kierowca zdążył zapytać o cel podróży. – Do Circus Krone? – Mężczyzna odwrócił się, patrząc na nią z uśmiechem. – To tylko niecały kilometr stąd, może dziesięć minut na piechotę. Naprawdę chce pani, żebyśmy tam zawiózł?

– Tak. Możemy jechać?

Kierowca wzruszył ramionami i odpalił silnik.

Po niecałych trzech minutach zatrzymali się tuż przed głównym wejściem do Circus Krone. Imponujących rozmiarów podcień, wsparty na niebieskich kolumnach, rozciągał się nad wejściem. Z przodu dachu umieszczono wyłożoną czerwonymi literami na ukośnych metalowych podporach nazwę cyrku.

Sibylle dała taksówkarzowi banknot o nominale dziesięciu euro, a wysiadając, usłyszała, jak Christian prosi go, żeby zaczekał parę minut, ponieważ możliwe, że prędko wrócą i pojedą z nim dalej.

Sibylle stanęła i rozejrzała się. Oprócz nich pod zadaszeniem nie było nikogo.

Znała to miejsce. Wiedziała nawet, jak wygląda ten teren, kiedy jest wypełniony oczekującymi w kolejce do kasy ludźmi. Doświadczyła tłoku przed koncertem, zanim otwarte zostały dwuskrzydłowe drzwi wejściowe. Ale jednocześnie miała wrażenie, że to miejsce jest jej zupełnie obce, jakby stała tam po raz pierwszy.

Drgnęła, czując lekki dotyk ręki. Christian stał obok i patrzył na nią wyczekująco.

Drzwi były zamknięte, a ciemność za nimi wskazywała na to, że raczej nikogo tu nie zastaną. Mimo to Sibylle podeszła do wejścia i pociągnęła za duży ukośny uchwyt. Drzwi ani drgnęły.

– Popatrz tutaj. – Christian wskazał umieszczoną obok wejścia – na wysokości oczu – wywieszkę. Informowała ona, że podczas wyjazdu cyrku, od kwietnia do listopada, budynek otwarty będzie codziennie od 10:00 do 17:00 oraz w te wieczory, w które odbywają się imprezy kulturalne.

Sibylle nie mogła pogodzić się z tym, że tego dnia nic więcej nie załatwi. Otwartą dłonią uderzyła parę razy w szybę i zawołała głośno:

– Hej, jest tam ktoś?!

Christian odszedł kilka metrów od wejścia. Po jakimś czasie Sibylle pojęła, że dalsze dobijanie się nie ma sensu. Już miała zamiar się odwrócić, kiedy za szybą rozbłysło światło. Po kilku sekundach pojawiła się wysoka, chuda postać starej kobiety z fioletową ondulacją na głowie.

– Co ma znaczyć ten hałas? – spytała, patrząc ponuro na nieproszonego gościa.

Sibylle z wrażenia ledwo złapała oddech.

– Ja... muszę... koniecznie z panią porozmawiać. – Wypowiedziała te słowa chyba zbyt cicho, bo kobieta patrzyła na nią zdezorientowana. – Muszę z panią porozmawiać – powtórzyła znacznie głośniej. – To bardzo ważne.

Fioletowa głowa poruszyła się powoli w lewo i prawo.

– Jutro rano od dziesiątej – Sibylle usłyszała stłumiony przez szybę głos.

– Nie, niech pani posłucha! – Nie dawała za wygraną. – To naprawdę bardzo ważne!

Chodzi o... Mój syn zniknął i potrzebuję pani pomocy.

Ostatnie słowa powiedziała już tak głośno, że prawdopodobnie można było je usłyszeć, stojąc sto metrów dalej. Bezradnie oparła czoło o szybę i patrzyła na kobietę błagalnym wzrokiem. Czuła, że po policzkach znów spływają jej łzy.

– Ależ co ty opowiadasz? – usłyszała obok głos Christiana. – Czy naprawdę ciągle jeszcze sądzisz... – Przerwał, kiedy usłyszał dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

Sibylle cofnęła się o krok, czekając, aż drzwi się otworzą. – Co pani mówi? – mruknęła starszuszka, marszcząc i tak mocno pomarszczone już czoło. Między fałdami skóry pojawiły się głębokie bruzdy.

– Dziękuję pani! – Sibylle szybko otarła łzy. – Potrzebna jest mi lista widzów z koncertu Maffaya, tego sprzed dwóch tygodni. To bardzo pilne. – Kobieta spojrzała na Sibylle, jakby była przybyszem z obcej planety. – Chodzi o mojego syna Lukasa. Zniknął bez śladu, a ta lista być może mogłaby mi pomóc go odnaleźć. Rozumie pani, jakie to dla mnie ważne?

Wzrok kobiety powędrował w kierunku Christiana, który patrzył na starszą kobietę z kamienną twarzą, po czym ponownie spoczął na Sibylle.

– Lista z nazwiskami? Widzów na koncercie? A skąd niby miałabym mieć te nazwiska? Nie ma tu nic takiego – powiedziała stanowczo, potrząsając swoimi fioletowymi lokami. Potem z wymownym prychnięciem odwróciła się i zamknęła drzwi od środka.

Sibylle czuła, że załamuje się wewnątrz. Jej nadzieja, i tak już słaba i delikatna, tyle razy wystawiona na próbę, po raz kolejny rozsypała się jak domek z kart.

Odwróciła się do Christiana i bez słowa wtuliła twarz w jego ramiona. Nie było w tej chwili ani jednej rzeczy, którą byłaby zdolna uczynić. Nic, w czym mogłaby jeszcze pokładać nadzieję.

Po prostu nic. Zamknęła oczy.

Była zmęczona. Potwornie zmęczona.

Poczuła, jak Christian delikatnie głaszcze ją po włosach. Odsunęła się nieco.

– Poszukajmy jakiegoś hotelu – powiedziała słabym głosem. – Chciałabym się położyć.

Chcę zasnąć.

Kiedy wsiedli do czekającej na nich taksówki, Christian wspomniął coś o hotelu, ale świadomość Sibylle odnotowała to jakby na marginesie. Znów zamknęła oczy i pogрузzyła się w pustkę.

– Jutro wracamy do Ratyzbony i odwiedzimy twojego męża. Jestem pewien, że jakoś powoli to wszystko wyjaśnimy. – Christian obdarował ją pełnym spokojnej pewności uśmiechem, ale widziała, że nawet on już w to nie wierzył.

– Tak – skłamała.

Była pewna, że Monachium odgrywa jakąś ważną rolę w tej sprawie i że nie powinna jeszcze opuszczać tego miasta, ale nie powiedziała mu o tym. Najpierw musi się wyspać.

Hotel, przed którym wysadził ich taksówkarz, sprawiał wrażenie porządnego. Kiedy stanęli przed dość dużą recepcją, Sibylle pozwoliła Christianowi załatwić formalności.

– Dobry wieczór. – Christian uśmiechnął się do ładnej dziewczyny po drugiej stronie wysokiego blatu. – Musimy nieoczekiwanie zostać na jedną noc w Monachium i szukamy podwójnego pokoju. Znalazłoby się coś u państwa?

W jednej sekundzie Sibylle ocknęła się.

– Przepraszam, ale chcemy dwa oddzielne pokoje – rzuciła stanowczo.

Na gładkiej twarzy recepcjonistki pojawiło się zdumienie, ale zaraz przywołała się do porządku i posłała im profesjonalny uśmiech.

– Ależ oczywiście – odrzekła. – Chwileczkę, zaraz poszukam. – Smukłe, wypielęgnowane palce, z polakierowanymi na czerwono paznokciami szybko stuknęły w klawiaturę. – Są jeszcze dwa wolne pokoje jednoosobowe. Znajdują się co prawda na tym samym piętrze, ale nie obok siebie.

– To bez znaczenia, bierzemy je – oznajmiła Sibylle. Christian bez słowa cofnął się o krok.

– Proszę wypełnić formularz – odparła kobieta, przesuając po blacie arkusz papieru i długopis.

Sibylle zaczęła wypełniać blankiet, celowo pomijając pole na numer dowodu osobistego. Christiana podała jako współtowarzysza. Miała nadzieję, że to wystarczy.

– Płacę z góry – powiedziała i nie czekając na reakcję Christiana, uregulowała należność, zostawiając recepcjonistce sowity napiwek.

Dziesięć minut później z ciężkim westchnieniem opadła na łóżko w swoim pokoju. Czując, jak ogarnia ją ogromne zmęczenie, które niechybnie zaraz poprowadzi ją prosto w objęcia Morfeusza.

Jeszcze się opierała, ponieważ obiecała Christianowi, że zajrzy do niego na chwilę przed pójściem spać. Kiedy senność nie dawała za wygraną, na siłę otworzyła oczy i podniosła się.

Przestronny pokój był jasny i przytulny. Pomarańczowożółte zasłony w oknach i utrzymane w pastelowym odcieniu ściany tworzyły letni, niemal śródziemnomorski klimat.

Sibylle znów westchnęła i stanęła na nogi.

W łazience rzuciła okiem w lustro i ze strachem stwierdziła, że sama sobie wydaje się zupełnie obca. Jej blada, pozbawiona makijażu twarz wyglądała, jakby Sibylle nie spała od kilku dni. Matowe włosy zwisały w beładzie niczym zbyt cienkie spaghetti. Miała wrażenie, że nawet na szyi pojawiły się zmarszczki, których wcześniej na pewno tam nie było.

Odkręciła zimną wodę, pochyliła się nad umywalką i ochlapała twarz. To trochę ją orzeźwiło, przynajmniej na chwilę.

Minęło kilka sekund, zanim Christian usłyszał jej pukanie i otworzył drzwi. Może też był w łazience? A może znów rozmawiał z kimś przez telefon?

– Wejdz – powiedział, usuwając się w bok.

Przekroczyła próg i znalazła się w pokoju tak samo przestronnym jak ten jej. Usiadła na fotelu, ustawionym ukośnie między łóżkiem a oknem.

– Zostaję w Monachium – oznajmiła bez zbędnych wstępów, kiedy Christian zajął miejsce na krawędzi łóżka nie więcej niż pół metra od niej.

– Ale dlaczego?

– Nie mogę odpowiedzieć ci na to pytanie, bo... sama tego nie wiem. To jakieś przecucie. Jestem przekonana, że tutaj, w Monachium, najszybciej uda mi się dowiedzieć, co

się ze mną naprawdę stało.

Christian nachylił się, opierając łokcie na kolanach.

– A czego chcesz szukać? I gdzie? Przecież to nienormalne.

– Tak myślisz? Tak samo nienormalne jak to, że wszczepiono w moją świadomość dziecko, które nie istnieje? Że mój własny mąż sprowadza na mnie policję? Że jeden z policjantów wierzy mi, choć w ogóle się nie znamy, i na własną rękę prowadzi dochodzenie? Czy jest to bardziej nienormalne niż dziwaczna starsza kobieta współpracująca z tajnymi służbami, która próbuje mi wmówić, że chce pomóc mi odnaleźć syna? Syna, którego nie mam? Naprawdę sądzisz, że moja decyzja o zostaniu w tym mieście jest bardziej nienormalna niż wszystkie te rzeczy razem wzięte? Tak sądzisz?!

Christian się wyprostował.

– A gdzie chciałabyś zacząć poszukiwania? Wzruszyła ramionami.

– Jeszcze nie wiem, ale jestem pewna, że byłam na tym koncercie w Circus Krone. A to oznaczałoby, że nie mogłam przeleżeć dwóch ostatnich miesięcy w tej przeklętej piwnicy ani gdziekolwiek indziej, rozumiesz?

– Skąd pewność, że jutro będziesz pamiętała o czymś, o czym dziś nie możesz sobie przypomnieć?

– Co z plakatem w Ratzbonie? Dopiero gdy go ujrzałam, przypomniało mi się, że w ogóle byłam na tym koncercie.

Christian opuścił ramiona i zaczął uciskać czoło prawą dłonią.

– Niech ci będzie. – Popatrzył na Sibylle. – Nie zostawię cię samej. A więc zostajemy.

– Dziękuję.

– Już dobrze. Chcesz czegoś się napić? Barek jest pełny.

– Chętnie.

Sibylle patrzyła, jak wydobywa z hotelowej lodówki małe butelki i puszki z coca-cola.

Przelał ich zawartość do dwóch szklanek i podał jej jedną.

– Co to jest? – zapytała, czując zapach mocnego alkoholu.

– Cola i trochę koniaku.

Sibylle nie przepadała za alkoholem. Wykrzywiła twarz i oddała szklankę Christianowi.

– Dziękuję. Wolałabym raczej wodę albo sok.

Położył rękę na szklance, przesuwając ją w jej stronę.

– Powinnaś się napić. To tylko łyk koniaku. Pomoże ci przespać spokojnie parę godzin.

Na pewno czeka nas kolejny ciężki dzień. Potrzebujesz snu. Pij.

Sibylle spojrzała na brązowożłoty płyn, próbując przypomnieć sobie, kiedy ostatnio piła alkohol. Wieczór u Greka, z Elke... Ouzo na koszt firmy.

Śnieżenie.

Christian cały czas trzymał drinka w dłoni, kiwając zachęcająco głową.

– Niech ci będzie – uległa. Jeśli się napije, ogarnie ją senność, a parę godzin porządnego snu na pewno dobrze jej zrobi.

Uśmiechnął się i podniósł swoje naczynie.

– Za nasz sukces. Żebyśmy znaleźli jutro coś, co pozwoli nam poczynić następny krok.

– Sibylle przystawiła szklankę do ust i wzięła głęboki łyk. Ostry smak najpierw jej przeszkadzał, ale ciepło, które zostawiał po sobie alkohol w jej przełyku, było kojące. Miała jednak dziwne wrażenie, że ta mieszanka w efekcie pobudzi ją, zamiast uśpić.

Christian oparł swoją szklankę o udo.

– A więc co jeszcze pamiętasz z Monachium oprócz tego koncertu? Przypatrywała się drobnym bąbelkom, pękającym na powierzchni płynu.

– Nie wiem. Ale nie pozostaje mi nic innego, jak ruszyć w drogę. Być może przypomnę sobie coś, kiedy to zobaczę. Tak jak było z tym plakatem.

– Wiesz, co sędzę na temat tej historii z koncertem. Nie byłeś tam, to tylko imaginacja.

– Ja wiem, że byłam. – Wiedziała, że brzmi jak przekorna mała dziewczynka. Trzema wielkimi łykami opróżniła szklankę i wyciągnęła ją w stronę Christiana.

– Należysz mi jeszcze? – zapytała, choć pieczenie w gardle wyciskało z jej oczu łzy. – Tak dla pewności, że naprawdę mocno śpię i nie mam znowu halucynacji? – Christian nie dał się sprowokować, tylko przygotował dwa nowe drinki i bez słowa uniósł szklankę w górę. – Może rzeczywiście powinieneś wracać do Ratzbony? – zasugerowała. – I tak przecież wychodzisz z założenia, że wszystko to sobie wymyśliłam, że nie znajdę tu niczego, co mogłoby zainteresować policję – o, przepraszam, miałam na myśli: nieoficjalną część policji.

Podniosła szklankę do ust i opróżniła ją do połowy. Czuła, jak alkohol zaczyna działać, sprawiając, że jej myśli stają się lekkie, uwalniając ją z ciasnego gorsetu przymusowej racjonalności.

– Sibylle, mogę zrozumieć, że się rozczarowałaś...

– Nie sędzę, żebyś rozumiał – przerwała mu. – Może rozumiesz coś z tego, jak pozyskać do swoich celów ludzi znajdujących się w potrzebie. Ty i ten komisarz Wittschorek używacie mnie dla waszych idiotycznych policyjnych karier. I jak udowodniłeś, zupełnie nie interesuje cię to, co myślę albo czuję.

– To nie fair.

– Nie fair? I właśnie ty mi to mówisz? Jak bardzo fair jesteście w stosunku do mnie? – Jej głos stał się donośniejszy, ale było jej to obojętne. – Okłamujesz mnie bez mrugnięcia okiem, a kiedy nie reaguję, razem ze swoim przyjacielem komisarzem inscenizujesz fałszywą akcję policyjną. Kiedy w końcu uciekam, co oczywiście też było ustawione, prezentujesz mi wyciskającą łzy z oczu i od początku do końca nieprawdziwą opowiadkę o uprowadzonej siostrzyczce! I ty ośmielasz się oceniać, co jest fair? Dziękuję, ale nie skorzystam z takiej formy uczciwości, panie władzo.

Wściekła, gwałtownie podniosła się z fotela. Christian też wstał, ale kiedy chciała precyzyjnie się obok niego, złapał ją za rękę.

– Czekał, nie wychodź teraz. To nie jest tak, jak myślisz.

Chciała strząsnąć jego rękę, ale uścisk na ramieniu stał się mocniejszy, niemal bolesny. Zamachnęła się drugą ręką i jej otwarta dłoń z głośnym plaśnięciem wylądowała na jego policzku. Zaskoczony krzyknął, lecz zaraz chwycił ją za drugą rękę i przyciągnął do siebie szybkim ruchem.

Sibylle na chwilę straciła orientację. Poczowała, jak uderza ciałem o jego pierś, i już chciała krzyknąć, gdy poczuła jego usta na swoich. Wargi naciskały intensywnie na jej wargi, język wciskał się między jej zęby, gwałtownie i wymagająco. Zaciśnęła usta, próbując jednocześnie odepchnąć się od Christiana ramionami, ale trzymał ją tak mocno, że nie miała żadnej szansy. W końcu odchylił głowę do tyłu, niewiele, tyle żeby móc spojrzeć jej w oczy.

– Co to ma znaczyć? – zadyszała. – Zostaw mnie!

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – Uśmiechnął się łobuzersko, a za chwilę jego usta znów się zbliżyły, tym razem powoli, ostrożnie. Sibylle chciała się odsunąć, ale nie rozluźnił uchwytu. Miała wrażenie, że jest zaciśnięta w wielkim imadle.

Kiedy ich wargi znowu się spotkały, dała za wygraną i otworzyła usta, wpuszczając do środka jego język – zdecydowany, ale już nie tak natarczywy jak przedtem. Zamknęła oczy i na chwilę zniknęły wszystkie lęki, cała złość i rozpacz. Było tak, jakby ostatnie półtora dnia w ogóle nie istniało. Przez chwilę byli stopieni w jedną całość – bliskość obcego, ciepłego oddechu, głaszczącego jej twarz była tak silna, że w jej świadomości nie było już miejsca na żadną inną myśl.

Poczuła siłę jego ramion, trzymających ją niewzruszenie; wiedziała, że będą ją trzymać, kiedy pozwoli swemu ciału całkowicie się poddać, kiedy zaufa tym ramionom bez pamięci. Podczas gdy delikatne muskanie ich ust i języków przemieniło się w coraz szybszy, bardziej dziki taniec, dłoń Christiana przesunęła się pod jej koszulkę, gładziła jej brzuch, przemieszczając się coraz wyżej i wyżej. Palce prześlizgnęły się z miękkiej wypukłości aż po szczyt.

I nagle to gwałtowne, przyjemne uczucie ustąpiło miejsca jednej myśli... jednej wizji. Hannes...

Szarpnięciem odsunęła głowę, uwalniając się z objęć Christiana. Był tak zaskoczony, że nie zdołał jej powstrzymać.

– Nie – oznajmiła, łapiąc oddech. – Nie. Tak... nie wolno. Jestem... jestem zamężna. Popatrzył na nią z nieskrywanym zdumieniem.

– Chcesz przez resztę życia zrezygnować ze wszystkich jego smaków, bo masz wirtualnego męża?

Myślała, że się przesłyszała. Miała nadzieję, że się przesłyszała.

– Co ty powiedziałaś? Wirtualnego męża? Co masz na myśli?

Odwrócił się z westchnieniem, opierając ręce na biodrach.

– A co mam mieć na myśli? – zapytał, patrząc nieruchomo przed siebie. – Twój mąż nie chce cię znać, bo nie wyglądasz jak jego Sibylle. Zadzwoił na policję i chyba najchętniej widziałby cię w więzieniu albo w wariatkowie. – Znowu popatrzył na nią. – A ty czujesz się zobowiązana wobec tego typu? Podczas gdy tutaj jest ktoś, kto... kto chciałby cię mieć?

Już chciała mu wygarnąć, ale jego odpowiedź pozbawiła ją potrzebnej do krzyku energii.

– Więc tak to widzisz? – zapytała tylko.

Przeszła obok niego, licząc się z tym, że znowu będzie usiłował ją zatrzymać. Ale nie zrobił tego. Dopiero kiedy była już przy drzwiach, powiedział:

– Przykro mi, Sibylle. Czy mimo wszystko mogę jutro z tobą zostać?

Przez chwilę stała bez ruchu, a potem otarła łzy, które znowu potoczyły się po jej policzkach.

Była potwornie wyczerpana.

Hans zajął ostatni wolny pokój. Położony był dwa piętra wyżej niż pokoje Jane i jej towarzysza.

Młodej kobiecie w recepcji od razu wyłożył gotówkę za pokój. Mógł wyjaśnić, że wyjeżdża wcześniej rano i dlatego płaci z góry, ale nie lubił się tłumaczyć. Nikogo oprócz Doktora nie powinno obchodzić, dlaczego postępuje tak, a nie inaczej. Gdyby za każdym razem, kiedy ingerował w zdarzenia, musiał silić się na wyjaśnienia...

Siedział na krześle w swoim hotelowym pokoju z komórką przy uchu. Naprężony, wysłuchiwał instrukcji. Następnie zdjął buty i usiadł na łóżku. Podciągnął prawą nogę i wyjął ze skórzanej kabury przywiązanej do łydki bagnet Famas. Położył go na otwartej dłoni i przyjrzał się błyszczącej klindze, w której odbijało się światło lampy. Ten nóż towarzyszył mu już wiele lat. Także tam, w Sarajewie. Nawet wtedy, gdy wszystko się nad nim zapadło, nie wypuścił z dłoni swojej broni; dokładnie tak, jak im wkładano do głów.

Kiedy upadł, broń przekręciła się w ten sposób, że bagnet wbił mu się w lędźwie. Przez cały czas, kiedy był uwięziony w ciemnościach, tkwiła w nim klinga. Ta sama, którą na krótko przedtem zabił dwóch wrogów, teraz zraniła jego – na tyle poważnie, że od tamtego czasu jego ciało nie było zdolne do wypełniania podstawowych czynności związanych z obcowaniem z kobietami.

A ponieważ ta broń tak bardzo zmieniła jego życie, od tamtej chwili, kiedy musiał wkroczyć w życie innych, aby zmienić tok nadchodzących zdarzeń, używał tylko jej.

Nagle w jego rozmyślania wkradł się jeden obraz. Twarz Jane. Sprawiała wrażenie takiej... kruchej. Hans ujrzał ją wyraźnie, jak gdyby stała tuż przed nim. Widział jej miękkie włosy, jej czystą, porcelanową skórę.

Pomyślał o tym, że jest na dole z tym typem. Wzięli dwa pokoje, ale jeśli tamten...

Szukając zadziórów na swojej broni, przeciągnął płazem nad kłębem kciuka, a potem przesunął paznokciem po ostrzu. Ta metoda pozwalała na wykrycie najmniejszych nawet nierówności. Kiedy stwierdził, że klinga jest w idealnym stanie, wetknął bagnet z powrotem do skórzanej pochwy i położył się na plecach.

Następny dzień będzie ostatnim dniem eksperymentu na Jane Doe, tak powiedział Doktor. Z przebiegu wydarzeń wywnioskuje, jak będzie musiał zareagować.

Nie, Jane sama zdecyduje o tym, jak bardzo będzie musiał ingerować. Bo dla Doktora

staje się ona z każdym dniem coraz bardziej niebezpieczna.

Najpierw obudził ją jakiś odgłos, którego nie była stanie zidentyfikować. Po chwili znowu zmógł ją sen, ale budziła się co pół godziny, złana potem.

Kiedy poprzedniego wieczoru wróciła od Christiana, umyła tylko zęby i od razu położyła się do łóżka. Zasnęła w mgnieniu oka.

Teraz napełniła zimną wodą złożone w miseczkę dłonie i zanurzyła w niej twarz. Chłód miał orzeźwiające działanie, ale wciąż wyglądała okropnie. Ciemne worki pod oczami kontrastujące z bladą cerą nie tylko ją postarzały, lecz także sprawiały, że wyglądała na poważnie chorą. Poza tym strasznie bolała ją głowa, zapewne po wypitych drinkach. Sibylle ochlapała twarz jeszcze kilka razy, po czym wyszła z łazienki i ubrała się.

Podeszła do okna, odsunęła zasłonę i popatrzyła na zewnątrz. Nadchodząca jesień coraz bardziej rozleniwiała wschodzące słońce. Niebo było zachmurzone, a świt zalał fasady okolicznych budynków niezwykle, melancholijną poświatą. Widokowi temu brakowało pełnego kolorytu i wyraźnych konturów, wszystko stapiało się w masę szarych odcieni – jak w jakimś surrealistycznym filmie.

Ten obraz pasował do jej samopoczucia. Co teraz zamierzasz, Sibylle Aurich?

Mogła teraz tylko przemieszczać się po tym mieście w nadziei, że zobaczy coś, co wyzwoli w niej jakieś wspomnienie, tak jak plakat z koncertem Maffaya. Jakie było jednak prawdopodobieństwo, że coś takiego się wydarzy? Jakie było prawdopodobieństwo, że rzeczywiście była na tym koncercie? Nie była już tego tak pewna jak wczoraj.

Być może Christian miał rację. Być może musi wrócić do swojego codziennego otoczenia, do Ratzbony, żeby mieć jakąkolwiek szansę. Jeśli udałoby jej się nakłonić Christiana i Wittschorka, żeby przekonali Hannesa i Elke do jej tożsamości, to wtedy jej szanse by wzrosły.

A ja na łeb na szyję wybrałam się do Monachium... Boże, co za idiotyczny pomysł! Podjęła ostateczną decyzję. Christian na pewno przyjmie ją z ulgą.

Odeszła od okna i spojrzała na zegar – prawdopodobnie jeszcze spał.

Co ty sobie myślałeś wczoraj wieczorem? I kim naprawdę jesteś, Christianie Rössler?

Jej wzrok padł na mały telewizor umieszczony na przymocowanym do ściany wysięgniku. Pilot leżał na komodzie obok prospektów i hotelowego bloku z papierem listowym. Sibylle włączyła odbiornik i zaczęła przerzucać kanały. Zatrzymała się na regionalnych

wiadomościach z Monachium nadawanych w telewizji śniadaniowej. Z pilotem w dłoni przysiadła na łóżku, oparła się o wezgielowie i przykryła nogi kołdrą.

Spikerka informowała właśnie o pijanym mieszkańcu miasta, który wpadł pod nadjeżdżający pociąg metra i odniósł poważne obrażenia. Nie było wiadomo, czy dwudziestodzieciolatek pracownik sezonowy odwiedził Oktoberfest i świętował potem w innych lokalach. Miał dwa promile alkoholu we krwi, kiedy o piątej rano znaleziono go na stacji metra Fraunhoferstrasse.

Zmiana tematu.

W tle pojawiła się fotografia łysego jegomościa trzymającego w ręku mikrofon i wykrzywiającego twarz, jakby właśnie zjadł cytrynę. Spikerka przedstawiła go jako Michaela Stipe z zespołu R.E.M., który miał dać koncert w Hali Olimpijskiej i z okazji Oktoberfestu pojawił się na bis na scenie w ludowym stroju bawarskim.

Sibylle już chciała przełączyć, kiedy obraz na ekranie znów się zmienił. Teraz widać na nim było trzech roześmianych mężczyzn – dwaj z nich ubrani byli w białe kitle. Ten w środku miał czerwoną koszulkę polo, siwe włosy i uśmiech zwycięzcy.

Nad zdjęciem widniał napis: Przełom w badaniach mózgu.

Bez słowa opuściła pilota, słuchając uważnie słów spikerki, opowiadającej o sukcesie CerebMed Microsystems – producenta wysoko precyzyjnej aparatury medycznej, mającej zastosowanie w terapii zaburzeń psychicznych wywołanych traumatycznymi przeżyciami. Zespołowi naukowców pod kierownictwem profesora doktora Gerharda Haasa (w środku zdjęcia) udało się opracować nową metodę, za pomocą której można wyłączyć specjalne obszary pamięci. Naukowcy byli w stanie wyeliminować z pamięci poddawanej testom osoby wspomnienia z dzieciństwa – na przykład o wypadku samochodowym, w którym zginęli jej rodzice. Po terapii przeprowadzonej przez profesora doktora Haasa w Oddziale Neurologii Kliniki Uniwersyteckiej w Monachium według metody opracowanej przez CerebMed Microsystems pacjent po raz pierwszy od dwudziestu lat wypowiedział kilka słów i rokował nadzieję na polepszenie stanu zdrowia.

Następnie wyświetlono film, na którym stojąca przed szklanymi drzwiami reporterka informowała o tym, że naukowcy z założonego przez znanego neurologa profesora doktora Haasa przedsiębiorstwa od lat współpracują z Kliniką Uniwersytecką przy badaniu traum i metod ich leczenia. Nowa metoda jest wielkim sukcesem profesora i jego zespołu. Mówiąc najprościej, w metodzie tej zahamowane zostaje działanie pewnego enzymu odpowiedzialnego za pamięć długotrwałą. Za pomocą aparatu zaprojektowanego przez CerebMed, emitującego krótkie impulsy elektryczne, przerywane zostają połączenia synaptyczne w mózgu, przez co niemożliwe staje się wywołanie niepożądanych wspomnień.

W tle za dziennikarką w stronę wejścia do budynku raz po raz ktoś przechodził. Niektórzy spoglądali ciekawie w kamerę; pewien szczupły mężczyzna zdawał się patrzeć Sibylle prosto w oczy.

Zamarła.

Miała wrażenie, że jej serce również się zatrzymało.

Człowiek, który właśnie zniknął z pola widzenia, był... doktorem Muhlausem. Jak to możliwe?

W jednej chwili opuścił ją paraliż. Z walącym sercem ześlizgnęła się z łóżka. Pilot spadł z hałasem na podłogę, ale nie zważała na to. Jej dłonie drżały, tak że ledwo zdołała podnieść leżący na blacie ołówek. Gryzmołąc w pośpiechu, zanotowała na kartce: CerebMed, prof.

Haas i jeszcze raz szybko spojrziała na ekran. Reportaż się skończył i spikerka relacjonowała teraz wybory do Landtagu.

Przez moment stała, zastanawiając się, co robić dalej. Wybiegła na korytarz i pędem pokonała kilka metrów dzielących jej pokój od pokoju Christiana. Stała przed jego drzwiami i zaczęła uderzać w nie otwartą dłonią. Hałas odbijał się echem od ścian, ale było jej to obojętne.

W końcu... w końcu jakiś prawdziwy ślad!

– Christian?

Przyłożyła ucho do drzwi, ale z pokoju nie dobiegał żaden odgłos. Znów zaczęła łomotać, tym razem pięściami, ale otworzyły się jedynie drzwi od sąsiedniego pokoju. Wyrzwał z niego gruby mężczyzna w podkoszulku i spodniach od garnituru, z twarzą umazaną pianką do golenia.

– Co pani tu urządza? Może trochę ciszej? – zachrypiał. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zatrzasnął drzwi.

Sibylle była zdesperowana. Trudno, niech ten typ złoży skargę! Widziałam Muhlhausa. Christian musi się natychmiast obudzić.

Znów zaczęła dobijać się do pokoju, wołając jego imię. Kiedy nie dawał znaku życia, odwróciła się i zaczęła walić w drzwi obcasem. Liczyła się z tym, że lada moment z pokoju obok wybiegnie wściekły grubas. Jednak zanim to się stało, dostrzegła zbliżającą się od strony schodów kobietę. Była mniej więcej w wieku Sibylle, ubrana w zieloną spódnicę i białą bluzkę, prawdopodobnie należała do hotelowego personelu. Stała przed Sibylle, wpatrując się w nią pytającym wzrokiem.

– Przepraszam za ten hałas – Sibylle uprzedziła jej pytanie – ale obawiam się, że coś się stało z moim znajomym, panem Rösslerem. Czy mogłaby pani otworzyć jego pokój?

Kobieta zmarszczyła czoło, patrząc na drzwi, jakby była w stanie przejrzeć je na wylot.

– Nie może pani tak hałasować o tej porze. Niektórzy goście chcą jeszcze spać. Poza tym skąd przypuszczenie, że panu Rösslerowi mogłoby się coś przytrafić?

– Nie wstał jeszcze z łóżka.

– Po prostu mocno śpi – odparła kobieta niewzruszenie. O... cholera... cholera!

– Ale... on jest chory – skłamała na oczekaniu Sibylle. – Czasem dostaje... ataków. To bardzo niebezpieczne. Muszę sprawdzić, co z nim jest. Proszę...

Tym argumentem trafiła w dziesiątkę. Kobieta na chwilę otworzyła szeroko oczy, a potem skinęła głową.

– Proszę chwileczkę poczekać, dobrze? – rzuciła i odeszła szybkim krokiem.

Wróciła po chwili, niosąc klucz, do którego dołączona była plastikowa karta. Rzuciwszy Sibylle ostatnie pytające spojrzenie, otworzyła pokój i odsunęła się, robiąc jej przejście.

– Dziękuję – powiedziała Sibylle, bez wahania przekroczyła próg... i stanęła jak wryta. Pościel była rozrzucona w nieładzie, lecz łóżko było puste. Podeszła do łazienki. Za lekko uchylonymi drzwiami było ciemno.

– Christian? – zawołała i zapaliła światło. Gdzie mógł pójść tak wcześnie rano?

– Nie przypuszczała pani, że go tu nie zastanie? – zapytała pracownica hotelu.

– A czy postawiłabym pół hotelu na nogi, gdybym wychodziła z założenia, że nie ma go w pokoju? – Sibylle przyjrzała się bałaganowi na łóżku. – Może nie mógł spać i poszedł pospacerować? – zastanowiła się głośno.

– Może – odparła kobieta i dodała z lekkim ponagleniem: – Myślę, że możemy już stąd

wyść.

– Chętnie zaczekam tu na pana Rösslera – zaproponowała Sibylle.

– Niestety, to niemożliwe. Otworzyłam tylko dlatego, że powiedziała pani... To było coś w rodzaju nagłego przypadku. Chodźmy.

– Jeszcze chwileczkę, proszę. – Sibylle sięgnęła po długopis i napisała na kartce z hotelowego notesu:

Przyjdź do mnie, proszę, jak tylko wrócisz. Widziałam w telewizji człowieka, który mnie zamknął. Firma CerebMed Microsystems.

Sibylle

Gdy wróciła do swojego pokoju, zadzwoniła na policję kryminalną w Ratzbonie, prosząc o rozmowę z komisarzem Wittschorkiem. Okazało się jednak, że pojawi się na komisariacie dopiero między godziną ósmą a dziewiątą.

Przez następne pół godziny skakała z kanału na kanał w nadziei, że trafi jeszcze na jakiś materiał o CerebMed Microsystems.

Parę minut po wpół do ósmej sięgnęła do kieszeni, sprawdzając, czy znajdują się w niej jeszcze pomięte banknoty, wzięła klucz i wyszła z pokoju.

W recepcji siedziała kobieta, która otworzyła jej pokój Christiana. Była już bardziej przyjaźnie nastawiona.

– Czy pani znajomy wrócił? – spytała uprzejmie.

– Nie, jeszcze nie – odparła Sibylle. – Mogę zostawić dla niego wiadomość?

– Oczywiście.

Kiedy recepcjonistka otworzyła szufladę i wydobyla z niej blok notesowy, Sibylle zabrała ze stojącego na ladzie koszyka wizytówkę i wsunęła ją do kieszeni. Następnie wzięła blok, długopis i kopertę, które podała jej pracownica.

– Mam pytanie: Czy wie pani może, gdzie znajdę firmę CerebMed Microsystems?

– CerebMed? – Recepcjonistka zamyśliła się. – Hm, ta nazwa coś mi mówi. Chętnie znajdę dla pani adres.

– Myślę, że jest w Aubing, na ulicy Bodenseestrasse – te słowa wyszły z ust Sibylle jakby nieświadomie. – Proszę zamówić mi taksówkę.

Aubing? Bodenseestrasse? Niby skąd to wiesz? No tak, relacja w telewizji! Ale... przecież tam nie podano żadnego adresu...

Z westchnieniem przycisnęła długopis do kartki i napisała:

Christian, jestem w drodze do firmy CerebMed Microsoft w Aubing. Ten typ tam jest. Spróbuję później skontaktować się z Wittschorkiem. Proszę cię, jedź tam jak najszybciej.

Sibylle

Złożyła kartkę i wsunęła ją w kopertę. Po zaklejeniu wielkimi literami napisała na niej: „CHRISTIAN RÖSSLER” i podała kobiecie za pulpit.

– Taksówka będzie za dwie minuty – oznajmiła z uśmiechem recepcjonistka. – I ma pani rację, CerebMed ma siedzibę w Aubing.

Czekała na taksówkę tylko sześć minut, ale ten czas, czas, który dzielił ją być może od poznania prawdy, był jak cała wieczność.

Hans cieszył się, że znów jest sam. Nie lubił tych posiedzeń i konferencji, a w szczególności spotkań z nieprzyjemnymi typami, którzy sądzili, że mogą mu mówić, co ma robić. Ale Doktor powiedział, że musi współpracować z Robem, który tak naprawdę miał na imię Robert. Więc robił to, chociaż nie był w stanie go znieść.

O siódmej Rob stanął w progu jego pokoju, żeby zdać sprawozdanie z rzeczy, o których Hans albo już doskonale wiedział, albo wiedzieć nie musiał.

Chciał go zapytać, czy dobierał się do Jane, ale nie zrobił tego. Co by było, gdyby tamten potwierdził?

Teraz siedział pewnie w swoim pokoju i rozmawiał z Doktorem przez telefon. Hans nie mógł zrozumieć, dlaczego Doktor miał zaufanie do tego typu. Znał powód, ale zupełnie go nie rozumiał.

Spojrzał na swój zegarek. Za osiemnaście minut ósma. O ósmej miał zadzwonić do niego Doktor.

Znów ktoś zapukał do drzwi, tym razem jednak kilka razy – głośno i niecierpliwie.

Kiedy otworzył, znów stał przed nim Rob. Podał mu jakąś kartkę, a jego mina nie wróżyła nic dobrego.

– Była u mnie w pokoju – syknął. – Licho wie, jak udało jej się wejść. – Wyciągnął przed siebie dłoń z kartką z hotelowego notesu. – Przeczytaj. – Hans wziął papier i przyjrzał się odręcznie napisanym wyrazom: Przyjdź do mnie, proszę, jak tylko wrócisz. Widziałam w telewizji człowieka, który mnie zamknął. Firma CerebMed Microsystems. Sibylle. Kiedy znów podniósł głowę, Rob powiedział: – Nie ma jej w pokoju. Domyślam się, co teraz zamierza.

– Poinformowałeś Doktora? – zapytał spokojnie Hans, oddając mu kartkę.

– Tak. Zadzwoniłem do niego, kiedy tylko spostrzegłem, że nie ma jej u siebie. – Przesunął dłonią po długich włosach. Hans zauważył, że zwykle pozbawiony skrupułów Rob był dość zdenerwowany. Ale miał ku temu powód. Podczas gdy siedział tu u niego, Jane dała nogę.

– Jeśli ktoś ją rozpozna, będziemy mieli problem, Rob. Co powiedział Doktor?

– Mamy ją powstrzymać. Ty masz ją powstrzymać. Hans skinął głową.

Nadszedł czas.

Musieli przebić się przez śródmieście, co w godzinach szczytu było dość czasochłonnym przedsięwzięciem. Co chwilę przystawali na kilka minut, aby po stu, stu pięćdziesięciu metrach pokonanych w ślimaczym tempie znów się zatrzymać. Z każdą minutą Sibylle czuła się coraz bardziej zdenerwowana. Nie miała nawet komórki, żeby spróbować skontaktować się z Wittschorkiem. Pozostawała tylko nadzieja, że Christian w międzyczasie znalazł jej wiadomość. Chyba że...

– Przepraszam – zagadnęła taksówkarza – mam prośbę. Muszę pilnie zadzwonić do przyjaciela, a niestety zapomniałam swojej komórki. Mogłabym skorzystać z pana telefonu? Dam panu dziesięć euro.

Kierowca najpierw spojrzął w lusterko, zaskoczony, ale nominał był chyba przekonującym argumentem.

– Jasne. Jeśli to rozmowa na obszarze Niemiec i nie potrwa zbyt długo – odparł i podał jej komórkę przez ramię. Sibylle podziękowała i zaczęła szukać kartki z zanotowanym numerem telefonu.

Chwilę później oddała aparat, dołączając do niego pomięty banknot. Niestety komisarza Wittschorka ciągle jeszcze nie było w biurze.

Po prawie półgodzinnej jeździe taksówka skręciła wreszcie za granatową tablicą z napisem CerebMed Microsystems na firmowy parking. Sibylle zapłaciła i wysiadła. Jej serce od razu gwałtownie przyspieszyło.

Gmach firmy okazał się podłużnym, trzypiętrowym budynkiem, którego front – nie licząc kilku powierzchni ściennych – był w całości wykonany ze szkła. W pojedynczych oknach opuszczone były pomarańczowe i błękitne żaluzje.

Budynek można było uznać za imponujący, ale wzbudzał też pewien nieokreślony lęk. Do wejścia prowadziły duże szklane automatyczne drzwi, które Sibylle знаła już z telewizji. Rozsunęły się, na kształt ogromnego uśmiechu, i wypuściły na zewnątrz dwie kobiety, rozmawiające ze sobą żywo. Sibylle ogarnęło dziwne wrażenie, coś niepewnego prześlizgiwało się przez jej zmysły niczym strzępki rzadkiej mgły.

Tak jak wczoraj... jak – powrót do domu.

Niemal liczyła się z tym, że ktoś zaraz wyjdzie, ktoś, kogo dobrze zna.

Może Elke? A może nawet Hannes? Czy Hannes ma coś wspólnego z CerebMedem?

Głupstwa! Chyba naprawdę wariuję...

Odwróciła się i spojrzała na drugą stronę parkingu. Jej taksówka zniknęła właśnie za wjazdem. Miała ogromną nadzieję, że wkrótce nadjedzie druga – i będzie w niej siedział Christian. Może powinna na niego poczekać?

Ale skąd miała pewność, że w ogóle przybędzie?

Co się stanie, jeśli minie jeszcze parę godzin, zanim wróci do hotelu i przeczyta moją wiadomość? Nie. Nie, tak długo nie mogę czekać. Idę sama.

Rozległe foyer nie zrobiło na niej wrażenia. Chociaż z zewnątrz nie można było zauważyć, że ta licząca co najmniej dwieście metrów kwadratowych, wyłożona złocistożółtym marmurem powierzchnia sięga dachu, fakt ten przyjęła jako zupełnie oczywisty. Obydwa piętra przylegały do hallu galerią. Na wyłożonych boazerią ścianach umieszczony był nieskończony ciąg dużych lustrzanych płyt, które w miły dla oka sposób odbijały wpadające z góry światło dzienne. Boazeria przechodziła płynnie poniżej pierwszego piętra w wystrój ścian parteru, w które wstawione było dwoje drzwi.

Pięć–trzy–siedem–dziewięć–osiem, pomyślała, już w następnej chwili zadając sobie pytanie, czy rozum ostatecznie odmówił jej posłuszeństwa. Pięć–trzy–siedem–dziewięć–osiem?

Odwróciła się i zauważyła, że mężczyzna siedzący za ogromną ladą recepcji rozmawiał przez telefon, jednocześnie bacznie ją obserwując. Mógł mieć niespełna pięćdziesiąt lat, nosił białą koszulę i krawat w takim samym odcieniu błękitu, jaki widziała już wcześniej na tablicach CerebMedu. Blond włosy sterczały z jego głowy niczym krótkie kolce jeża.

Sposób, w jaki ją lustrował, nie miał nic wspólnego z uprzejmością. Raczej wyglądało to na taksowanie, co nieprzyjemnie ją dotknęło. Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę mężczyzny, siląc się na miły uśmiech. Już prawie była przy nim, kiedy odłożył słuchawkę. Teraz widziała dokładnie szczegóły jego twarzy. Spojrzał na nią wyczekująco.

A może tak, jakby nie był pewien, czy mnie zna – i czeka na znak, czy ja znam jego.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – zapytał z powściągliwą uprzejmością.

– Tak... być może. – Miała nadzieję, że nie zauważy jej napięcia. – Widziałam w telewizyjnym raporcie o CerebMedzie kogoś, kto jakiś czas temu udzielił mi pomocy, wybawiając mnie z głupiej sytuacji. Nigdy nie miałam okazji mu podziękować, chciałabym to nadrobić. Niestety nie znam jego nazwiska. Ma około pięćdziesięciu lat, czarne włosy i prawdopodobnie jest waszym pracownikiem. – Zastanowiła się chwilę. – Aha, i jest dosyć... szczupły.

– Hm – mruknął blondyn – to nie będzie łatwe. Tutaj pracuje dużo ludzi, a to mógł być także ktoś z odwiedza...

Urwał i omijając ją wzrokiem, spojrzał w stronę drzwi. Jeszcze zanim Sibylle zdążyła się obrócić, ktoś wykrzyknął jej nazwisko. Głos był znajomy. Gdy w końcu spojrzała w stronę wejścia, ujrzała Christiana. Szedł w jej kierunku szybkim krokiem.

– Dzięki Bogu! – zawołała z ulgą. – Tak się cieszę, że jesteś! Gdzie się podziewałeś przez cały ten czas?

Christian spojrzał parę razy to na nią, to na człowieka w recepcji, a następnie położył jej dłonie na ramionach.

– Chyba minęliśmy się o parę minut – powiedział. – Wyjdźmy na zewnątrz.

– Ale... – zaczęła, urwała jednak, widząc jego konspiracyjny wzrok.

– Przepraszam pana. – Christian skinął głową mężczyźnie i pociągnął Sibylle za sobą.

Musiała wziąć się w garść, żeby zachować spokój.

Gdy zbliżyli się do drzwi, od wejścia ruszyła ku nim jakaś kobieta. Kiedy ujrzała Sibylle, stanęła jak wryta.

– Danny? Danny, to ty?

Sibylle spojrzała na nią, zdezorientowana. Nie знаła jej. I nie miała pojęcia, dlaczego nazywa ją Danny.

– To jakaś pomyłka. Nazywam się Sibylle Aurich.

– Tak, musiała ją pani wziąć za kogoś innego – wtrącił niecierpliwie Christian, ponaglając Sibylle.

Sibylle zdążyła jeszcze posłać kobiecie wyrozumiałe spojrzenie, zanim opuściła z Christianem budynek firmy.

Gdy tylko drzwi zasunęły się za nimi, zaczęła zasypywać go lawiną słów.

– Gdzie byłeś dziś rano? Ten typ tutaj pracuje, jestem tego pewna. Rozpoznałam go w telewizji! Musimy tam wrócić. Dobrze, że jesteś, sama chyba nie dałabym rady. Powiadomiłeś już swojego koleżę? Próbowałam sama zadzwonić do niego z drogi, ale nie było go w biurze. Zadzwonisz teraz?

– Zaraz – rzucił krótko. – Przejdźmy się.

Podążyła za nim, najpierw przez parking, później wzdłuż skrzydła gmachu.

– Spacerujemy w jakimś celu? – zapytała w końcu, zniecierpliwiona.

– Chciałem zobaczyć, jak wygląda tył budynku – wyjaśnił. – Tak na wszelki wypadek.

Tył budynku? Z każdym kolejnym krokiem sytuacja wydawała jej się coraz dziwniejsza.

– Christian, możesz mi w końcu powiedzieć, gdzie byłeś rano?

W jednej chwili wyraz jego twarzy zmienił się w sposób, który zupełnie nie przypadł jej do gustu.

– Spotkałem się z kimś – powiedział, wykrzywiając usta w bezwstydnym grymasie. – Z kimś, kto w niedługim czasie rozwiąże wszystkie twoje problemy.

Nie zrozumiała nic z tego, co mówił, ale powoli narastał w niej dziwny lęk.

– Ale jak... To znaczy, kto ma rozwiązać moje problemy? I skąd...

– On był u mnie – przerwał jej głos za plecami, wprawiając jej ciało w drżenie. Odwróciła się i zamarła. Patrzyły na nią te same bezduszne oczy, które napędziły jej strachu w pociągu do Monachium. Stał nie więcej niż metr od niej i spoglądał jej w oczy z kamiennym wyrazem twarzy. Sibylle chciała krzyknąć, ale nie mogła otworzyć ust. Pragnienie ucieczki było intensywne, ale czuła się tak, jakby komunikacja między jej mózgiem a mięśniami została przerwana. Cienkie usta poruszyły się. – Dzień dobry, mam na imię Hans. Wejdziemy teraz do środka. Ktoś tam na ciebie czeka. Byłoby dobrze, gdybyś nie sprawiała żadnych trudności.

Dla podkreślenia swoich słów podniósł prawą dłoń. Oczom Sibylle ukazał się nóż ze straszliwie długą klingą. Zrobiła krok w tył, a uderzywszy o Christiana, odwróciła się gwałtownie.

Jego twarz wciąż wykrzywiał ten sam grymas.

– Christian... – wyrzuciła z siebie i dopiero w tym momencie uświadomiła sobie boleśnie, co oznacza ta sytuacja. – Ty? – Poczwała, jak uginają się pod nią nogi, ale było jej to już obojętne.

Podtrzymał ją, zanim zdążyła upaść. Ten okropny typ za nią coś powiedział, ale nie rozumiała go. To też było jej obojętne. Wszystko stało się jej obojętne. Jakby stała obok, zobaczyła, jak biorą ją między siebie, pod ramiona, i zaczynają gdzieś ciągnąć. Miała

wrażenie, że ogląda jakiś spektakl, że sama nie ma zupełnie nic wspólnego z tą sceną.

Po jakimś czasie zatrzymali się. Zamknęła oczy, ale jakaś ręka chwyciła ją za podbródek i podniosła głowę.

– Puszczamy cię teraz – oznajmił głos, który chyba należał do Christiana.

Otworzyła oczy i ujrzała jego twarz.

– Pocałowałeś mnie – powiedziała z wyrzutem. – Dwa razy... Dlaczego mi to robisz?

Jak możesz...

– Z przyjemnością zrobiłbym z tobą dużo więcej, gdybyś tylko nie była taka nieprzystępna.

– Mam męża... – powiedziała, jakby w ogóle musiała się usprawiedliwiać, w tej sytuacji i przed tym człowiekiem.

– Bzdury! – zaśmiał się brutalnie. Ciało Sibylle naprężyło się.

– Doktor czeka – wtrącił mężczyzna o martwych oczach, znów chwytając ją za ramię. Sibylle poczuła, że odzyskała siły, więc spróbowała się bronić, ale kiedy Christian nią szarpnął, dała za wygraną.

Skręcili za róg i szli kawałek wzdłuż tylnej ściany budynku. Przeszli przez jakąś bramę, szeroką na tyle, by przepuścić ciężarówkę, i zatrzymali się przed wąskimi drzwiami. Christian włożył klucz w zamek i znieruchomiał. Przyłgnął bliżej, mocując się z kluczem. Puścił go, a potem spróbował przekręcić jeszcze raz, ale drzwi nie dały się otworzyć.

– Co to ma znaczyć? – zapienił się, uderzając kilka razy w drzwi otwartą dłonią. – Co za idiota zostawił od wewnątrz klucz w zamku? Do jasnej cholery, gdzie oni wszyscy są?!

Spojrzał na człowieka z martwymi oczami.

– Musisz pójść z drugiej strony i otworzyć je od wewnątrz – powiedział tamten.

– Dlaczego ja? Ty idź, ja przez ten czas popilnuję Jane.

– Jane? – Sibylle czuła, że jest tak blisko obłędu, jak jeszcze nigdy dotąd. – Jaką Jane?

Nikt nie zwracał na nią uwagi.

– To ja ją popilnuję – warknął Christian. – Nie chcę, żeby znów niepostrzeżenie zrobiła sobie małą wycieczkę.

Podczas gdy jego głos stawał się coraz bardziej nerwowy, drugi mężczyzna ze stoickim spokojem odpowiedział:

– To ty byłeś z nią na korytarzu.

– Ale miałem ją tylko obserwować, podczas gdy ty byłeś odpowiedzialny za to, żeby żadne głupstwo nie przyszło jej na myśl, czy nie tak?!

Jego twarz stała się purpurowa. W pośpiechu sięgnął ręką za plecy i wydobył pistolet. Sibylle pisnęła, kiedy skierował lufę na jej brzuch.

Przez kilka sekund mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

– Wiesz, że jest potrzebna Doktorowi – odezwał się w końcu ten z martwymi oczami. – Jeśli coś jej zrobisz, zabiję cię. – Potem odwrócił się i odszedł.

Obydwoje stali nieruchomo, odprowadzając go wzrokiem. Kiedy zniknął za załomem, Sibylle spojrzała na Christiana. Na jego twarzy malowała się konsternacja. Najprawdopodobniej wziął słowa tego człowieka na poważnie.

– Dlaczego nazwał mnie Jane?

– No tak, Jane Doe. – Wyglądało na to, że Christian przyszedł do siebie, bo na jego ustach znów pojawił się ten wstrętny grymas. – Nie mów, że nie znasz tego nazwiska? W Ameryce nazywa się tak kobiece zwłoki, których nie można zidentyfikować.

Kobiece zwłoki. Sibylle czuła, jak znów wiotczeją jej kolana, ale nie zważała na to.

– Czy cokolwiek z tego, co mi mówiłeś, jest prawdą?

– Coś prawdziwego... poczekaj, niech się zastanowię... – Grymas nie zniknął z twarzy Christiana. – No cóż, to o rzeczach, które z tobą robiliśmy, mówiłem ci w wielkim uproszczeniu. Ale prawdą jest, że zmanipulowaliśmy twój mózg. Jak dokładnie...

Kątem oka Sibylle zauważyła cień, który nagle pojawił się za Christianem. Mężczyzna krzyknął, kiedy jakaś dłoń wyłoniła się z tyłu jego głowy i przycisnęła mu do karku nieokreślony przedmiot.

– Nie ruszaj się! – rozległ się przeszywający głos. – Strzelę, jak tylko drgniesz. Nie zrobi mi to żadnej różnicy, ty gnoju.

Znany głos... Sibylle nagle zrobiło się słabo. Zza Christiana wystawała tylko część ubrania i kawałek zielonej jedwabnej apaszki z wzorkiem...

Rosie!

Christian stał jak wryty, kiedy pokryta piegami dłoń przesunęła się i powoli odebrała mu broń, po czym wycelowała lufę w głowę mężczyzny. Po chwili zza jego ramienia wychynęły czerwone włosy; włosy, które Sibylle widziała w życiu tylko u jednej osoby.

– Rosie... – szepnęła. – Jak...?

– Naprawdę myślałaś, że zostawię cię na pastwę losu, dziecinko? – zapytała kobieta.

– Ale...

– Później. – Rosie machnęła ręką. – Najpierw powiedz, co z twoim chłopcem?

– Z moim... On nie istnieje – odparła Sibylle, czując, że do oczu napływają jej łzy.

– Co takiego? – Rosie otworzyła szerzej oczy. – Jesteś tego pewna? – Po krótkim wahaniu Sibylle skinęła głową. – Boże ty mój! Musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć. Ale najpierw chodźmy stąd, zanim wróci ten zombi. A tego pana – wskazała głową Christiana, którego wciąż trzymała na muszce – na wszelki wypadek weźmiemy ze sobą.

Obniżyła lufę pistoletu, wciskając ją w plecy mężczyzny. Po jego wykrzywionej z bólu twarzy Sibylle domyśliła się, że Rosie raczej nie sili się na delikatność.

– Zabierz tę broń, do jasnej cholery! – krzyknął. – Nie przejdziecie nawet kilometra!

Hans z przyjemnością poderżnie wam gardła.

– Wiesz, co mnie dziwi, gnoju? – odezwała się Rosie, zupełnie niewzruszona. – Że chociaż plujesz groźnymi słowami, trzęsiesz się jak galareta. A może ci zimno?

Sibylle obserwowała całą tę scenę, wciąż jeszcze nie mogąc dojść do siebie.

– Rosie, ja myślałam, że ty jesteś... O mój Boże, Rosie... tak mi przykro!

Starsza pani pokręciła głową, klepnęła Christiana w ramię i pokazała na skraj parkingu, gdzie stało ciemne clio.

Kiedy dotarli do samochodu, podała Christianowi kluczyki.

– Ty prowadzisz. Ja usiądę za tobą, z lufą na twoim karku. I żeby wszystko było jasne: Rzygam podłymi tchórzami, próbującymi swoich sił na kobietach. I nie mam żadnych skrupułów, żeby strzelić ci w łeb, bo jesteś podłym bandytą, a jeżeli zastrzelę podłego bandytę, to będę działała w obronie własnej. Kapujesz?

Hans był wściekły.

Pocałowałaś mnie...

Z przyjemnością zrobiłbym z tobą dużo więcej, gdybyś tylko nie była taka nieprzystępna...

A więc odprawiła go z kwitkiem.

Delikatna. Coś zaczęło świtać w jego głowie, ale było to tylko pojedyncze drgnienie. Potem jego myśli musiały wrócić do Roba.

Nie dość, że próbował ją poniżyć, to jeszcze skompromitował ją przed nim.

Zwalił na niego winę za swoją nieudolność. Jane nie opuściłaby hotelu niezauważona, gdyby Rob był w swoim pokoju, zamiast siedzieć u niego.

Do tego jeszcze stale mu rozkazywał, chociaż nie był jego przełożonym.

Hans nie okazywał nikomu swojej złości. Nie pozwalał sobie nawet na wewnętrzne wzburzenie. Kiedy był na kogoś wściekły, to najczęściej dlatego, że nie można było danej osoby ukarać za jej głupie zachowanie. Jeśli jednak z pełną konsekwencją wymierzałoby się karę każdemu, na kogo było się wściekłym, wściekłość nie potęgowałaby się. Miałoby się wtedy pewność, że zadośćuczynienie nadejdzie – tak czy inaczej.

Szedł szybkim krokiem, mijając recepcję z blondynem. Za każdym razem kiedy go widział, miał ochotę wyciągnąć z kabury swój bagnet i własnoręcznie obciąć mu te wstrętne żółte kudły.

Zatrzymał się przy jednych z drzwi i wbił pięciocyfrowy kod 5-3-7-9-8, który odryglował zamek z cichym sykiem. Przystąpił próg i znalazł się w szerokim pomieszczeniu, z którego w dwie strony odchodziły mniejsze korytarze, prowadzące do biur administracji CerebMedu.

Gruba granatowa wykładzina, którą wyłożony był cały szlak, tłumiała jego szybkie kroki. Skręcił w jeden z korytarzy – wiodący na prawo, do położonych parę metrów dalej drzwi. Tutaj też trzeba było wstukać kod, ale obok cyferblatu na ścianie umieszczona była skrzynka o gładkiej, szarej powierzchni. Hans wydobyl z kieszeni portfel, z niego plastikową kartę i przyłożył ją do szarego prostokąta. Niemal w tym samym momencie usłyszał ciche piknięcie. Dopiero wtedy podał swój osobisty kod i kiedy piknięcie rozległo się po raz drugi, dał się słyszeć odgłos rozsuwanego mechanizmu blokującego. Drzwi były otwarte.

Znajdujące się tuż za nimi schody o siedemnastu stopniach prowadziły w dół. Hans liczył je za każdym razem, kiedy szedł do laboratorium. Robił to tylko w przypadku tych schodów, jakoś zupełnie bez powodu. Stało się to jego nawykiem. Ale tylko tutaj.

Dobrnął do korytarza oświetlonego rzędem świetlówek i skręcił w lewo. Już nie był wściekły. Konieczność wymierzenia kary temu typowi była wpisana do pamięci i nie było powodu, żeby dłużej się nad tym zastanawiać. Oczywiście interesujące byłoby przemyślenie tysiąca różnych metod zastosowania sankcji na Robie, ale teraz nie czas na to.

Hans czuł wzrastające w sobie wzniosłe poczucie władzy, którego doznawał zawsze wtedy, kiedy przez swoje działanie wpływał na bieg zdarzeń.

Idący z przeciwka mężczyzna w białym kitlu skinął głową, kiedy go mijał. Hans odwzajemnił pozdrowienie. Znał tego człowieka, należał do zespołu Doktora. Z tymi ludźmi nie miał dużego kontaktu, widział ich tylko sporadycznie w biurze szefa. Byli odpowiedzialni za dawców. O tym, czym dokładnie się zajmowali, dowiadywał się najczęściej dopiero wtedy, gdy musiał wkraczać do akcji. Jak teraz – w przypadku Jane Doe.

Musiał skręcić tuż przed grubymi stalowymi drzwiami, przez które przeszedł biały kitel. Te drzwi były o wiele bardziej zabezpieczone przed wejściem niż wszystkie pozostałe. Oprócz kodu cyfrowego trzeba tu było zostawić jeszcze odcisk kciuka.

Do znajdujących się za nimi pomieszczeń Hans nie miał wstępu. A przynajmniej nie sam. Owszem, był tam już parę razy, ale wyłącznie z Doktorem. Znajdowały się tam laboratoria nieoficjalnego działu rozwoju i badań. W przeciwieństwie do pierwszego piętra budynku CerebMedu, gdzie naukowcy zajmowali się najczęściej sprawami, o których regularnie można było dowiedzieć się z telewizji bądź gazet, tu pracował niewielki krąg wtajemniczonych.

Hans pomyślał o ścianie z regałem – były za nią schody wiodące do jeszcze jednego pomieszczenia w piwnicy.

Do Traktu.

Nikt, kto nie wiedział, co dokładnie należy w tym celu zrobić, nie odnalazłby drogi do Traktu.

To tam znajdowały się pokoje dawców. Hans niejednokrotnie zadawał sobie pytanie – po co w ogóle dawcom pokoje. Poza tym było tam jeszcze parę pomieszczeń laboratoryjnych i coś w rodzaju sali, w której stała ta skomplikowana maszyna i inne przyrządy potrzebne do robienia tego, co Doktor nazywał ściąganiem.

Hans próbował nie myśleć o dawcach. Chciał uniknąć ich widoku.

W swoim dotychczasowym życiu widział już tyle złych rzeczy. Rzeczy, które były straszne, ale też nieuniknione. Jednak widok dawców zawsze powodował, że jego ciało przeszywał dreszcz. Niewiele było rzeczy, których się bał, ale przed nimi odczuwał prawdziwy strach.

Jeszcze dwa razy skręcił, zanim dotarł do małego wyjścia – po jego drugiej stronie czekało na niego tych dwoje.

Istotnie, klucz tkwił w zamku. Hans wyciągnął go, położył na małej skrzynce obok i otworzył drzwi. Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. Podniósł mały kamień i umieścił go między skrzydłem a futryną, żeby drzwi się nie zatrzasnęły. Potem wyszedł na zewnątrz.

Po mniej więcej dwóch minutach wrócił. Musi powiadomić Doktora, że mają problem.

Rosie kazała Christianowi jechać w stronę Dworca Głównego.

Nie trzymała już broni przy jego karku, tylko swobodnie zagłębiła się w fotel tylnego siedzenia, opierając rękę na kolanie. Lufę pistoletu miała jednak skierowaną ukośnie w górę.

Nagle pojawienie się Rosie dodało siedzącej obok Sibylle nieco siły i pewności siebie.

Pochyliła się i przyjrzała Christianowi.

– Kim ty jesteś? – zapytała. – I co ze mną zrobiliście?

– Teraz niczego się ode mnie nie dowiesz – odparł ponuro. – Potem, kiedy już Hans nas dogoni, wszystko ci opowiem. Ale uprzedzam, że to ci się nie spodoba.

– Zostaw go – powiedziała Rosie. – Niech jedzie. Potem zobaczymy. – Sibylle chciała coś powiedzieć, nalegać, że musi się w końcu dowiedzieć, co się z nią działo, ale Rosie tylko potrząsnęła głową i powtórzyła: – Potem.

Po chwili milczenia Sibylle zapytała:

– Jak mnie tu znalazłaś, Rosie? Rosie wybuchła śmiechem.

– To było dość niezwykle. Ale mamy trochę czasu, a pan gnojek z pewnością chętnie posłucha. A więc kiedy byłaś u tej swojej przyjaciółki, nagle przed domem pojawiło się mnóstwo policjantów. Od razu sobie pomyślałam, że tylko ty możesz być tego powodem. A kiedy jeden z nich podszedł do mojego samochodu, przedstawiając się jako komisarz Grohe, byłam już całkiem pewna. Chciał wiedzieć, co tam robię, więc powiedziałam, że chciałam zatelefonować i dlatego zatrzymałam się, bo jak przystało na porządnego kierowcę, nie telefonuję podczas jazdy. On na to, że mam natychmiast stąd odjechać, co uczyniłam – jako porządny kierowca. – Uśmiechnęła się figlarnie. – Zamierałam objechać osiedle, zaparkować gdzieś i wrócić pieszo pod ten budynek, żeby cię poszukać. Skręciłam więc w najbliższą uliczkę, gdzie najpierw musiałam zaczekać, bo jakiś głupi van z paczkami zaparkował na środku, a kiedy w końcu pojawił się kierowca – nawiasem mówiąc, niezłe ciacho – skręciłam jeszcze raz w prawo, przejechałam jakieś dwieście metrów i jak myślisz, co zobaczyłam? Ten paskudny typ, który dzień wcześniej czaił się przed moim domem, idzie sobie z moją Sibylleczką wzdłuż ulicy jakby nigdy nic. – Christian rzucił za siebie krótkie, pełne jadu spojrzenie, ale Rosie ciągnęła dalej. – A po przeciwnej stronie stoi ten drugi i tak nachalnie rzuca się w oczy, że mógł to być tylko policjant. Już sobie pomyślałam, cholera, teraz cię mają, ale nie wyglądało na to, żeby policjant zamierzał cię zatrzymać – co w sumie wydało mi

się dziwne. Ale mówiłaś, że jeden z nich już raz się tak zachował...

– Tak, to był komisarz Wittschorek – wtrąciła Sibylle.

– A więc odstawiłam wóz tam, gdzie stałam, i poszłam za wami, trzymając się w pewnym odstępnie. Dziecinko, czułam się jak Miss Marple! – Rosie wyjrzała na zewnątrz, po czym rzuciła w stronę Christiana: – Mam nadzieję, że obrałeś najkrótszą drogę do dworca, gnojku. – Po czym odwróciła się z powrotem do Sibylle: – No cóż, kiedy więc poszliście do tego hoteliku w Ratzbonie, to pomyślałam sobie, że pewnie umówiłaś się na jakieś świąstewka z tym typem. Ale kiedy ten wyszedł po chwili z komórką przy uchu, uspokoiliłam się.

Sibylle spojrzała na Christiana.

– Ten komisarz też należy do was, a ty nie jesteś żadnym policjantem, prawda?

– Ja policjantem? – Roześmiał się głośno i spojrzał w lusterko. – To był pomysł Martina. Swoją drogą, żart stulecia. A jeśli już przy tym jesteśmy, to nie nazywam się Christian, tylko Robert. Ale możesz mówić do mnie Rob. I tak, masz rację, ten dobry komisarz Wittschorek należy do nas. Uczciwie kupiliśmy go sobie. – Znow roześmiał się paskudnie.

Sibylle chciało się krzyczeć z rozczarowania i zwątpienia. Czy ten obłąd nigdy się nie skończy?

– Co jest z tym Wittschorkiem? – spytała Rosie. Sibylle nabrała głęboko powietrza.

– A więc, ten typ z przodu... Christian czy Robert, czy jak mu tam, kilkakrotnie rozmawiał przez telefon z Wittschorkiem. Kiedy to spostrzegłam, okłamał mnie, mówiąc, że sam też jest policjantem i chce zająć się sprawą za plecami Grohego, ponieważ ten jest w znowie z przestępcami. Wittschorek zresztą potwierdził mi to przez telefon. – Spuściła głowę.

– Wszystko to były kłamstwa, same kłamstwa.

Rosie znow popatrzyła przed siebie i potrząsnęła głową.

– To naprawdę niewiarygodne.

– Też tak sądzę – odparła Sibylle.

– A co z komisarzem Grohe? – Sposób, w jaki Rosie zadała to pytanie, wzbudził w Sibylle niepokój.

– Nie wiem – odparła. – Dlaczego pytasz?

Kobieta popatrzyła na nią jak na dziecko, które właśnie stłukło kosztowną wazę.

– Powiem ci, jak dotrzemy na miejsce. – Sibylle skinęła głową, a Rosie zwróciła się do Roba: – Tam, przed dworcem, skręć w prawo. – W celu zaakcentowania rozkazu dwa razy uderzyła otwartą dłońią w oparcie siedzenia, po czym spojrzała na Sibylle. – Na czym to ja stałam? No więc podążałam za wami przez pół Ratzbony, na szczęście udało mi się przekonać stosownym banknotem młodego gościa w jakimś gruchocie, żeby jechał za taksówką, do której wsiedliście. Kiedy znow podjechaliście pod to samo biuro ubezpieczalni, po raz pierwszy zwróciłam uwagę na tego zombiaka, który was śledził. Myślę, że on też mnie zauważył, bo potem łąził po pociągu tam i z powrotem i naprawdę trudno mi było się przed nim ukryć. Na dworcu kupiłam więc sobie chustkę na głowę. Wiesz... moje włosy, no cóż, ten kolor być może nie jest całkiem codzienny. Tu, w Monachium, nie było trudno deptać wam po piętach, a taksówkarz zainteresował się sprawą, kiedy mu powiedziałam, że jestem prywatnym detektywem i tropię pana gnojka na zlecenie jego żony! – Sibylle sama już nie wiedziała, ile razy przez ostatni kwadrans kiwała głową, słuchając Rosemarie Wengler. – Nie odważyłam się zająć pokoju w tym samym hotelu, gdzie byliście wy i ten zombi – kontynuowała starsza

pani – więc poszukałam czegoś w pobliżu i zamówiłam samochód z wypożyczalni. A dziś rano o mało wszystkiego nie zepsułam, bo za późno przyjechałam pod wasz hotel. Nie przypuszczałam, że wybierzesz się w drogę tak wcześnie.

– Widziałam w telewizji, w lokalnych wiadomościach, raport o tym CerebMedzie – wyjaśniła Sibylle. – Pojawił się tam ten człowiek, który więził mnie w piwnicy w Ratzbonie.

Rosie skinęła ze zrozumieniem głową.

– W każdym razie ledwo co pojawiłam się przed hotelem, kiedy gnojek z zombiakiem, bardzo podenerwowani, wsiedli do taksówki. Oho, pomyślałam sobie, ciebie już chyba nie ma, więc pojechałam za nimi i zobaczyłam, że zombi ukrył się na zewnątrz, a gnojek wszedł do środka. Resztę historii znasz. No, może poza jednym szczegółem...

– Hej, przestaniesz mnie tak nazywać? – wtrącił z rozdrażnieniem Robert.

– A niby jak mam nazywać gnojka? – zapytała Rosie z kwaśnym uśmiechem. – Sibylle, ty oczywiście nie spałaś w jednym łóżku z tym typem?

Sibylle gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie, oczywiście, że nie. – Dzięki Bogu...

Rosie, wyraźnie uspokojona, dyrygowała mężczyzną, każąc mu jechać przez kolejne ulice aż do okazałego hotelu. Kiedy zatrzymał samochód za wielkim budynkiem, pochyliła się do przodu.

– Żebyś nie ocenił sytuacji niewłaściwie, Rob – powiedziała. – Naprawdę nie będę mieć żadnych oporów, żeby zastrzelić cię na samym środku hotelowego lobby, jeśli będziesz sprawiał kłopoty. Całymi latami byłam bita przez podłego pijaka i rozwinęło się u mnie coś w rodzaju psychozy wobec facetów używających przemocy. Naprawdę nie potrafię już tego opanować. Mogę przesiedzieć resztę życia w więzieniu, pogwizdując i podśpiewując sobie, jeśli ma to być cena za odstrzał takiego typu jak ty. Czy wszystko jasne, Rob? – Za każdym razem wymawiała jego imię z wyczuwalną ironią. Sibylle wpatrywała się w Rosie. Żadnych fotografii, żadnych zdjęć jej męża... Więc to dlatego... – Weźmiesz moją torebkę z przedniego siedzenia? – Rosie zwróciła się do Sibylle. – Ale zaczekaj, aż będziemy na zewnątrz. – Postukała Roberta w ramię. – No dalej, wysiadka.

Sibylle, zgodnie z poleceniem, odczekała, aż opuszczą samochód, po czym sięgnęła po torebkę. Była wykonana z ciemnej skóry i miała kształt małego plecaka.

Idąc przez obszerne hotelowe lobby, Rosie cały czas trzymała się blisko Roberta.

Ramię wraz z dłonią owinęła sobie chustą, skrywając pod nią wycelowany w niego pistolet.

Sibylle nie mogła oderwać od niej wzroku. Bita? Latami? Zastanawiała się, czy naprawdę byłaby zdolna strzelić, jeśli Robert zdecydowałby się na ucieczkę.

Wjechali windą na szóste piętro. Pokój urządony był nowocześnie – stały w nim dwa pojedyncze łóżka, a w wąskim przedsionku, tuż przy drzwiach, na ścianie umocowana była mała skrzynka. Gdy Rosie wsunęła w nią plastikową kartę, wszystkie lampy rozbliły światłem, a z płaskiego telewizora popłynęły dźwięki łagodnej melodii.

Dopiero teraz kobieta ściągnęła z ramienia chustę, popchnęła Roberta w głąb apartamentu do jednego z krzeseł i nacisnęła na barki. Kiedy już siedział, cofnęła się o krok i poleciła Sibylle poszukać czegoś, czym można by związać „gnojka”.

Sibylle rozejrzała się po pokoju, potem weszła do zdumiewająco dużej łazienki, ale nigdzie nie znalazła nic odpowiedniego. Dopiero w dwudrzwiowej szafie w przedsionku, na

jednej z półek, dostrzegła biały worek przeznaczony na rzeczy do prania z wsuniętą w kanalik długą, poskręcaną linką.

– Masz może nożyczki, Rosie? – zapytała, chwytając za worek.

Rosie miała w torebce nożyczki do manikiuru i już po chwili Sibylle podała jej sznurek.

– Bardzo dobrze – stwierdziła Rosie. – Potrafisz go porządnie związać? Tak żeby nie mógł się uwolnić?

Sibylle zawahała się.

– Nigdy jeszcze czegoś takiego nie robiłam.

– Ja też nie. No nic, daj ten sznur. A ty uważaj na niego. Trzymaj. – Wyciągnęła w jej stronę broń, ale Sibylle uniosła w przestrachu dłonie. – Sibylle, zapomniałaś już, co ten drań ci zrobił? Jak cię oszukiwał i wykorzystał?

– Daj – odparła Sibylle. Drżącymi dłońmi wzięła pistolet i skierowała go w pierś Roberta.

Po kilku minutach mężczyzna był przywiązany do oparcia krzesła. Rosie znów wzięła broń i zabezpieczyła ją sprawnym ruchem.

– A teraz, dziecinko, powiedz mi, co z twoim synem.

– Ręce mi drętwieją – jęknął Robert. – Musisz poluzować sznur.

– Niczego nie muszę – odparła Rosie spokojnie. – A jeśli natychmiast się nie zamkniesz, zaciągnę go jeszcze mocniej.

Sibylle spojrzała z pogardą na Roberta. Najchętniej uderzyłaby go w twarz.

– Wspomnienia o Lukaszku wszczepiono w moją pamięć – powiedziała. – Ale do tej pory czuję ból, jakby rzeczywiście ktoś zabrał mi dziecko, rozumiesz? Za pomocą specjalnej hipnozy wtłoczono mi wspomnienia o całym życiu jakiegoś dziecka.

Rosie popatrzyła na nią zdziwiona.

– Hipnozy?

– Tak – potwierdziła Sibylle i w skrócie opowiedziała Rosie o wszystkim, o czym sama wiedziała.

Kobieta, słuchając jej, raz po raz spoglądała na Roberta wzrokiem niewróżącym niczego dobrego.

Kiedy Sibylle skończyła, poszła do łazienki, usiadła na opuszczonej desce klozetowej i rozplakała się. Już po chwili Rosie była przy niej. Przycisnęła lekko jej głowę do swojego miękkiego brzucha, gładząc ją po włosach.

– Hej, dziecinko. To okropna historia, ale nie jesteś już sama. Poczciwa Rosie ci pomoże. Nie z takimi rzeczami dawałam już sobie radę.

Sibylle przez łzy spojrzała na Rosie.

– Ty też chciałaś mi o czymś powiedzieć.

– Tak, to prawda. Nie wiem, czy to nie był błąd, ale... Kiedy widziałam, jak te typy ci grożą, zadzwoniłam do Grohego. Nie wiedziałam, co mam robić. Gdybym zadzwoniła na policję w Monachium, to kto wie, czy byliby w stanie cokolwiek zdziałać. Pomyślałam więc, że jeśli poinformuję Grohego, to on już będzie wiedział, co robić. Mam nadzieję, że nie popełniłam błędu.

Sibylle zastanowiła się.

– W gruncie rzeczy to nie był chyba zły pomysł. Na szczęście rozmawiałaś z Grohem, a nie z Wittschorkiem. Jeśli nadkomisarz powiadomi policję w Monachium, to nawet lepiej. Wittschorek i tak wie, że tu jestem, więc nie obawiaj się, nie zrobiłaś nic złego. – Wyraźnie

było widać, że jej słowa przyniosły Rosie ulgę. – A co... z twoim mężem, Rosie? – zapytała cicho Sibylle.

– Ach, to teraz nieważne. – Kobieta od niechcienia machnęła ręką. – Musimy się zastanowić, co zrobimy z tym typem.

– Powiedz, proszę...

Rosie wyjrzała z łazienki i przymknęła drzwi. Usiadła na brzegu wanny i popatrzyła na Sibylle niepewnie.

– Przez kilka lat staraliśmy się o dziecko. Lekarze twierdzili, że oboje jesteśmy zdrowi i nie powinniśmy się stresować, wtedy się nam uda. Ale się nie udawało. Po jakimś czasie straciliśmy nadzieję. Gerhard zawsze lubił piwo, ale z czasem stał się regularnym pijakiem. Zaczął mnie wyzywać, kiedy wracał z knajpy, a pewnego dnia po prostu uderzył mnie w twarz. Potem... Chciałam od niego odejść, ale akurat wtedy okazało się, że jestem w ciąży. Pomyślałam, że może to uratuje nasze małżeństwo i sprawi, że on przestanie pić, ale niestety tak się nie stało. Zamiast się ucieszyć, wyszedł z domu bez słowa, wrócił po dwóch dniach, kompletnie zalany, i wszczął awanturę, twierdząc, że to nie jego dziecko, bo jest niepłodny. Oczywiście powiedziałam mu, że to bzdury, ale był w takim stanie, że nie działały żadne słowa. Nazwał mnie kurwą i niewierną zdzirą i znów zaczął mnie bić. Byłam wściekła z powodu jego niesprawiedliwości, ale nie mogłam się bronić. Któregoś dnia, gdy sytuacja się powtórzyła, postanowiłam mu dokuczyć. Popatrzyłam w jego napuchniętą pijacką mordę i oznajmiłam, że ma rację, że przespałam się z całym stadem facetów, podczas gdy on zataczał się od knajpy do knajpy; skłamałam, że było ich tylu, że nawet nie wiem, który z nich jest ojcem mojego dziecka. – Rosie zamknęła oczy i nabrała głęboko powietrza. – Wtedy kopnął mnie w brzuch. A potem jeszcze raz i jeszcze... Kopał dalej, kiedy leżałam już na podłodze. Wykopał ze mnie to, co akurat zaczęło się we mnie kształtować – nasze dziecko... – Urwała i opuściła głowę.

– O mój Boże... – szepnęła Sibylle. W tym momencie zapomniała o wszystkich swoich problemach. O mój Boże...

– W szpitalu usłyszałam, że nigdy już nie będę miała dzieci. Kiedy lekarz zapytał, co się stało, powiedziałam to samo, co tysiące kobiet przede mną. Spadłam ze schodów.

– Ale dlaczego? Dlaczego nie złożyłaś na tę świnię doniesienia na policji?

Sibylle ujrzała w oczach Rosie łzy. Ten widok nią wstrząsnął.

– Ponieważ to była moja wina – powiedziała łamiącym się głosem. – Gdybym nie opowiadała głupot o tych mężczyznach, nigdy by do tego nie doszło. Sama lekkomyślnie zagrałam życiem mego dziecka. I moje dziecko tę grę przegrało.

– Ale... – Sibylle widziała, że jakikolwiek sprzeciw nie ma sensu. – I... zostałam z nim? Rosie skinęła głową.

– Tak, dwadzieścia trzy długie lata.

– I dalej cię bił?

– Tak, całe dwadzieścia trzy lata. Tak długo musiałam odpokutować śmierć mojego dziecka. Aż w końcu alkohol wyżarł mu wątrobę i zdechł. – Nagle Rosie uderzyła dłońmi w uda i podniosła się. – Dość tego gadania – powiedziała już nieco żwawiej. – Znasz co najmniej jeden powód, dla którego od początku chciałam ci pomóc odnaleźć syna. Teraz trzeba się zastanowić, co dalej. Możemy na przykład przekazać tego typu policji i opowiedzieć im całą historię, także o tym skorumpowanym komisarzem Wisso... jak on się nazywa?

– Martin Wittschorek – powiedziała Sibylle. – Nie wiem, Rosie. Co niby miałybyśmy

powiedzieć policji? Że uprowadzono mnie w Ratzbonie, gdzie nikt mnie nie pozna? Gdzie poszukuje mnie policja i może nawet uznaje za współwinną? A to z Wittschorkiem – jak niby można to udowodnić? I tak nikt mi nie wierzy. Albo ten fałszywy doktor Muhlhaus. Nawet jeśli znalazłabym go wśród pracowników – jak mam udowodnić to, co mi zrobił? Wydaje mi się, że to nie ma sensu.

Jane Doe. Niezidentyfikowane kobiece zwłoki. Robert miał rację – jestem, ale jakby mnie nie było...

– Może masz rację – stwierdziła Rosie. – Policja prawdopodobnie nie zdołałaby wiele, a ten typ tutaj, mając dobrego adwokata, po dwóch godzinach wyjdzie na wolność. Zostaje nam więc tylko jedna możliwość: musimy same dowiedzieć się, o co chodzi z tą firmą. Co o tym sądzisz? – Kiedy Sibylle nie zareagowała od razu, kobieta klasnęła w dłonie. – No chodźże! Ci ludzie uprowadzili cię i wykorzystali, zabrali ci całe życie, Sibylle! Ma im to ująć płazem? A potem następnej kobiecie przydarzy się to samo?

Sibylle popatrzyła na Rosie. Ta kobieta doświadczyła w życiu tyle okropności. Tyle bólu – fizycznego, ale przede wszystkim psychicznego. Straciła dziecko.

Straciła dziecko...

– Okej – powiedziała, czując, że tak ma być.

– Więc chodźmy. Bądź co bądź tam, w pokoju, siedzi ktoś, kogo możemy wystawić jako zakładnika. Sprawdźmy, jak się miewa nasza kanalia. – Odwróciła się i wyszła z łazienki, a Sibylle podążyła za nią.

Robert siedział tak, jak go zostawiły, ale mimo wszystko Rosie obesła krzesło i sprawdziła, czy więzy mocno trzymają. Sibylle usiadła na skraju łóżka i przyjrzała się mężczyźnie.

– Powiedz mi, z jakiego powodu zniszczyliście mi życie? – zapytała opanowanym głosem. – Co ja wam zrobiłam? Przecież nie tylko wszczepiliście mi pamięć o Lukasiu. Co z Johannesem i Elke? Dlaczego wyglądam inaczej? Czy jestem... czy w ogóle jestem Sibylle Aurich?

Robert potrząsnął głową i zaśmiał się szyderczo. Sibylle poczuła dreszcz na plecach.

– Chętnie opowiedziałbym ci wszystko, ale niestety... – Mlasnął językiem. – To niemożliwe.

– Nie zwracaj na niego uwagi – wtrąciła Rosie. – Sądzę, że pan gnojek i tak niewiele wie. To tylko mało liczący się chłopiec na posyłki, wyposażony w podstawowe informacje. Jego intelekt ogranicza się do możliwości okłamywania kobiet. Nie widzisz, jaki to niedołęga?

Z twarzy Roberta zniknął uśmiešek. Mężczyzna szarpnął się, tak że o mało nie przewrócił się razem z krzesłem.

– Tobą, czerwona wiedźmo, zajmę się osobiście, kiedy nadejdzie czas – syknął, pociągając jeszcze kilkakrotnie uwięzionymi dłońmi. W końcu, sapiąc ciężko, dał za wygraną.

Rosie spojrzała wymownie na Sibylle.

– A nie mówiłam? – Po raz ostatni sprawdziła węzły, po czym jak filmowy kiler wyciągnęła pistolet zza pleców. – Weź to i pilnuj, żeby nie przyszły mu do głowy żadne głupstwa. Ja zejdem na dół i poszperam trochę w sieci. Zobaczymy, czego można się dowiedzieć o tej dziwnej firmie. – Sibylle chciała już chwycić broń, kiedy Rosie cofnęła rękę:

– W razie czego nie musisz od razu strzelać. Kiedy znów zaczniesz być niemiły, możesz go

całkiem łatwo uspokoić. Wystarczy... – Zamachnęła się i uderzyła rękojęścią w potylicę Roba. Jęknął, gdy jego głowa osunęła się najpierw do przodu, a potem bezwładnie przetoczyła na bok. Sibylle krzyknęła, zaskoczona, a Rosie w teatralnym geście przykryła usta dłonią i powiedziała: – Ojej, nie chciałam tak mocno...

Wyciągnęła rękę, ale zanim zdążyła go dotknąć, jęknął i otworzył oczy.

– Ty podła dziwko!

Dopiero wtedy Rosie podała Sibylle pistolet.

– Zrób to tak, jak ci pokazałam. Tylko mocniej.

– Co za debil! – krzyknął Doktor, kiedy już wysłuchał relacji Hansa. Uderzył dłonią w blat biurka. – Czasem nie mogę uwierzyć, że on rzeczywiście... – Urwał, potrząsając głową.

Hans był przekonany, że nie dokończył zdania z powodu jego obecności. To pierwszy raz, kiedy Doktor powiedział przy nim coś przeciwko Robertowi. W pewnym sensie Hans odczuł satysfakcję. Nie licząc wielu pomniejszych głupot, był to już drugi poważny błąd, który zrobił Rob. – Znajdź ją, Hans. Musisz ją natychmiast odnaleźć. – Doktor wpatrywał się w niego z kamienną twarzą. – I pamiętaj: nie wolno ci skrzywdzić Jane. Jest mi potrzebna nienaruszona i ze zdrowym umysłem. Żebym mógł ją dokładnie przeanalizować. A potem... – Znow urwał i machnął ręką.

– Tak jest – odparł Hans.

– Jak myślisz, co się stało?

– Nie sądzę, żeby Rob zniknął dobrowolnie. Wydaje mi się też niemożliwe, żeby Jane go obezwładniła.

Doktor skinął głową.

– Rosemarie Wengler?

– Nie widziałem jej w pociągu, ale niewykluczone, że gdzieś się ukryła.

– Jeśli tak, to właśnie obezwładniła Roba. Być może w tej chwili idą już na policję. Chyba że są jeszcze bardziej odważne. Tak czy inaczej, pozostaje nam tylko czekać. – Hans kiwnął głową. – Jestem ciekaw Jane – dodał Doktor. – Bardzo ciekaw...

Przez pierwszych parę minut, gdy Sibylle została z Robertem sam na sam w pokoju, ten próbował użyć wszystkich swoich wdzięków, aby nakłonić ją do poluzowania więzów. Kiedy nie reagowała, próbował grózb.

– Hans was dopadnie. Szybciej, niż się spodziewacie. Kilka lat był w jednostce elitarniej Legii Cudzoziemskiej. Doznał tam wstrząsu psychicznego. On nie zastanawia się długo, mówię ci. Z olbrzymią radością podetnie wam gardła. Rozwiąż mnie, a nic się wam nie stanie. Po prostu stąd zniknę. Co ty na to?

– Myślę, że zaraz wypróbuję patent Rosie – odparła sucho Sibylle. – Co ty na to?

Po około dwudziestu minutach Rosie ponownie przekroczyła próg pokoju, z szelmowskim uśmiechem machając jakimiś kartkami.

– Patrz, co znalazłam. Mamy prawdziwe szczęście! – Opadła na łóżko, prowokacyjnie mrugając w stronę Roberta, i poklepała dłonią narzutę obok siebie. – Usiądź tu, Sibylle.

Sibylle położyła pistolet na kolanach Rosie. Ulżyło jej, kiedy wreszcie mogła się go pozbyć. Z zaciekawieniem zerknęła na zadrukowane strony.

– Co znalazłaś?

– A więc CerebMed Microsystems założono w 1996 roku. Jedynym właścicielem firmy jest profesor doktor Gerhard Haas. W internecie jest cała masa zdjęć i artykułów na jego temat. Nie uwierzysz, ale ten typ ma chyba większe znajomości niż sam nadburmistrz. A oprócz tego jest dyrektorem katedry na uczelni i wielką szychą w klinice uniwersyteckiej. W każdym razie CerebMed opracowuje aparaturę do badań i chirurgii mózgu. Poza tym mają jeszcze jakiś oddział, gdzie przygotowują... jakieś metody naprawiania uszkodzeń mózgu, że użyję żargonu niewykwalifikowanego laika. Odnieśli parę sukcesów...

– Przepraszam, Rosie – przerwała jej Sibylle – ale ja już to wszystko wiem. Dlaczego powiedziałaś, że mamy szczęście?

Twarz Rosie rozpromieniła się tajemniczo, jakby lada chwila kobieta miała wręczyć komuś wspaniały prezent. Wydostała spod sterty ostatni arkusz i położyła go wydrukowaną stroną do góry. Sibylle spojrzała na kartkę – tekst i trzy kolorowe fotografie z opisami. Przedstawiały stojące w grupach osoby, większość trzymała w rękach kieliszki.

– To artykuł dotyczący uroczystości z okazji dziesięciolecia firmy – wyjaśniła Rosie. – Od groma prominentów, ale spójrz na tę grupkę. – Wskazała na zdjęcie u samego dołu. Sibylle

zmrużyła oczy, żeby lepiej dostrzec szczegóły. Opis pod zdjęciem czterech uśmiechniętych mężczyzn brzmiał: Od lewej: prof. G. Haas, U. Schilling, starosta dr Klein oraz R. Haas. Kiedy Sibylle przyjrzała się twarzy mężczyzny opisanego jako R. Haas, zrozumiała, co Rosie miała na myśli. Dokładnie ten sam mężczyzna siedział teraz przed nimi przywiązany do krzesła. – No i co powiesz, dziecinko? Nasz pan gnojek okazuje się być synkiem samego szefa. Czyż to nie szczęśliwe zrządzenie losu?

Sibylle skinęła głową, wciąż jeszcze zaskoczona.

– Tak. Tak to można nazwać.

Spojrzała raz jeszcze na zdjęcie. Robert nie stał całkiem na skraju – obok niego widać było częściowo jeszcze jednego mężczyznę. Kiedy dokładnie mu się przyjrzała, rozpoznała go również. Był to bez wątpienia ten typ o przerażających oczach. Miał na sobie koszulkę z krótkim rękawem. Na jego przedramieniu coś widniało, jakby podczas wydruku w tym miejscu rozmazał się tusz.

Albo jak gdyby...

Sibylle wzięła kartę z ręki Rosie i przysunęła sobie niemal pod sam nos. Dopiero teraz zobaczyła, że to nie była plama z rozmazanej farby. Na przedramieniu Hansa widniał niebieski tatuaż. Wychodzący spod rękawa i sięgający po grzbiet dłoni...

Przez parę sekund wpatrywała się w niego bez ruchu – parę sekund, w trakcie których w jej głowie powstała próżnia. Wszystko wokół niej zaczęło się obracać, a rozpierający ból próbował ją zabić, aż w końcu znalazł ujście w krótkim, bulgoczącym krzyku.

Kartka wypadła jej z ręki. Patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem, aż ukazała się przed nią zatroskana twarz Rosie.

–...powiedz, co się z tobą dzieje! – usłyszała tylko.

– Ten niebieski tatuaż... – Przełknęła ślinę, żeby powstrzymać odruch wymiotny. – Rosie, to jest... ten Hans... on uprowadził mojego syna. – Spojrzała na związanego mężczyznę siedzącego przed nią. Coś niewypowiedziane gorące przemknęło przez jej ciało, czerwone plamy przed jej oczami zaczęły dziko płaszać. Rosie mówiła coś, ale Sibylle nie rozumiała. Pokój nagle zaczął wirować, stał się chaotyczną gmatwaniną, kiedy wstała i wrzasnęła: – Ty świni! – Nie czuła bólu, kiedy z impetem uderzyła swoim ciałem w Roberta, tak mocno, że oboje wraz z krzesłem wywrócili się na podłogę. Krzyknął jej prosto w ucho i dopiero to ją otrzeźwiło. Podniosła się nieco, a potem siadła mu na piersi, wspierając się plecami o jego zadarte w kierunku sufitu nogi. Potem zacisnęła dłonie w pięści i zaczęła okładać go po twarzy. – Ty podła, obrzydliwa świni! – krzyczała, wymierzając kolejne ciosy. – Co zrobiliście z moim dzieckiem?! – Następne uderzenie trafiło Roberta w usta. – Cały czas o tym wiedziałeś, ty cholerny draniu!

Potem nie mówiła już nic. Sapała tylko i płakała, i krzyczała, i uderzała. Raz za razem.

Widziała, że krwawi, ale było jej wszystko jedno. Niech zdycha.

Nie miała pojęcia, ile ciosów wymierzyła, kiedy nagle coś przytrzymało jej prawe ramię.

– Przestań – usłyszała spokojny głos Rosie. – Będzie nam jeszcze potrzebny.

Sibylle spojrzała na twarz Roba. Poczowała, jak opuszczają ją siły. Z wstrętem przetoczyła się od jego torsu, wstała i wtuliła się w ramiona Rosie.

Lukas, Lukas, Lukas, Lukas! – Moje dziecko... – powiedziała. – Rosie, mój syn istnieje! Czułam to cały czas. Te świni uprowadziły moje dziecko...

Jej ciało zadrżało od ataku płaczu.

– Wyplacz się, dziecinko. Już dobrze – szeptała Rosie, gładząc ją po włosach.

Sibylle wdychała zapach jej puloweru z domieszką zapachu perfum. Jej umysł wciąż na nowo odtwarzał scenę, w której wytatuowane ramię wciąga jej syna do samochodu. Drzwi zatraskują się. Próbuje biec za samochodem, ale po chwili nie daje rady. Co stało się później? Ja... stanęłam, kiedy auto zakreśliło, ale...

Robert poruszył się, klnąc przy tym. Kiedy pomyślała, że jest współodpowiedzialny za uprowadzenie jej syna i cały ten czas wiedział, gdzie się znajduje i w jakim stanie jest Lukas, poczuła narastającą wściekłość – intensywną i chłodną. Ujrzała twarz Lukasa, błagającego o pomoc. Widziała paniczny strach w jego oczach. Widziała rękę z niebieskim tatuażem zakrywającą mu usta.

Zamknęła oczy, pozwalając temu wrażeniu przeniknąć do ostatniego skrawka jej świadomości. Kiedy ponownie je otworzyła, jej wzrok spoczął na przedmiocie, którego szukała. Wzięła pistolet i odwróciła się do wciąż leżącego na plecach Roberta. Kciukiem odbezpieczyła broń, pamiętając, jak robiła to Rosie, i wymierzyła lufę w głowę Roberta Haasa. Dłoń trochę jej drżała, ale Sibylle była przekonana, że trafi.

– Gdzie jest mój syn? – zapytała lodowatym tonem. – Doliczę do trzech i padniesz trupem.

– Sibylle... – powiedziała cicho Rosie. – Sibylle, proszę cię...

– Raz – powiedziała Sibylle matowym głosem.

Robert wpatrywał się bez słowa w pistolet przed swoją twarzą.

– Wsadzą cię do więzienia, Sibylle. Ten gnojek nie jest tego wart – zaklinała ją Rosie, ale Sibylle zdawała się ją ignorować.

– Dwa.

– Pozwól, że ja to zrobię – westchnęła Rosie. – Nakłonię go do rozmowy. Błagam cię, Sibylle.

– I trz...

– Nie, zaczekaj! – zawołał Robert. – Nie strzelaj. Jest w CerebMedzie. W budynku firmy. Nic mu nie jest. Naprawdę.

– Co z nim zrobiliście? – Lufa pistoletu ciągle skierowana była na jego twarz.

– Nic, naprawdę. Wszystko z nim w porządku – powiedział szybko. – Zabierz tę cholerną spluwę!

– Dlaczego go porwaliście? – Dłoń trzymająca broń nie poruszała się.

– Bo... mój Boże, bo on... bo on widział rzeczy, których nie powinien zobaczyć.

– Co widział?

Rob zaczął się więc jak piskorz.

– No, rzeczy... związane z badaniami... z doktorem.

– Z doktorem? Z jakim doktorem?

– Ten doktor, to... to mój ojciec.

Sibylle zbliżyła wylot pistoletu do jego twarzy – raptem parę centymetrów od czoła.

– Co ma wspólnego Lukas z robotą twojego ojca? Hm? Gadaj! Robert kilka razy złapał powietrze, po czym wykrzyknął:

– Ty tam pracowałaś, głupia krowo!

Sibylle patrzyła na niego, próbując zrozumieć to, co właśnie usłyszała. Pracowałam w CerebMedzie? Ja?

– Co za bzdury! – zachnęła się. Ja w Monachium? Całą wieczność tu nie byłam. – Mów

prawdę, dupku! Chcę się dostać do mojego syna i przysięgam ci, że jeśli mnie okłamiesz, zabiję cię bez mrugnięcia okiem.

– Do jasnej cholery, jeszcze tydzień temu u nas pracowałaś! Twój syn zobaczył w firmie coś, czego nie powinien zobaczyć. Wszystko. A teraz mnie zastrzel, mam to gdzieś. Jak pisnę jeszcze jedno słowo, to doktor i tak mnie zabije.

Sibylle w końcu opuściła broń.

– Powiedziałaś „tydzień temu”, gnojku? – zapytała Rosie.

Robert nie odpowiedział. Odwrócił tylko głowę na bok i zamknął oczy.

– Tydzień temu – powtórzyła Sibylle, siadając na łóżku. – Porwali Lukasa tydzień temu? I mnie też?

– Tak powiedział, ale... Myślałam, że napadnięto na ciebie dwa miesiące temu. Johannes, Elke, Ratzbona... Słowa przecinały jej umysł niczym błyskawice.

– Też tak myślałam, Rosie. Wyjaśnimy to później. Teraz muszę odnaleźć Lukasa.

– Czy nie powinniśmy zadzwonić na policję?

– Zrób to, a mały zginie – wtrącił Robert. – Kiedy tylko w CerebMedzie pojawi się pierwszy policjant, Hans będzie już wiedział, co robić.

– Może zrobimy wymianę zakładników? – zaproponowała Rosie, a kiedy Sibylle popatrzyła na nią pytającym wzrokiem, wskazała Roberta. – Oni mają twojego syna, my mamy syna szefa. Wymieńmy ich.

Robert zaśmiał się opętańczo.

– Jeśli myślicie, że ten człowiek wymieni małego na mnie... Nie macie pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi! Proszę bardzo, zadzwóńcie do niego i złożcie mu taką propozycję. Pięć minut później Hans zajmie się twoim synem.

Sibylle spojrzała niepewnie na Rosie.

– Sądzę, że ten drań tyle już nakłamał, że nie powinnam wierzyć w ani jedno jego słowo. Ale to, co mówi, brzmi logicznie. – Podniosła się z łóżka i znów spojrzała na Roberta.

– Mam dla ciebie propozycję. Pomożesz nam uwolnić mojego syna, a my puścimy cię wolno. Potem możesz opowiedzieć swojemu ojcu doktorowi, co tylko chcesz.

– A jeśli nie?

Kucnęła obok niego i zbliżyła twarz do jego twarzy.

– Zniszczyliście mi życie. Jeżeli do tego coś stanie się z moim dzieckiem, przysięgam na Boga, że cię zabiję. I nie zastrzelę cię tak po prostu. Pozwolę ci powoli konać w męczarniach. A więc?

Robert milczał przez całą drogę, nie reagował nawet na zaczepki ze strony Rosie.

Wcześniej, jeszcze w pokoju, z wycelowanym w niego pistoletem kobiety pozwoliły mu pójść do łazienki, gdzie mógł obmyć twarz. W jego koszulkę wsiąkło trochę krwi, ale dużo bardziej rzucała się w oczy napuchnięta, odstająca górna warga.

Ruch uliczny zmniejszył się nieco, nie potrzebowali więcej niż dwadzieścia minut, żeby dostać się na teren CerebMedu. Przejechali parking, mijając budynek firmy. Nigdzie nikogo nie było widać.

– Idziemy – zarządziła Rosie, a Robert wykręcił twarz w grymasie, wyprężając brzuch i ściągając łopatki. Prawdopodobnie Rosie mało delikatnie wbiła mu broń w plecy.

Jeżeli klucz wciąż tkwi od wewnątrz, to mamy problem, pomyślała Sibylle, kiedy zbliżali się do drzwi. Jednak kiedy Robert wyciągnął klucz z kieszeni, drzwi dały się otworzyć.

Wkroczyli do długiego, wąskiego pomieszczenia, po obu stronach zastawionego regałami. Stały na nich pudła oklejone białymi naklejkami.

– Dokąd teraz? – zapytała Sibylle. Robert wskazał ręką przed siebie.

– Prosto, a potem w lewo – powiedział.

Próbowała odnaleźć w jego twarzy, w jego głosie oznakę czegoś, co mogło ich za chwilę spotkać, ale nic takiego nie zauważyła.

Przeszli do następnego korytarza, a stamtąd do drzwi, przy których Robert musiał wstukać kod. Kiedy drzwi się otworzyły, ujrzeli białe wykafelkowane pomieszczenie. Dwa metry przed nimi stał mężczyzna o martwych oczach. Oczy te spoglądały wprost na nich.

Rosie od razu podniosła broń i przystawiła ją do głowy Roberta.

– Bez wygłupów – rzuciła ostrzegawczo.

Hans nie odrywał wzroku od Sibylle. Czowała, że od tego spojrzenia ma gęsią skórkę. Pomyślała o Lukasiu i o potwornym strachu, który jej syn musiał odczuwać przed tym człowiekiem.

– Chcę zobaczyć mojego syna – powiedziała. – Gdzie on jest?

– W pobliżu – odparł Hans, przenosząc wzrok na Rosie. – Odłóż tę broń.

Rosie zaśmiała się krzykliwie.

– Nic z tego! Jazda, zaprowadź nas do chłopca, inaczej będę zmuszona zastrzelić syna waszego szefa. A nie wiem, czy to spodoba się panu profesorowi.

– Niedługo poznacie Doktora – odparł Hans, zupełnie niewzruszony. – Chodźcie.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Sibylle, a za nią Robert – wciąż na muszce Rosie – podążyli za nim.

Nagle Sibylle usłyszała za sobą głos:

– Rzuć broń!

Odwróciła się gwałtownie. Za Rosie stał mężczyzna w białym kitlu – z pistoletem wycelowanym w głowę starszej pani. Był nieco wyższy od niej, na oko około pięćdziesiątki, chudy. Nosił okulary w złotej oprawce i wyglądał dosyć głupio – z przedziałkiem wytyczonym dokładnie pośrodku głowy.

– To ty rzuć broń, bo inaczej będę musiała zastrzelić szefa juniora – odparła Rosie zdumiewająco pewnym głosem.

Sibylle wstrzymała oddech. Jakiś ruch, zarejestrowany kątem oka, odwrócił jej uwagę. Za Hansem pojawił się cień. A zaraz potem prosto w jej serce trafił głos:

– Mamo, mamó! Lukas!

Zaledwie kilka metrów od niej, tuż za człowiekiem o martwych oczach, ujrzała jasną czuprynę. Bez żadnej kontroli łzy popłynęły z jej oczu. Lukas! Cały świat zdawał się eksplodować, chciała na przemian krzyczeć z radości i szeptać czule, śmiać się serdecznie i zanosić się histerycznym szlochem. Chciała podbiec do niego – lecz kiedy jej umysł ogarnął całe pole widzenia, zamarła w bezruchu.

Za Lukasem stał człowiek o siwych włosach. Gerhard Haas ze zdjęcia, które pokazała jej Rosie. Jedną ręką przytrzymał za ramię chłopca. W drugiej ręce, zwisającej bezwładnie, trzymał mały rewolwer.

– Lukas... – szepnęła.

– Mamo! – zawołał chłopiec, wijąc się w uchwycie profesora. – Puść mnie! Chcę do mamy!

Haas spojrzał na Roberta, Rosie i typa trzymającego wciąż pistolet przy jej głowie.

Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

– Proszę puścić Roberta – powiedział mężczyzna. Demonstracyjnie podniósł rękę z bronią, spoglądając z góry na Lukasa.

Rosie zawahała się. Było widać, że jest dezorientowana.

– Proszę cię, Rosie, puść go – szepnęła drżącymi ustami Sibylle. Po tych ludziach spodziewała się wszystkiego. Nie wiedziała, jak sprawy się potoczą, ale w danej chwili przeważał strach o syna.

– Jesteś pewna? – zapytała Rosie, a gdy Sibylle skinęła głową, opuściła pistolet. Robert natychmiast podszedł do Hansa, wyciągając rękę.

– Daj mi twój nóż – powiedział, wyraźnie podniecony. – Własnoręcznie poderżnę gardło tej czerwonej wiedźmie.

Hans spojrzał jednak na profesora, który potrząsnął głową. – Skaleczyłeś się – powiedział Hans do Roberta. – Wydaje mi się, że jesteś nieostrożny.

Sibylle nie spuszczała wzroku z Lukasa.

– Panie profesorze – zwróciła się do wysokiego mężczyzny – nie mam pojęcia, co Lukas... widział, ale z całą pewnością wiem, że nikomu nie piśnie o tym ani słowa. Prawda, Lukas? – Chłopiec skinął głową. – Niech pan pozwoli przynajmniej jemu odejść. Nie wiem, co się ze mną stało i dlaczego zapomniałam, kim jestem. Jeśli chce pan przeprowadzać na mnie jakieś eksperymenty, dobrowolnie oddaję się do pana dyspozycji. Jeśli tylko puści pan

mojego syna. Bardzo pana proszę.

Przez kilka sekund patrzył jej prosto w oczy. Miała nadzieję, że zastanawia się nad jej propozycją, ale jego mina nie ulegała zmianie.

– Eksperymenty, powiada pani? – rzekł w końcu. – Dokonałem na pani czynu równego aktowi stworzenia. Określenie tego mianem eksperymentu graniczy z ignorancją. Opowie mi pani o wszystkim, co do najmniejszego szczegółu.

– Bardzo pana proszę, niech pan puści mojego syna...

– Mogła pani lepiej pilnować swojego chłopca. Teraz już jest za późno. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jest pani żywym dowodem cudu, którego dokonałem za pomocą Synapsji.

– Synapsji? Co to takiego?

Haas popatrzył na nią z obrzydzeniem, jakby była insektem.

– Synapsja to cudowne dzieło, które zmieni oblicze świata. Przestępcy w ciągu zaledwie kilku godzin staną się pokornymi barankami, głupcy będą geniuszami matematycznymi, a upośledzeni umysłowo staną się normalnymi ludźmi. Wszystkich możliwości nie sposób teraz wymienić ze względu na wasze ograniczone możliwości pojmowania. Proszę za mną, pokażę wam.

Odwrócił się, ciągnąc za sobą Lukasa.

– Ograniczone możliwości pojmowania? – sapnęła cicho Rosie.

Kiedy skręcili w szeroki korytarz, Sibylle obejrzała się za siebie. Rosie i Robert szli tuż za nią i Hansem. Twarz Roberta była jak skamieniała, wyraźnie dusiła go nienawiść do Rosie. A może także do mnie? – pomyślała.

Haas zatrzymał się przed wielkimi metalowymi drzwiami i przytknął kciuk do szarego kwadratu obok. Drzwi otworzyły się z przeciągłym sykiem, ale mężczyzna nagle zmarł w bezruchu. Po kilku sekundach odwrócił się gwałtownie.

Do ich uszu dobiegł głuchy odgłos, jak gdyby gdzieś za nimi rozległ się pomruk grzmotu. Haas bez słowa kiwnął głową w stronę Hansa i Roberta, którzy od razu się oddalili.

Po jakimś czasie z korytarza dały się słyszeć czyjeś kroki i zza rogu wyłonił się komisarz Grohe. Serce Sibylle zabiło mocniej. Na jego twarzy malowało się napięcie. Powodem tego był najprawdopodobniej Martin Wittschorek, który szedł tylko metr za policjantem, wbijając w jego plecy lufę pistoletu. W krok za nimi podążali Hans i Robert. Sibylle i Rosie wymieniły pełne desperacji spojrzenia.

– Co pan tu robi? – Haas zwrócił się ostro do Wittschorka. – I po co go pan tu przyprowadził? – Wskazał głową nadkomisarza.

– Bardzo mi przykro, profesorze – odparł Wittschorek, popychając Grohego lekko w bok. – Ta... Wengler niestety zadzwoniła do mojego kolegi i powiedziała, że jej przyjaciółka Sibylle Aurich znów została uprowadzona i znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wtedy ten zaalarmował kolegów w Monachium i nalegał, by jak najszybciej tu przyjechać. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko przyjechać tutaj razem z nim, inaczej wziąłby ze sobą kogoś innego. Wychodzę z założenia, że odwiedzili już pana?

Haas skinął głową.

– Byli u mnie. Musiałem zadzwonić na komendę, żeby wyjaśnić sprawę. Było to bardzo uciążliwe. Na przyszłość oczekuję niedopuszczania do takich błędów.

– Tak jest.

Sibylle chciała zawyć z rozpaczy. Widziała, że decyzja o przybyciu do CerebMedu była

nierozważna. Ale nie mogła się teraz poddać. Po przeżyciach ostatnich dni, po których uznała już za możliwe, że Lukas istniał tylko w jej fantazji, nie da za wygraną.

– Skoro już pani tu jest, pokażę pani, za co dała się sprzedać. Proszę za mną. – Pomieszczenie, do którego weszli, miało jakieś sto metrów kwadratowych. Ściany utrzymane w sterylnej bieli emanowały szpitalną atmosferą, podłoga wyłożona była szarym linoleum. Znajdowały się tam trzy stoły z siedzeniami wokół oraz część wypoczynkowa z telewizorem. Sięgające sufitu, również białe i niemal puste regały zajmowały całą ścianę po lewej stronie. – Nasi pacjenci przebywają piętro niżej – wyjaśnił pobieżnie Haas. – Ten oddział nazywamy Traktem. Proszę za mną dalej. – Uczyniwszy dwa kroki, stanął przed jednym z regałów i przesunął leżące na wysokości piersi pudło kawałek w bok. Za nim leżało coś, co wyglądało jak dawna maszyna licząca. Haas sięgnął dłonią na półkę i wystukał coś na cyferblacie. Po chwili rozległ się ten sam syk, który Sibylle słyszała podczas otwierania metalowych drzwi. Część regału cofnęła się niemal bezszelestnie, odsłaniając otwór wielkości zwykłych drzwi. Haas bez wahania wszedł do środka. Sibylle podążyła za nim. Po wąskich, oświetlonych tylko bladymi jarzeniówkami schodach dotarli piętro niżej do szerokiego, długiego korytarza, po którego obu stronach znajdowało się kilkoro drzwi. Haas zatrzymał się mniej więcej pośrodku przed podwójnymi skrzydłami. – Przyrowadź panią Aurich – zwrócił się do Roberta.

Sibylle popatrzyła na syna, naprężając wszystkie mięśnie. Jeśli ten typ spróbuje ją stąd zabrać, będzie się broniła rękami i nogami. Ale zamiast podejść do niej, Rob kiwnął głową i zniknął w jednym z wejść po prawej stronie.

Haas pchnął drzwi i razem z Lukaszem wszedł do środka. Kiedy Sibylle przekroczyła próg kolejnego pomieszczenia, ktoś położył jej dłoń na plecach i popchnął lekko do przodu. Odwróciła się zamasyście i spojrzała prosto w martwe oczy Hansa.

– Proszę – powiedział dziwnie łamiącym się głosem.

Sibylle poczuła na skórze dreszcz, ale szła dalej. Ściany tego pomieszczenia obite były ciemną boazerią. Po kilku metrach zatrzymała się zdumiona. Ukryte w niewielkich niszach w ścianach kinkiety zalewały otoczenie delikatnym, przytłumionym światłem. Nie było lamp na suficie, a jedynie mały reflektor oświetlający obiekt znajdujący się w centrum pomieszczenia. Była to nieco wygięta leżanka osadzona na grubej nasadzie, przypominająca hipernowoczesny fotel dentystyczny. U wezłowania w półokręgu umieszczone były monitory i jakaś skomplikowana aparatura. Jakies dwa metry dalej w tle stała czarna błyszcząca szafa, od której do aparatury biegła po podłodze wiązka kabli grubości ramienia. Jak w filmie science fiction, pomyślała przerażona Sibylle. Najwięcej trwogi wzbudził w niej jednak siatkowaty twór w kształcie hełmu, który wisiał nad fotelem na konstrukcji przypominającej szubienicę.

– To właśnie jest Synapsja! – zakomunikował profesor Haas, a Sibylle wydawało się, że w jego głosie słyszy napływ emocji. Brzmiał dumnie. – W obliczu faktu posiadania dwóch nowych osób do testu wyjaśnię wam najpierw, w jakiej znaczącej naukowej pracy weźmiecie udział. – Nagle za nimi dał się słyszeć jakiś odgłos. Profesor rzucił okiem w tamtym kierunku, po czym powiedział doniosłym tonem: – Oto i ona. Jane, pozwolisz, że przedstawię ci Sibylle Aurich.

Najpierw myślała, że zwraca się do niej, ale kiedy usłyszała zdumiony okrzyk Rosie, odwróciła się gwałtownie.

To, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersiach.

Kilka metrów przed nią stała kobieta, a właściwie istota przypominająca

ucharakteryzowane do horroru zwłoki. Kobieta była strasznie wychudzona, biały szlafrok zwisał luźno z jej kanciastych ramion. Jej twarz miała woskowy odcień, nie drgnął na niej ani jeden mięsień. Z rozwartych ust ciekła strużka śliny. Można było odnieść wrażenie, że cała twarz jest sparaliżowana. Kości policzkowe wybrzuszały bladą skórę, jakby lada moment miały ją przebić. Pojedyncze pasma włosów spadały w beładzie na czoło.

Widok był okropny, ale największą trwogę wzbudzały jej oczy. Nienaturalnie szeroko rozwarte, patrzące nieruchomo. Jak gdyby ujrzały coś niewypowiedzianie okropnego i znieruchomiały w przerażeniu.

– Pan naprawdę jest nienormalny – Sibylle usłyszała głos Grohego, a potem przeciągły jęk. Dopiero po chwili dotarło do niej, że sama go z siebie wydała.

Poznała tę twarz, nawet kiedy była do tego stopnia zniekształcona. Przed nią stała kobieta ze zdjęcia z Hannesem.

Prawdziwa Sibylle Aurich wyglądała strasznie, ale mimo wszystko Sibylle długo nie mogła oderwać od niej wzroku. Kiedy w końcu popatrzyła na Haasa, jego kontury rozmył nadmiar napływających do jej oczu łez.

– Co z pana za bestia! – wyrzuciła z siebie, oddychając konwulsyjnie. – Co pan zrobił z tą nieszczęsną kobietą?!

– Stworzyłem technikę, która da ludzkości nowe perspektywy leczenia chorób umysłowych. A to tylko mała część wachlarza możliwości oferowanych przez Synapsję. To, że w fazie początkowej trzeba liczyć się z ofiarami, powinno być jasne dla każdego. Być może uda nam się niedługo ściągać z dawców bez tych... skutków ubocznych.

– Dawcy? Ściągać? Co to wszystko znaczy? Profesor machnął ręką.

– Chwileczkę, Jane. Zaraz to pani wyjaśnię.

– Proszę nie nazywać mnie Jane! Niech mi pan powie, jak naprawdę się nazywam.

Kim jestem?

– Mamo, przecież masz na imię Daniela! – Lukas odepchnął się od nóg profesora i podbiegł do niej.

Sibylle schyliła się szybko i chwyciła syna w ramiona. Wreszcie czuła bliskość swego dziecka, mogła oddychać zapachem jego skóry. Po jej policzkach znów popłynęły łzy. Bała się, że zaraz znów ktoś jej go zabierze, więc przyciskała go z całej siły, aż jęknął cicho.

Wtedy poczuła na ramieniu czyjaś dłoń, palce zacisnęły się dwa razy, żeby zwrócić jej uwagę. Uniosła głowę. To był Hans. W milczeniu wskazał głową w kierunku profesora. Wyprostowała się, ale nie wypuszczała chłopca z objęć.

Daniela? Kobieta w hallu CerebMedu powiedziała... nazwała mnie Danny...

– Nazywa się pani Daniela Randstatt. Pracowała pani u nas. Reszta jest nieistotna.

Myśli galopowały w jej głowie jedna za drugą. Daniela. Daniela Randstatt. Znała to nazwisko. Dobrze je znała. Jak nazwisko dawnej, dość dobrej koleżanki, o której już długi czas nie myślała.

Lukas Randstatt. Mój syn!

– Czy wiedziałam o tym wszystkim? Miałam coś do czynienia z tą... Synapsją?

– Nie. Była pani zatrudniona w administracji. Ten teren, na dole, jest znany tylko wąskiej grupie wybranych osób, do której Daniela Randstatt z pewnością nie należała.

Odczuła ulgę, ale jednocześnie chciała zadać tysiące pytań.

– Ale dlaczego...

– Stop – powiedział Haas, unosząc dłoń niczym policjant z drogówki. – Żadnych pytań więcej. Sibylle Aurich jest tym, kogo nazywamy dawcą. Pani z kolei jest biorcą. Dokładnie takie same role przyjmą za chwilę oni. – Spojrzał najpierw na Grohego, a potem na Rosie, zanim znów się do niej zwrócił: Po tym, co pani już wie, nie nadaje się pani dłużej do pełnienia roli biorcy. A nietrudno odgadnąć, o którą rolę bardziej warto się starać. Przedstawiłem pani panią Aurich, żeby pobudzić pani gotowość do współpracy ze mną, do udzielenia odpowiedzi na wszystkie moje pytania, z najdrobniejszymi szczegółami. Nie próbowaliśmy jeszcze uczynić biorcy dawcą, ale pomysł sam w sobie jest całkiem niezły. – Haas kiwnięciem głowy dał sygnał swojemu synowi, który ciągle jeszcze stał za Sibylle Aurich, a właściwie istotą, która po niej pozostała. Robert chwycił kobietę za ramię, obrócił ją i popchnął lekko przed siebie. Jej ciało zareagowało jak pozbawiona ducha powłoka, całkowicie poddając się jego woli. – A teraz wysłuchacie krótkiego referatu na temat możliwości Synapsji – powiedział Haas. – Metoda opracowana specjalnie dla Synapsji jest przełomowa. Nawet jeśli dwoje z was za chwilę nic nie będzie pamiętać, to może zainteresuje panią to, w jaki sposób stała się pani Jane Doe. – Urwał i spojrzał na Wittschorka. – Pana, komisarzu, również to zacieka. Mam nadzieję, że okaże się pan tego godnym. – Nie czekając na reakcję, znów zwrócił się do Daniela. – Kiedy zobaczy pani, czego na pani dokonałem, zrozumie, dlaczego muszę znać każdą pani myśl z ostatnich dwóch dni. Proszę podejść bliżej.

Daniela, która jeszcze przed paroma chwilami była przekonana, że ma na imię Sibylle, zrobiła dwa kroki w jego kierunku, ciągnąc ze sobą Lukasa.

– Mamo, ja nie chcę tu zostać – jęknął chłopiec, a jej niemal pękło serce. Spokojnie pogładziła go po włosach, delikatnie przyciskając do siebie.

– Postaram się ubrać moje wywody w proste słowa – ciągnął Haas. – Otóż jak długo istnieje medycyna, ludzkość próbuje dowiedzieć się, jak funkcjonuje nasz mózg, a w szczególności nasza pamięć. „Czymże jest to, o czym pamiętać mamy, jak silne i skąd pochodzi?”, pytał Cynceron już w pierwszym stuleciu. Wyobrażano sobie, że jeśli się wie, jak i gdzie magazynuje się wyuczona wiedza, można ją jakby bezpośrednio wszczepić w mózg. Od wielu lat śledzono synapsy, a naukowcy do tej pory mają tylko niejasne pojęcie o tym, jak dokładnie pracuje nasz mózg. Ale niestety tylko niejasne. Ja, w przeciwieństwie do nich, rozwiązałem tę zagadkę. – Haas zrobił krótką przerwę i spojrzał po twarzach obecnych. – Jeżeli pamiętamy psa, to w naszej głowie nie istnieje jakiś jego obraz. Pies ten jest zakodowany w całej sieci komórek nerwowych, które razem tworzą takie pojęcia, jak zwierzę, sierść, szczekać, wyprowadzać, aportować, kość i tak dalej. Wszystkie te informacje mieszczą się na miejscach kontaktowych komórek nerwowych, na niewyobrażalnie filigranowych rozgałęzieniach synaps. Jedna jedyna komórka nerwowa posiada około dziesięciu tysięcy takich synaps. Kiedy przeżywamy coś nowego, uczymy się lub widzimy – pozostajemy przy obrazie psa – wtedy zostaje to przez mózg rozłożone na swoje właściwości, które zostają zapisane za pomocą pewnego schematu połączeń synaptycznych. Im częściej będziemy widzieć jakiegoś psa, tym bardziej zespoli się ta konstelacja powiązań.

Krótkotrwałe wspomnienie przerodzi się w długotrwałą pamięć. Jeśli zrozumieliście mnie do tego momentu, to zrozumiecie też, jak funkcjonuje Synapsja. – Zawiesił głos, jakby chciał zwiększyć napięcie. – Przesyłamy prąd o małym natężeniu przez całą sieć neuronalną mózgu. Prąd płynie przez każde miejsce, w którym istnieje połączenie między synapsami. Tam,

gdzie takiego połączenia brak, prąd nie płynie. I akurat w tym ułamku sekundy, kiedy równocześnie przez wszystkie połączenia płynie prąd, Synapsja wykorzystuje przepływający prąd jako kontrast i wykonuje szablon tych miliardów i miliardów połączeń. To dokładna kopia oryginału, jeden do jednego. Cud techniki. – Znow zrobił pauzę, kierując wzrok od jednego do drugiego słuchacza, jakby czekał na oklaski. – Szablon ten możemy zapisać i założyć osobie testowanej na głowę niczym hełm. Używamy czyjegoś mózgu jak czystej płyty, jeśli przekona was to porównanie, na której od nowa zapisujemy wszystkie połączenia synaptyczne, a tym samym starą pamięć. A to znaczy, mówiąc obrazowo, że potrafię ściągnąć mózg świętego i nałożyć go zbrodniarzowi. Lub ściągnąć mózg jakiejś nierzucającej się w oczy kobiety, dajmy na to Sibylle Aurich, i nałożyć szablon innej, na przykład Danieli Randstatt.

Na chwilę zapadła cisza. Daniela wpatrywała się w konstrukcję i miała wrażenie, że za chwilę zwymiotuje.

– To zboczzone! – Grohe wypluł z siebie te słowa. – Pan powinien jako pierwszy skasować swój chory mózg i zapisać sobie nowy.

– Dlaczego ludzie stają się potem czymś takim jak Sibylle Aurich? – zapytała przerażona Daniela.

– Nie skończyliśmy jeszcze badań. – Wyraz twarzy Haasa nie zmienił się. – Trzeba dopracować szczegóły. Niestety żeby możliwe było wykonanie szablonu, prąd, który Synapsja wysyła przez komórki nerwowe dawcy, musi posiadać pewne napięcie. To napięcie prowadzi do tego, że końce komórek, na których znajdują się połączenia synaps, spalają się. Są potem nie do użycia, tak samo, jak gdyby ktoś wykasował cały twardy dysk komputera bez możliwości zapisania go na nowo.

Daniela zaniemówiła, kiedy spostrzegła, z jakim chłodem i obojętnością ten człowiek opowiadał o tym, jak w okrutny sposób okalecza ludzi.

– A jak to możliwe, że Daniela jako Sibylle nie zdziwiła się, kiedy ujrzała w lustrze inną niż swoją twarz, panie Cudowny Doktorze? – zapytała Rosie, która spośród wszystkich obecnych była chyba najmniej zszokowana.

– Jedno z najgenialniejszych posunięć ludzkiego umysłu – wyjaśnił Haas z taką dumą, jakby to też było jego zasługą. – Jak już mówiłem, pamięć o czymś porównać można raczej do puzzli niż do nieruchomego obrazu. W tych puzzlach jest dużo luk, które nasz mózg wypełnia; opierając się na doświadczeniu, prezentuje najbardziej prawdopodobną wersję jako fakt. Swoją drogą, wyjaśnia to również fenomen, że czterech świadków tego samego wypadku samochodowego przedstawia policji cztery różne wersje zdarzenia, a każdy z nich jest przeświadczony o tym, że jego wersja jest prawdziwa. Tak samo mózg zważa na to, by nic niemożliwego nie zostało dopuszczone do naszej świadomości. Cóż, kiedy Jane po raz pierwszy spojrzała w lustro i zarejestrowała podświadomie, że twarz, którą widzi, kłóci się z jej pamięcią, jej mózg niezwłocznie zareagował i podsunął jej najbardziej logiczne wyjaśnienie. Ponieważ jej twarz w rzeczywistej teraźniejszości była taka sama jak twarz Jane. Jako wyjaśnienie nie wchodziła w grę żadna operacja czy wypadek, logiczne było tylko jedno rozwiązanie: pamięć była fałszywa. A więc mózg ją skasował i zastąpił inną twarzą. W podobnej sytu...

Nagle rozległ się dźwięk zatraskiwanych drzwi. Robert doskoczył do Danieli i chwycił Lukasa za ramię.

– Puść go – powiedział surowo, próbując wyrwać jej chłopca, ale ona trzymała go

z całych sił obiema rękami. W całej tej szarpaninie Lukas zaczął krzyczeć z przestraczem.

– Zostaw mojego syna w spokoju! – Pochyliła się, zasłaniając chłopca własnym ciałem.

– Kiedy Robertowi nie udało się wyrwać go z jej ramion, zrezygnował, ale złapał Danielę za włosy i gwałtownie pociągnął jej głowę do góry. – Przestań! Natychmiast! – krzyknęła. Ból był ogromny, ale dalej trzymała Lukasa w mocnym uścisku.

– Ty głupia krowo – wydyszał Rob i nagle jego pięść trafiła ją w prawe oko.

Coś eksplodowało w jej głowie jak petarda. Wszystko zaczęło się zataczać, nogi i ręce stały się bezwładne.

Kiedy zorientowała się, że upada, wykrzyknęła imię swojego syna.

Już kiedy Rob podchodził do Jane, Hans przeczuwał, że będą problemy. Miał coś w rodzaju radaru trudnych sytuacji, a postawa Roba była jednoznaczna.

Gdy Rob chwycił chłopaka, Hans spojrział na Doktora. Czekał, aż ten rozkaże swemu durnemu synowi, by zostawił Jane w spokoju, ale Doktor, któremu przerwano akurat przemowę, przyglądał się tylko bez słowa temu, co się działo. Hans był zbity z tropu. Patrzył, z jaką determinacją Jane walczy o syna. Ale kiedy ten idiota puścił dziecko i pociągnął Jane za włosy, ciało Hansa naprężyło się maksymalnie. Jeszcze raz rzucił wzrokiem w kierunku Doktora, ten jednak pozostał niewzruszony. Potem ujrzał, jak Rob bierze zamach. Jego dłoń była zaciśnięta w pięść.

Jane!

Hans poczuł wzrastający w nim żar i ujrzał, jak jakiś cień przemknął przed Robem, porywając chłopca. Swoje późniejsze działanie obserwował jakby z boku.

Trzy kroki i był koło Roba, jednak o sekundę za późno. Widział we wszystkich szczegółach, jak jego pięść trafia w tę delikatną twarz.

Pocałował ją.

Widział, jak Jane upada na podłogę, krzyczy, woła o pomoc. Taka delikatna.

Posunąłby się dalej, gdyby nie była pruderyjna.

Wykonał wyrok boczny, zniżając się na tyle, że był w stanie płynnym ruchem podwinąć nogawkę i wydobyć bagnet z kabury. Jeszcze kiedy się podnosił, jego ramię zatoczyło ukośny łuk z dołu do góry, po czym ostrze wbiło się w szyję Roberta, przecinając mu krtań. Jego gałki niemal wyszły z oczodołów. Hans położył obie dłonie na ranie, z której pod ciśnieniem tryskała krew. Rob miał usta szeroko otwarte, ale Hans wiedział, że nigdy już nie wydobędzie z nich żadnego dźwięku.

I nagle coś z impetem uderzyło w plecy Hansa, rozległ się głośny huk, a potem wszystko zamarło w bezruchu. Prawie cały świat. Tylko Jane się poruszała. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego. Nie można było dostrzec wyrządzonych jej przez Roba obrażeń. Cała jej sylwetka otoczona była jasną poświatą; nie, nie była nią otoczona, to ona sama promieniowała tym światłem. Jane wyprostowała się, jej twarz była na tej samej wysokości co jego, jej oczy tylko parę centymetrów oddalone od jego oczu. Była taka delikatna, taka piękna, że Hans nie mógł wytrzymać tego widoku, musiał zamknąć oczy. Ale nawet wtedy czuł

jej blask; blask, który był w nim, który stawał się coraz jaśniejszy, aż w końcu stał się wszechogarniającą jasnością. Hans oddał mu się całkowicie.

Kiedy blask zbladł, kiedy nie odczuwał już bliskości Jane, kiedy on sam stawał się zimny, wtedy nagle doświadczył czegoś, czego nie doświadczał, jak daleko mógł sięgnąć pamięcią.

Był szczęśliwy.

Daniela dopiero po kilku sekundach była zdolna do oceny sytuacji, chociaż nie straciła przytomności. Ból w prawej części twarzy błyskawicznie rozprzestrzenił się na całą głowę. Podparła się na łokciu, chcąc się nieco wyprostować, ale to wywołało jedynie nowe fale bólu w czaszce. I nagle tyle rzeczy zdarzyło się prawie równocześnie, że pojedyncze sytuacje były jak klatki filmu puszczanego w przyspieszonym tempie.

Z lewej strony ujrzała Rosie pochylającą się w stronę Lukasa i biorącą go w ramiona.

Tuż przed nią z jakiegoś dziwnego rozkroku podniósł się Hans, podczas gdy jego ręka jednocześnie przelatywała w powietrzu. Przy tym dał się słyszeć wstrętny, przypominający mlaśnięcie odgłos, którego nie potrafiła bliżej zdefiniować.

Potem ciało Roberta dziwnie się wywinęło, jego ramiona uniosły się, a dłonie spoczęły na szyi.

Stojący z boku Wittschorek wydobył coś z kurtki i rzucił Grohemu. Kiedy nadkomisarz to pochwycił i skierował w kierunku Hansa i Roberta, zniżając się nieco na kolanach, Sibylle poznała, że to pistolet. Następnie rozległ się niewiarygodnie głośny huk, który zmienił bieg czasu.

Jak w zwolnionym tempie ujrzała sztywniejące ciało Hansa. Jak kiwa się do przodu i w tył, jak upada, lekko skrecony, jak jego głowa uderza o podłogę i parę razy odbija się jeszcze, jakby była zrobiona z gumy. Jak leży bez ruchu, tuż pod jej nogami.

Te martwe oczy.

Te martwe oczy teraz naprawdę były martwe. Ale wciąż na nią patrzyły.

Daniela mogła już tylko krzyczeć. Krzyczała więc i krzyczała – na wprost tej głowy, w stronę tych okropnych oczu, w stronę wszystkiego, co ją otaczało.

Przestała, dopiero kiedy wkoło zrobiło się ciemno.

Najpierw ujrzała jedynie rozmyty, biało–szary obraz. Parę razy zamrugła i powoli zaczęły wyłaniać się z niego jakieś kontury. Nad nią, po przekątnej, wyraźnie wyodrębniła się z tła jakaś jasna powierzchnia. Powierzchnia ta poruszyła się, a potem przemówiła.

Nie zrozumiała słów, ale... ten głos...

Przetarła oczy, jeszcze raz mrugnęła i zobaczyła... Wittschorek!

Siedział przy niej. W jednej chwili wszystko sobie przypomniała. Krzyknęła i wierzgając nogami, próbowała odepchnąć się od miękkiego podłoża, aby uciec przed tym człowiekiem. Wittschorek pochylił się jednak i przytrzymał ją. Znow coś powiedział. Jego głos brzmiał łagodnie. Mimo ogarniającej ją paniki skoncentrowała się na słowach.

– Spokojnie – powiedział. – Tylko spokojnie, Daniela. Wszystko dobrze. Już po wszystkim. Z pani synem też wszystko w porządku. Nie musi się już pani bać.

Lukas!

– Gdzie jest moje dziecko?! – krzyknęła mu prosto w twarz. – Co z nim zrobiliście, świnie?!

– Pani syn jest na korytarzu. Jest pod opieką pani Wengler. Jest pod opieką pani Wengler?

Nie rozumiała. Jej wzrok minął Wittschorka. Pokój szpitalny. Tylko jedno łóżko, jej łóżko.

Znowu?

– Gdzie ja jestem? I co pan tutaj robi, pan...?

Uśmiechnął się. Naprawdę. Uśmiechnął się do niej – i nie był to uśmiech szydery, złośliwy, jakim obdarzał ją Robert.

Robert.

Instynktownie dotknęła swojego policzka, do którego przylegało coś miękkiego.

Plaster z opatrunkiem, być może.

– Znajduje się pani w Klinice Uniwersyteckiej w Monachium, gdzie z pomocą farmakologiczną spała pani ponad dwadzieścia godzin. Było to pani potrzebne po tym wszystkim, co pani przeżyła.

– Ale to pan...

Wittschorek pokręcił głową, wskazując podbródkiem na coś obok niej. Po drugiej stronie

łóżka siedział nadkomisarz Grohe i też się do niej uśmiechał.

Nigdy nie widziałam, żeby ten człowiek się uśmiechał.

– Naprawdę wszystko jest w porządku, pani Randstatt – oznajmił Grohe. – My... naprawdę należymy do tych dobrych. Obaj.

Ciągle patrzyła na niego zdezorientowana.

– Gdzie jest mój syn?

Wittschorek bez słowa wstał i podszedł do drzwi. Kilka sekund później do pokoju wpadł Lukas.

– Mamo, mamoo! – zawołał, rzucając się jej w ramiona.

– Hej, powoli, młody człowieku. Musisz teraz trochę oszczędzać swoją mamę – powiedział Grohe, znów się uśmiechając.

Daniela wciągnęła chłopca na łóżko obok siebie i zaczęła go całować. Nie mogła przestać ścisnąć i tulić swojego dziecka. I nikt jej w tym nie przeszkadzał.

Po jakimś czasie odsunęła Lukasa parę centymetrów od siebie i popatrzyła na niego.

– Wszystko w porządku, synku? Chłopiec rozpromienił się.

– Tak, mamoo. Ciocia Rosie powiedziała, że jeśli chcę, mogę mówić do niej babciu.

Zgodzisz się?

Daniela musiała się roześmiać, skrzywiła się jednak, czując ukłucie w policzku. – Śmiesznie wyglądasz, mamoo – stwierdził chłopiec, przyglądając się jej uważnie.

– Czyżby? Cóż, skaleczyłam się w policzek.

– Nie, nie chodzi o to – odparł szelmowsko. – Masz fioletowe oko. Przestraszona, spojrzała w kierunku Grohego, który ze spokojem skinął głową. Dała Lukasowi pieszczotliwego klapsa i powiedziała:

– Idź, zawołaj babcię Rosie.

– Babci Rosie nie trzeba wołać – rozległ się znajomy głos. Babcia Rosie już dawno tu jest, dziecinko. – Daniela z kolejnym ukłuciem bólu uniosła głowę i ujrzała Rosie. Objęły się mocno. – Możesz im zaufać, dziecinko. To zupełnie zwariowana historia, ale ci komisarze naprawdę nas stamtąd wyciągnęli. – Obdarowała ją głośnym całusem w czoło i zwróciła się do Lukasa: – A teraz chodź z babcią. Mamusia musi jeszcze porozmawiać z panami policjantami.

Kiedy znów zostali sami, Wittschorek i Grohe usiedli obok siebie przy łóżku Daniela.

– Czuje się pani na siłach, by wysłuchać całą tę historię? Skinęła głową.

– Co z Robertem i tym... Hansem? – zapytała. – Nie żyją?

Policjanci spojrzeli po sobie, a potem Wittschorek westchnął głęboko.

– Tak, obaj nie żyją. Hans zabił syna profesora. Stał tuż obok pani i można było się obawiać, że i pani wyrządzi krzywdę. Kolega Grohe musiał go zastrzelić.

Daniela wstrzymała oddech.

– Bardzo się go bałam, ale... jakoś wydaje mi się, że nie zrobiłby mi nic złego.

– Nie mogłem pozwolić na takie ryzyko – odparł Grohe.

Daniela znowu ujrzała tę okropną scenę, martwe oczy, głowę uderzającą o podłogę.

– A co z pozostałymi?

– Aresztowaliśmy Haasa i jego pomocników. Już samo to, co nam opowiedział, wystarczyło, aby zamknąć go na dość długi czas.

– A... czego dowiedzieli... – Śnieżenie. – Co wiecie o Danie... o mnie? Grohe wziął leżącą na stoliku gazetę i rozłożył na kołdrze przed Daniellą.

– Zaczniemy od tego.

Dwie niezbyt ostre fotografie pokazywały ją i Lukasa. Nagłówek brzmiał: Zaginięcie matki i syna.

Daniela spojrzała na policjantów i zaczęła czytać artykuł. Wypowiadała się w nim zaniepokojona właścicielka mieszkania, która od paru dni nie widziała Lukasa i Daniela Randstatt. Zwykle spotykała ich kilka razy dziennie. Powiadomiła policję, która z kolei dowiedziała się w administracji CerebMedu, firmy, gdzie pracowała pani Randstatt, że ich pracownica już kilka dni z rzędu nie pojawiła się w pracy. Jak informował autor tekstu, Daniela Randstatt nie była zamężna. Odeszła od ojca swojego dziecka trzy lata temu. Ten przebywał gdzieś za granicą i nie można było się z nim skontaktować. Proszono czytelników o pomoc w ich odszukaniu.

– Nie mogę sobie przypomnieć ojca Lukasa – powiedziała, odkładając gazetę na stolik.

– Wiem, że był ktoś, ale... – Przetarła oczy i zwróciła się do Wittschorka: – Proszę mi teraz powiedzieć, co panowie wiedzą.

– Dobrze – odparł. – Do tej pory nie wiedziała pani, że jestem z Krajowego Urzędu Kryminalnego, a nie z policji ratyzbońskiej. Przeszło rok temu Federalna Służba Informacyjna poinformowała nas, że monachijska firma CerebMed próbuje wejść w kontakt z pewnymi obcymi służbami wywiadowczymi. Sprawa była bardzo kontrowersyjna, ponieważ CerebMed oferował rewolucyjną technikę w dziedzinie manipulacji osobowością. Według informacji FSI co najmniej dwa wschodnie państwa wykazały zainteresowanie tą ofertą, trzeba więc było zareagować. Normalnie nie miałbym z tą sprawą do czynienia, gdyby nie fakt, że znałem syna właściciela firmy, Roberta Haasa. Spędziliśmy wspólne lata w internacie w Monachium. Nie mieliśmy ze sobą kontaktu przez dłuższy czas, lecz pewnego wieczoru spotkałem go, oczywiście zupełnie przypadkowo, w pewnym klubie w centrum miasta. Zakropiliśmy nasze spotkanie alkoholem i tego wieczoru wspominał, że pracuje w firmie ojca, ale ma większe plany niż tamten. A ja, odwzajemniając się szczerością, przyznałem się do tego, że co prawda nieźle zarabiam jako policjant, ale mam problemy, bo przegrałem masę pieniędzy w grach hazardowych. Chciał wiedzieć, gdzie znajduje się mój komisariat. Ponieważ znam parę kolegów w Ratyzbonie, a wiedzieliśmy, że Haas z kolei zna się z paroma osobami na najwyższym szczeblu policji w Monachium, podałem mu właśnie Ratyzbonę. No tak, kiedy się żegnaliśmy, Robert dopytywał, czy nie byłbym zainteresowany dodatkową pracą, żeby móc wyrównać długi. Niby wahałem się jeszcze, ale nie odrzuciłem propozycji. – Wittschorek przechylił nieco głowę i zapytał: – Nie za dużo tego na jeden raz? Może jest pani zmęczona i wolałaby, żebym dokończył później?

– W żadnym razie – zaprotestowała Daniela. – Niech pan opowiada dalej.

– Więc dobrze. Nie minęły dwa dni, a Robert zadzwonił. Chciał wiedzieć, czy zastanowiłem się co do jego oferty. Spotkaliśmy się znowu. Wtedy był już przy nim ten Hans. Małomówny, zadał mi tylko parę pytań. W międzyczasie ułożono mi specjalny życiorys, a ja opowiedziałem im o sobie to, co mieli wiedzieć. Robert okazał się bardzo pomocny, kiedy w końcu przyznałem, że potrzebuję jak najszybciej pięćdziesięciu tysięcy euro. „Kiedyś się nam zrewanżujesz”, powiedział. Kilka miesięcy później opowiedział mi o rewolucyjnej technice chirurgicznej opracowanej przez jego ojca. Był tym bardzo rozentuzjasmowany.

– Dlaczego już wtedy nie przedsięwziął pan żadnych środków? – przerwała mu Daniela.
– Mógł pan zapobiec najgorszemu.

– Niestety nie okazało się to takie łatwe. Występując przeciw takiemu człowiekowi jak

Gerhard Haas, bez absolutnie niezbitych dowodów ryzykuje się utratę pracy. W każdym razie nie mogliśmy wiele działać w Monachium, ponieważ nawet bardzo ostrożne zapytania o CerebMed u monachijskich kolegów od razu stawały się sprawą szefa i zaczynały się wlec w nieskończoność. Nie można było dopaść Haasa. Ale osiem dni temu Robert zadzwonił do mnie. Twierdził, że jego ojciec niezwłocznie chce mnie widzieć. Jak dotąd nie dane mi było dostąpić takiego zaszczytu i pomyślałem z nadzieją, że w końcu spojrzę za kulisy firmy. Oczywiście tak się nie stało, ale profesor Haas, nie owijając niczego w bawełnę, dał mi do zrozumienia, czego ode mnie oczekuje. W kilku miastach, między innymi w Ratzbonie, siedziała garść jego kolegów po fachu, którzy wykonywali dla niego wstępną robotę.

– Doktor Olaf Kuss? – zapytała Daniela. Wittschorek spojrział na nią zaskoczony.

– Skąd pani wie?

– Zapisalam sobie termin wizyty w moi... w kalendarzu pani Aurich. – Na chwilę zapadła między nimi cisza. – Niech pan mówi dalej, proszę – odezwała się w końcu Daniela.

– Haas wyjaśnił mi, że chodzi o pierwszy kompleksowy test jego metody leczenia zaburzeń osobowości. Nie jest to dozwolone, ponieważ metoda ta nie jest jeszcze dopuszczona do testowania na ludziach, ale oczywiście nikomu nie zaszkodzi. Potrzebuje mojej pomocy, aby upewnić się, że jego osoba poddana testowi nie będzie miała problemów z policją. W rewanżu miał mi pomóc w wyjaśnieniu pewnego uprowadzenia. Pośrednio przyznał się, że „nakłonił” Sibylle Aurich do zgłoszenia się do testu, ponieważ po gruntownej analizie przeprowadzonej przez doktora Kussa okazało się, że jest ona optymalną kandydatką do dalszych badań. To „nakłonienie” polegało na uprowadzeniu tej kobiety, jak dowiedziałem się od Olivera, który zajmował się tą sprawą. – Urwał na chwilę i westchnął ciężko. – Jasne, najchętniej od razu przyskrzypiłbym tego typu. Ale bez dowodów? Nie mieliśmy nic oprócz jego aluzji, nie wiedzieliśmy ani gdzie Sibylle Aurich się znajduje, ani co dokładnie ma zamiar z nią zrobić Haas. – Z poważną miną popatrzył na swoje dłonie. – Może można było zapobiec temu czy owemu, jeśli zadziałalibyśmy w porę... A być może popsulibyśmy wszystko, kto wie. – Podniósł na Danielę udręczony wzrok. – Kiedy się pani pojawiła, powoli zrozumiałem, do czego zdolny jest profesor Haas.

– Dlaczego więc mnie pan nie ostrzegł? Dlaczego nie powiedział mi pan, że nie jestem Sibylle Aurich? Ja... prawie oszalałam ze strachu! Bałam się o mojego syna i o to, czy rzeczywiście nie tracę rozumu.

– Powiedziałem pani podczas naszego pierwszego spotkania, że nie jest pani Sibylle Aurich. Nie mogliśmy zrobić nic więcej, byłoby to zbyt niebezpieczne. Nie zachowywałyby się pani autentycznie, jeżeli wiedziałyby pani o wszystkim. A liczyliśmy się z tym, że oni mogą coś pani zrobić.

Daniela wbiła wzrok w kołdrę. Wiedziała, że Wittschorek prawdopodobnie ma rację.

– Jaki związek ma z tym wszystkim klinika w Ratzbonie, w której się obudziłam?

– Na szczęście dwóch wspólników Haasa złożyło obszernie zeznanie, żeby ratować własną skórę. Więc jeśli jeszcze nie wszystko, to na pewno trochę już wiemy. Związek z kliniką w Ratzbonie zaraz pani wyjaśnię, ale najpierw powiem, jak wpadła pani w całą tę historię. Wszystko wskazuje na to, że od czasu od czasu zabierała pani swojego syna do biura popołudniami, ponieważ nie miała pani nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować.

Popatrzył na nią pytającym wzrokiem i w umyśle Danieli odezwało się jakieś przymglone, szare wspomnienie.

Skinęła głową.

– Myślę, że tak było.

– Pewnego popołudnia Lukas urządził sobie małą wyprawę odkrywczą. Drzwi prowadzące do piwnicy nie były domknięte, bo Robert Haas nie zamknął ich dobrze. Pani syn zszedł do piwnicy i trochę się tam pokręcił. Nikt nie wie, czy rzeczywiście widział coś konkretnego, ale sfilmowała go jedna z kamer. Akurat kończyli pracę, kiedy ktoś ujrzał nagranie. Profesor niezwłocznie wysłał do pani Hansa, żeby usunąć Lukasa, a że nikt nie wiedział, czy malec nie zdążył powiedzieć pani o piwnicy, uprowadzono również i panią.

Przed oczami Daniela znów rozegrała się znajoma scena. Ramię pokryte niebieskim tatuażem, wciągające jej syna do auta...

– Myślałam, że to sen... Jakim cudem to pamiętam?

– To właśnie punkt, którego nie spodziewał się Haas – podjął temat Wittschorek. – Po to, żeby pani, jako tak zwany biorca, nie doznała takich samych uszkodzeń mózgu jak dawca, musiał w pani mózgu wytworzyć nowe, bardziej precyzyjne połączenia. A to skutkowało między innymi tym, że wszczepione wspomnienia miały jakoś pamięci krótkotrwałej i po paru dniach stawały się coraz mniej wyraźne, jeśli się ich nie odświeżyło. Poza tym najwidoczniej nie jest możliwe, żeby zastąpić stare uczucia i wspomnienia nowymi, które są bardzo intensywne, jak na przykład uczucia matki wobec dziecka. Są po prostu zbyt silne. – Mój syn... Nie ma pani syna... Mój Lukas... Nigdy nie miała pani dziecka... – W każdym razie Haas od paru tygodni był w posiadaniu wpisu do Synapsji – szablonu pamięci Sibylle Aurich. Brakowało mu tylko kogoś, komu go mógłby nałożyć. A kiedy stała się pani dla niego niewygodna, postanowił upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Haas całkiem świadomie wyszukiwał sobie wcześniej dawców z różnych miejscowości, żeby nikt nie poznał prawdziwej tożsamości biorcy, kiedy ten przejął pamięć dawcy.

Daniela potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem.

– Domyślam się, że to dla pani trudne. Jak się niestety okazało, Haas nie tylko porwał Sibylle Aurich, ale też jedną kobietę ze Stuttgartu, jedną z Augsburga i jednego mężczyznę z Karlsruhe.

– Mój Boże, czy oni też... – Wittschorek skinął głową, a Daniela ukryła twarz w dłoniach. – Czy kiedykolwiek wrócą do poprzedniego stanu? Ta biedna kobieta...

– Tego nie wiem – odparł Wittschorek z zatroskaną miną.

– Zniszczyliście przynajmniej tę całą Synapsję?

– Nie. Może się okazać, że ta aparatura jest jedyną szansą, by pomóc tym ludziom.

Myśl o tym okropnym przyrządzie wywołała u Daniela dreszcze. Spróbowała wyprzeć z pamięci, że Haas chciał poeksperymentować również w jej głowie.

– Jak to było z tymi różnymi miastami?

– Właściwie prosto. Ponieważ pochodzi pani z Monachium, a Sibylle Aurich z Ratyzbony, można było wyjść z założenia, że nikt nie rozpozna tam pani jako Daniela Randstatt.

– Ale w tej piwnicy...

– Przekupili dozorcę, żeby oddał im do dyspozycji jedno z pomieszczeń i pilnował, by nikt się tam nie kręcił. Haas nie mógł wiedzieć, jak pani zareaguje, kiedy się obudzi. Przygotowano się na to, żeby pozwolić pani uciec bądź natychmiast usnąć z powrotem, gdyby... gdyby się okazało, że pani pamięć jakoś nie pasuje. Kiedy opowiedziała pani temu typowi o swoim synu, najpierw chcieli wszystko szybko zakończyć. Ale Haas chciał

koniecznie wiedzieć, jak pani zareaguje jako Sibylle Aurich. Tak więc zdecydował, że może pani uciec. Od tej chwili miała pani na ogonie tego Hansa, a Robert i ja byliśmy informowani na bieżąco, gdzie pani akurat przebywa i co pani robi. Oczywiście nadkomisarz Grohe i moi koledzy z urzędu kryminalnego też o wszystkim wiedzieli, jednak Haas i Robert byli tego zupełnie nieświadomi.

– Czyli użył mnie pan jako przynęty, panie komisarzu? – spytała chłodno Daniela.

– Jeśli pani tak to postrzega... Ale jak już mówiłem, byłem informowany o każdym pani kroku i... sama pani widziała, co te typy zrobiły z panią Aurich. Proszę sobie wyobrazić, że Haasowi udało się sprzedać tę Synapsję do jakiegoś kraju, w którym przestrzeganie praw człowieka, że tak powiem, nie jest pojmowane zbyt poważnie. Musieliśmy ich powstrzymać.

Rozważała w milczeniu jego słowa. W końcu skinęła głową.

– Tak. Ma pan rację.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Pani Randstatt, wszystko będzie dobrze.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, Grohe podniósł się i oznajmił:

– Poszukam pani Wengler i Lukasa.

Daniela odczekała, aż zamkną się za nim drzwi.

– Czuję, że w mojej pamięci pojawia się coraz więcej wspomnień o moim dziecku. Ale też o Monachium. Albo nagle widzę twarze, których nie mogę do niczego przyporządkować. Muszę wiedzieć, które z tych wszystkich wspomnień rzeczywiście należą do mnie!

Wittschorek nadal miał poważną minę.

– Lekarze mający związek z tą sprawą wychodzą z założenia, że pamięć pani Aurich będzie się stopniowo ulatniać, za to pani pamięć będzie się przebijać na pierwszy plan. Ale może to trochę potrwać. Musi się pani uzbroić w cierpliwość. – Patrzył na nią dłuższy czas, a Daniela poczuła, jak to spojrzenie wywołuje w niej dziwny, łagodny żar. – No cóż, jeszcze przez kilka dni będzie pani musiała tutaj zostać. – Wittschorek znów oglądał swoje dłonie. – Ale później... chętnie będę się dowiadywał, jak się wam powodzi. Oczywiście jeśli będzie mi wolno.

– Będzie – odparła bez wahania, kładąc dłoń na jego rękę. Martin Wittschorek uściśnął ją lekko, a potem się podniósł.

– Zawołam Lukasa. Jeśli Grohe już ich znalazł. Zanim zdążył otworzyć drzwi, Daniela odezwała się:

– Proszę pana? Odwrócił się.

– Czy mógłby pan odwiedzić mnie jeszcze kilka razy? Żebym mogła zakodować pana w mojej pamięci długotrwałej.

Wittschorek skinął głową, uśmiechając się ciepło.

– Z miłą chęcią.

Parę sekund później mały chłopiec objął swoją mamę tak mocno, jakby nigdy nic nie mogło ich rozdzielić.

Nigdy.

Podziękowania

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się bezpośrednio bądź pośrednio do powstania tej powieści. Szczególnie wdzięczny jestem:

– mojej żonie Heike, która wyręcza mnie w wielu sprawach, stwarzając mi wolną przestrzeń do pisania, i która co chwila zwraca mi uwagę, że moja główna bohaterka ma zbyt męskie myśli;

– Laurze, Christine i Alexandrowi – za rezygnację, choć nie zawsze dobrowolną, z zabawy z tatą, który akurat siedzi za biurkiem;

– dr. med. Christianowi Glöcknerowi za interesujące rozmowy na temat praktycznych i teoretycznych możliwości medycyny oraz za bardzo pouczające oprowadzanie po Ratzbonie;

– Silke Frohn za bardzo pomocne rzucenie okiem na manuskrypt;

– mojemu agentowi Joachimowi Jessenowi z agencji literackiej Schlück za otoczenie mnie opieką i dobre rady;

– mojemu lektorowi Volkerowi Jarckowi za pouczający lektorat i za cenne uwagi;

– całej ekipie wydawnictwa Fischer Verlag, która z wielkim zaangażowaniem zatroszczyła się o wydanie Traktu;

– oraz Tobie, droga Czytelniczko, drogi Czytelniku – za Twoje zainteresowanie moimi powieściami.

Table of Contents

<u>- 1 -</u>
<u>- 2 -</u>
<u>- 3 -</u>
<u>- 4 -</u>
<u>- 5 -</u>
<u>- 6 -</u>
<u>- 7 -</u>
<u>- 8 -</u>
<u>- 9 -</u>
<u>- 10 -</u>
<u>- 11 -</u>
<u>- 12 -</u>
<u>- 13 -</u>
<u>- 14 -</u>
<u>- 15 -</u>
<u>- 16 -</u>
<u>- 17 -</u>
<u>- 18 -</u>
<u>- 19 -</u>
<u>- 20 -</u>
<u>- 21 -</u>
<u>- 22 -</u>
<u>- 23 -</u>
<u>- 24 -</u>
<u>- 25 -</u>
<u>- 26 -</u>
<u>- 27 -</u>
<u>- 28 -</u>
<u>- 29 -</u>
<u>- 30 -</u>
<u>- 31 -</u>
<u>- 32 -</u>
<u>- 33 -</u>
<u>- 34 -</u>
<u>- 35 -</u>
<u>- 36 -</u>
<u>- 37 -</u>
<u>- 38 -</u>
<u>- 39 -</u>
<u>- 40 -</u>
<u>- 41 -</u>
<u>- 42 -</u>

- 43 -

- 44 -

- 45 -

Podziękowania